M.B. im. L. W. w Łodzi

- Przekupywałem sędziów piłkarskich str. 12
- Służ Bogu, a diabła nie gniewaj str. 3
- Sprawa konia, którego nie ma str. 7
- Co się wydarzyło w Krakowie? str. 9
- Głupota w jednych portkach str. 16

Prawdziwie i odważnie o czasach stalinowskich - powieść A. Rybakowa „DZIECI ARBATU" str. 10

Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 25 (1525) ROK XXX 20 CZERWCA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

Łódź, 12 i 13 czerwca 1987 roku

Dwadzieścia cztery godziny z życia miasta

Miasto przez kilkanaście dni przygotowywało się do wizyty Jana Pawła II. W kilkudniowej pielgrzymce papieża do ojczyzny Łódź była kolejnym miastem, które Jan Paweł II miał odwiedzić po raz pierwszy w historii tego robotniczego miasta. Ambicją wszystkich było tak przygotować się, aby wizyta Dostojnego Gościa przebiegała bez zakłóceń, aby wszyscy pielgrzymi, którzy na ten dzień — 13 czerwca 1987 roku — przybędą do Łodzi, mogli w spokoju, w skupieniu i bezpiecznie uczestniczyć w religijnych obrzędach.

Jak było? Jak przebiegała wizyta Jana Pawła II? Jak żyło w ten czas miasto? Na te pytania i wiele innych odpowiadają reporterzy „Odgłosów", którzy mimo różnych utrudnień, ale też i pomocy oraz życzliwości, postarali się być wszędzie tam gdzie to było możliwe i którzy teraz prezentują niniejsze relacje. Były one robione w różnych punktach Łodzi i przedstawiają rozmaite ujęcia tego, co się wówczas działo w mieście. Naszą relację zamknęliśmy w niedzielę, 14 czerwca 1987 roku około godziny 14.00.

DARIUSZ DOROŻYŃSKI
JESZCZE W PIĄTEK BYŁ NA LUBLINKU

Pan Bogdan, czyli „przypadkowy przechodzień z antenką" znalazł się w ów gorący piątek bardzo sympatycznie. Na jego znak, dyskretnie przemknąłem tuż obok obłożonej balastem podstawy gigantycznego krzyża, szybki skok po kilku stopniach i wkroczyłem do jasnych, pachnących sosnowym lasem pomieszczeń. Wszystko już wyczyszczone, wypucowane; pozostało jeszcze chyba tylko postawić na niewielkim biureczku aparat telefoniczny, dzięki któremu i specjalnej, „gorącej" linii niemal natychmiast Dostojny Gość rozmawiać może z Watykanem.

Zniknęli już cieśle i spawacze. Swoje próby zakończyli też już elektrycy i kamerzyści z wielu renomowanych stacji, a operator sieci NBC po zamontowaniu swojego „Boscha" na podium ołtarza po prostu gdzieś zniknął, wierząc święcie, że gdzie jak gdzie, ale w takim miejscu jego drogocenny sprzęt jest bezpieczny.

— Panie Andrzeju, trochę w lewo, proszę, bo twarzy nie obejmę... — to fotoreporter „Kuriera Polskiego", **Konrad Turowski** uwiecznia łódzkiego rzemieślnika — **Andrzeja Szymczaka**, w którego pracowni stolarskiej powstał biały, papieski tron.

Dziękujemy jeszcze tylko za pomoc „szefowi" grupy, która działała na lotnisku od początku budowy — chorążemu **Sykstusowi Mazurkiewiczowi.** Mocny uścisk i słowa „Do zobaczenia, do jutra" oznaczają, że w sobotę obaj będziemy tu, w pracy...

Zaopatrzeni w specjalną przepustkę przemykamy wieczorem ulicami Łodzi. Wciąż duszno, parno. Jedziemy **na ulicę Olkuską**, gdzie według telefonicznej relacji Czytelnika, wywożone są samochody tych, którzy mimo apeli nie zabrali swych pojazdów z wyłączonych tras. Sygnał jest fałszywy: na ten odległy parking nie trafił jeszcze żaden samochód.

Na ulicy Brzezińskiej, przed „Feniksem" kilkuosobowa grupka pań w białych fartuchach. Zatrzymujemy się.

— Nasz punkt żywieniowy działa już od czternastej, trzymamy się dzielnie i na pewno wytrzymamy w dobrej kondycji do rana... — śmieje się kierowniczka stołówki zakładowej — **Irena Puchalska.** — Mamy trzy rodzaje gotowych porcji żywnościowych, a oprócz tego słodycze i napoje.

— Zatrzymuje się sporo samochodów, zmierzających tędy do Łodzi z sąsiednich województw — dodaje szefowa kuchni z „Feniksa", **Irena Zdanowska.** — Przez kilka godzin utargowałyśmy prawie 80 tysięcy.

Na Dworcu Północnym PKS ruch normalny. Nie widać autobusów, które przyjechałyby jakoś przesadnie przeładowane. Dwaj młodzi ludzie w sutannach, dyżurujący w specjalnie przygotowanym doskonale oznakowanym punkcie informacji kościelnej, oceniają dotychczas przybyłe grupy pielgrzymów na kilka tysięcy.

— Wyjątkowego tłoku nie zauważyliśmy, choć do północy pozostało jeszcze sporo czasu — zerka w swoje tablice dyżurna ruchu, **Marianna Jędrzejewska.**

Dyżurna ruchu na peronie drugim kaliskiej prowizorki — **Anna Myszka** również nie zauważyła, by któryś z pociągów był nadmiernie „nabity" pasażerami. Pochwaliła natomiast za porządek i dobrą organizację grupę pielgrzymów, która przybyła „Toruniem", tym o dziewiętnastej siedemnaście.

Gdy przemykaliśmy odświętnie udekorowanymi ulicami centrum, gdzieś zza krzaków przy ulicy Orlej błyska pomarańczowe światło.

— Pali się?! — **Grześ Gałasiński** natychmiast sięga po swego „Canona". Hamulec, wpadamy w Sienkiewicza, i w lewo. Przy krawężniku rozparte, błyskają pomarańczowymi „kogutami" dwa potężne „Mercedesy". Zamiast skrzyni ładunkowej platforma przystosowana do transportu samochodów... Los jest sprawiedliwy!

— Działamy od czwartku, od rana, no i wyszukujemy tych zapominalskich, którzy mimo znaków, apeli w prasie, trzymają samochody w sąsiedztwie trasy papieskiego przejazdu — zmęczonym nieco głosem tłumaczy starszy inspektor Miejskiej Służby Porządkowej, **Sławomir Kurpienik.**

— Taka bardzo przyjemna to ta robota nie jest — śmieje się stojący obok **Grzegorz Siuda** — mieliśmy już przypadki, że usiłowano przy użyciu ... kuchennych narzędzi przekonać nas, żebyśmy nie brali auta. Ale jak pan widzi nie robimy tego ukradkiem i po kryjomu. Przyjeżdżamy, błyskamy „kogutem", pytamy sąsiadów, w wielu wypadkach właściciel zdąży odjechać już podczas naszej nieobecności.

TERESA JERZYKOWSKA OBSERWOWAŁA DWORCE RANO 13.06.1987 R.

Między godziną czwartą a piątą rano ruch na nie zamkniętej części miasta nie był większy niż zwykle w letnie soboty. Pusto i cicho było o tej porze na Dworcu Kaliskim. Tu również stała — niezależnie od stałych bufetów dworcowych — ciężarówka, w której sprzedawano napoje i zestawy śniadaniowe. Czynny był także — co wydaje się niezbyt dobrym pomysłem — punkt sprzedaży lodów z automatu.

Osoby siedzące za stolikiem z napisem „kościelna służba informacyjna" sprzedawały pamiątki: chu-

Foto: Grzegorz Gałasiński i Witold Werner

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Jacek Głebski Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakoniecznv, Adam Ochocki Jerzy Panasewicz, Karol J. Strviski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045 139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1833 H-2.

Przegląd prasy

W minionym tygodniu na łamach dzienników i czasopism dominowały sprawy związane z trzecią wizytą papieża w Polsce. Ale pojawiły się też teksty nawiązujące do nieco wcześniejszej wizyty p.o. sekretarza generalnego KC KPCh, premiera ChRL Zhao Ziyanga. Papież kieruje Kościołem rzymskokatolickim skupiającym 18 proc. ludności świata. Natomiast premier Chin rządzi krajem, w którym żyje 22 proc. mieszkańców kuli ziemskiej.

O życiu współczesnych Chińczyków ciekawie pisze w „ARGUMENTACH" (nr 24) Marek Wawrzkiewicz. Na ulicach chińskich miast wczesnym rankiem ludzie masowo gimnastykują się. Przeważa tzw. gimnastyka oddechowa. *„Można to robić pojedynczo i grupowo, według własnego programu i pod kierownictwem kogoś, za kim powtarza się poszczególne ćwiczenia. W Szanghaju widziałem mały placyk nad kanałem, na którym zgromadziło się kilkuset gimnastyków obu płci — nikt z ćwiczących nie miał chyba mniej niż 70 lat. Ludzie tu starzeją się wolno, starość wybucha dopiero w bardzo sędziwym wieku: kobiety umierają powyżej 76 roku życia, mężczyźni kilka lat wcześniej".*

CO JEDZĄ CHIŃCZYCY?

Podobno kuchnia chińska jest najlepsza na świecie. Ma tradycję liczącą parę tysięcy lat. Koronnym daniem jest kaczka, którą przyrządza się na setki sposobów. W jadłospisie są również wieprzowina i wołowina oraz warzywa, grzyby, ryby i różne stworzenia morskie.

„Przeciętny obiad składa się z 7-10 dań, zaczyna się od zielonej herbaty, a kończy na zupie, po której mogą być podane już tylko owoce. Większe przyjęcia — to 30 do 40 dań. U nas nikt by tego nie zjadł, nie mówiąc już o tym, że pociągnęłoby to ewentualnie każdego wydającego przyjęcie. Ale to u nas. Chińczycy są ludźmi mądrymi, i zapewne przed setkami lat doszli do wniosku, że tak jest taniej i oszczędniej. Wszystkiego jest po troszeczku — i w ten sposób jednej kaczki starczy np. dla piętnastu osób. Jada się przy okrągłych stołach. Na środku każdego umieszczona jest duża, obrotowa płyta, na której stoją półmiseczki, talerze, miseczki i wazy z potrawami. Każdy z gości obraca sobie tę karuzelę z potrawami i nakłada co i ile chce. Ale nie dużo; musi przecież pamiętać, że pustoszejąca płyta wypełni się za chwilę następnymi daniami".

W ostatnich latach Chiny modernizują swoją gospodarkę. Radykalne reformy i otwarcie na świat przynoszą już pozytywne efekty. Można o tym przeczytać w „PRZEGLĄDZIE TECHNICZNYM" (nr 23). Stanisław Masny przedstawia imponujące dane:

„Dzięki nowej polityce Chiny osiągnęły wysoką stopę wzrostu wynoszącą 6-7 proc. rocznie. Szczególnie interesujące są osiągnięcia chińskiego rolnictwa. W minionym roku spodziewano się zebrać 390 mln t. ziarna, tzn. o 10 mln t. więcej niż w 1985 r. i o 10 mln t. mniej niż w rekordowym 1984 r. Lepsze rezultaty uzyskano w produkcji mięsa i ryb. Według krajowego Biura Statystycznego ChRL wydajność na jednego zatrudnionego w rolnictwie wzrosła w latach 1978-85 o 92 proc. i osiągnęła 1706 juanów, podczas gdy wydajność z hektara wzrosła o 48,8 proc., tzn. 19 905 juanów".

W chińskich zakładach przemysłowych instaluje się najnowsze maszyny i urządzenia. O poziomie naukowo-technicznym kraju świadczy fakt, że w 1984 roku wystrzelono satelitę stacjonarnego do odbioru pekińskiego programu telewizji w Tybecie. Notabene ten pierwszy chiński satelita został precyzyjnie umieszczony na orbicie bez żadnych wcześniejszych prób. Nic więc dziwnego, że zaproponowano innym krajom usługi kosmiczne. Chiny mają też rozwinięty przemysł jądrowy. Rocznie eksportują 1000 t. uranu. Już w 1964 roku dysponowały własną bombą atomową, a dwa i pół roku później wodorową.

SYZYFOWE CENY

W naszym kraju nie mamy, niestety, tak znaczących dowodów efektywności reformy. Borykamy się z rozmaitymi zjawiskami kryzysowymi. Należy do nich przede wszystkim inflacja. Stawia bowiem oszczędzających w sytuacji mitologicznego Syzyfa.

Andrzej Krzysztof Wróblewski analizuje w „ODRZE" (nr 5) przypadek obywatela, który w 1981 roku zapisał się na malucha i wpłacił 44 tys. 500 zł, czyli 30 proc. ówczesnej ceny tego samochodu.

„Płacił co miesiąc 1000 złotych, płacił, aż z początkiem roku 1982 cenę podniesiono i stan jego oszczędności osiągnął ...25 procent ceny, czyli mniej niż na starcie. Pocieszał się jednak, że to jednorazowy skok, wszystkie ceny wtedy podniesiono, żeby ratować spustoszałą gospodarkę kraju, zresztą rewaloryzowano i oszczędności. Po roku płacenia rat cena jednak znów uciekła w górę i nasz Syzyf osiągnął ledwie 32 procent jej wysokości. Płacił dalej, posuwał się w górę, zbliżył się już do połowy — ale po kolejnej podwyżce spadł znów do 40 procent. Od nowa zyskiwał teren. W połowie 1985 doliczono do ceny 10-procentowy dodatek na fundusz modernizacji przemysłu motoryzacyjnego, co go nieco cofnęło, ale po paru miesiącach przekroczył wreszcie połowę ceny. Kiedy kolejny raz podniesiono cenę w początku 1987, nasz klient uzbierał łącznie z odsetkami, niespełna 150 tys. zł, a cena podstawowego modelu ustalona została na 440 tys. zł, — czyli znajduje się niemal dokładnie w punkcie wyjścia, około 30 procent!"

Andrzej K. Wróblewski podkreśla, że gdyby Polacy kierowali się rozsądkiem, to w ogóle nie kupowaliby samochodów. Albowiem są one w Polsce strasznie drogie, a równocześnie komunikacja zbiorowa jest bardzo tania. Bilet na autobus miejski lub metro kosztuje w Nowym Jorku około dolara, w Hamburgu dwie marki, w Paryżu cztery franki, w Londynie dziewięćdziesiąt pensów. Jest to drogo. Za równowartość 5 tysięcy biletów w każdym z tych krajów można kupić skromny, ale całkiem nowy samochód. A co można kupić u nas za 5 tysięcy biletów tramwajowych czy autobusowych (obecnie 35 tys. zł.)? Na giełdach maluchy przekroczyły już barierę miliona złotych.

Paradoks polega na tym, że dla państwa każdy pasażer tramwaju i autobusu jest ciężarem, ponieważ opłaty za przejazd nie pokrywają nawet jednej trzeciej kosztów, natomiast każdy nabywca samochodu jest filantropem. *„Filantrop pcha się z pieniędzmi, na których państwo może ubić spory zysk. Ale państwo odpycha go i kieruje do deficytowego autobusu".* Mimo wszystko jednak bardziej opłaca się w Polsce ulokować pieniądze w samochód niż na wysoki procent w PKO. Tego nie zrozumiałby żaden obywatel kraju zachodniego...

RÓWNI I ROWNIEJSI

Samochody posiada 27 proc. polskich gospodarstw domowych. To znaczy, że blisko trzy czwarte społeczeństwa musi zadowolić się komunikacją publiczną. Nie tylko takie jednak nierówności występują w naszym kraju. Okazuje się, że nawet w dziedzinie edukacji dzieci z różnych środowisk społecznych mają obecnie nierówne szanse. Mówi o tym prof. dr hab. Maria Jarosz w wywiadzie udzielonym Michałowi Maliszewskiemu dla tygodnika „WYBRZEŻE" (nr 24).

Spośród absolwentów szkoły podstawowej w 1984 roku na studia wyższe dostało się co 2-3 dziecko inteligenckie, co 11 robotnicze i co 23 chłopskie. *„Świadczy to o tym, że społeczeństwo, które było tak otwarte zaraz po wojnie, gdzieś w połowie lat sześćdziesiątych zaczęło się zamykać. I teraz dziecko jest jakby przypisane do swego środowiska. A zatem młodzież nie ma właściwie szans na decydowanie o swojej drodze życiowej i karierze edukacyjnej".*

W sondażach socjologicznych młodzi oceniają realistycznie swe szanse i często wcale nie mówią o dążeniach do studiów wyższych. Wygląda na to, że utracili oni wiarę w awans społeczny, ponieważ kanały ruchliwości są zablokowane. Postępuje proces petryfikacji (kostnienia) struktury społecznej Polski Ludowej.

W młodym pokoleniu występuje zjawisko zwane przez socjologów spieniężaniem motywów. *„Polega ona na następującym rozumowaniu: nawet jeśli się nie przepchnę, nie dopchnę, nie zrobię kariery społecznej, politycznej, nie zajmę stanowiska, to chociaż zrobię pieniądze. I rzeczywiście, część ambitnej młodzieży to właśnie wybiera. Nie przejmuje się ona tym, że właściwie potem nie będą się zaliczać do inteligencji, zwłaszcza, że część ma za sobą studia wyższe, a wykształcenie występuje tu wyraźnie jako wartość sama w sobie. Przy tym pokutuje, jak myślę z czasów gierkowskich, taki pogląd, że studia, kariera, stanowiska nie są dla każdego, ale już dacza czy samochód, to prosta sprawa. A tymczasem człowiek, który próbuje do tego dojść pracą, wychodzi na nieudacznika i zniechęca się do wszystkiego. Zatem mówiło się najpierw, że każdy może osiągnąć wykształcenie, a później — że status materialny. W rzeczywistości — i jedno, i drugie jest bardzo trudne do osiągnięcia".*

W celu wyrównania szans edukacyjnych powinno się podjąć odpowiednie działania już w przedszkolu i pierwszych klasach szkoły podstawowej. Obecnie szkoła nastawiona jest głównie na kształcenie średniaków. Nie ma zaś w niej miejsca dla najzdolniejszych oraz mniej zdolnych uczniów.

Podobne problemy edukacyjne i poważniejsze występują w krajach zachodnich. Wskazuje na to w tygodniku „ODRODZENIE" (nr 24) Mikołaj Kozakiewicz, z którym rozmawia Stanisław Mieńkowski

„Być może zbyt wiele oczekiwano od oświaty — czytamy — ale jest faktem, że szkolnictwo nie zlikwidowało nierówności społecznych i przywilejów. Rodzą się pytania o sens kształcenia, jeżeli 20-40 proc. młodych ludzi nie ma na Zachodzie szans na uzyskanie pracy zawodowej. Jeszcze gorzej jest z wykorzystaniem posiadanych kwalifikacji wśród tych, którym udaje się uzyskać pracę".

JUŻ 25 LAT

ukazuje się na polskim rynku wydawniczym czasopismo laickie „CZŁOWIEK I ŚWIATOPOGLĄD". W numerze jubileuszowym (3) znajduje się m. in. ciekawy felieton Mariana Jurkowskiego na temat prawdy. Zaczyna się następująco:

„Istnieje taka bajka, przytaczana także w «Pieśniach» Horacego, o nagiej prawdzie (nuda veritas), według której Prawda i Fałsz wybrały się pewnego dnia do kąpieli; pierwszy wyszedł z wody Fałsz, ustroił się w szaty Prawdy i poszedł w świat między ludzi, zaś Prawda, nie chcąc ubrać się w szaty Fałszu, poszła w świat nago. Warto w związku z tym przypomnieć, że jeden z carskich cenzorów rosyjskich nie chciał przepuścić w tekście wyrażenia «naga prawda» (gołaja istina), tłumacząc swą decyzję tym, iż prawda (istina) jest rodzaju żeńskiego, a nie wypada przecież damie pokazywać się na świecie nago".

W tym samym miesięczniku Andrzej Wieluński rozmawia z historykiem, prof. Janem Baszkiewiczem. Znany uczony uważa za błędne powszechne przeświadczenie, że jesteśmy narodem szczególnie doświadczonym przez historię. *„Mało kto zastanawia się nad tym — mówi — że ten nasz los wcale nie był taki szczególny, że narody bardziej jeszcze doświadczone są na każdym kontynencie, że może warto byłoby przyjrzeć się, jak radziły sobie one ze swoim losem, z nieszczęściami i kataklizmami".*

Jan Baszkiewicz powiada, że Polacy są źle zadomowieni w teraźniejszości i przez to szukają azylu w przeszłości bądź w utopijnej przyszłości. Z tego zaś wynika kult przeciętności i bylejakości oraz poprzestanie na małym.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

W cieniu idola

Jak to się dzieje, że jakiś przywódca, monarcha, prezydent lub inna osobistość polityczna staje się bożyszczem tłumów, tym, komu się bez zastrzeżeń ufa i wierzy, że potrafi wybawić naród od nieszczęść, zapewnić mu wszelką pomyślność, słowem, że jest bezgranicznie mądry i szlachetny. A przecież przeciętny obywatel na ogół nie ma żadnych danych o zaletach i talentach przywódcy, nawet jeśli jest on osobą, która przedstawia publicznej ocenie swój punkt widzenia i program działania, niewielu jest bowiem ludzi, którzy potrafią cały problem ogarnąć.

A czyż mało było osób — polityków i wodzów, którzy bezpodstawnie przypisywali sobie cudze pomysły i osiągnięcia albo też byli tylko figurantami, wykonującymi posłusznie polecenia kliki, wśród której wodziła rej jakaś szara eminencja. Pomimo tego w różnych krajach i różnych czasach pojawiają się jednostki pozyskujące sobie poparcie tłumów, czczone przez nie bałwochwalczo, choć potem okazuje się, że bezpodstawnie.

Do zastanowienia się nad tymi sprawami mógł ostatnio pobudzić polskie społeczeństwo telewizyjny serial „Zamach stanu" (choć nie tylko on). Pozostańmy więc przy bohaterze serialu, Józefie Piłsudskim, którego osobą twórca filmu i zarazem odtwórca głównej roli uległ niewątpliwej fascynacji, mimo iż przypomniane w filmie fakty zdają się takiemu zauroczeniu nie sprzyjać.

Otóż marszałek był człowiekiem, którego najpierw w szerokich kręgach społecznych, a potem już tylko we własnym obozie politycznym otaczał romantyczny nimb zwycięskiego wodza i wyzwoliciela narodu z półtorawiekowej niewoli. Inne środowiska polityczne (od endecji przez socjalistów do ludowców i komunistów), stanowiące w sumie zdecydowaną większość społeczeństwa, uważały go, zwłaszcza po przewrocie majowym i procesie brzeskim bądź za człowieka wypełniającego wolę warstw posiadających, zwłaszcza kresowych „żubrów", bądź za niedowiarka i masona, pokumanego potajemnie z Żydami, a cała opozycja zgodnie za patrona rządzącej kliki legionowych pułkowników i brutalnego dławiciela obywatelskich swobód, jawnie lekceważącego prawo i konstytucję (to prawie humorystyczne, że tak wielu widzi w nim symbol wolności).

Kult marszałka uprawiano za jego życia i z jego przyzwoleniem. Jego imieniem (a także żony Aleksandry) nazywano ulice i szkoły, imiona córek — Jagódki i Wandy, otrzymały dwa statki żeglugi przybrzeżnej, uczono młodzież w szkołach wieczszy i piosenek o Komendancie, a wreszcie Sejm uchwalił ustawę o ochronie imienia marszałka Józefa Piłsudskiego („największego Polaka w dziejach"); czyli za krytykę osoby szło się siedzieć.

Ale nawet najgorliwsi zwolennicy kultu marszałka zamilkli w czasie okupacji z powodu klęski wrześniowej, będącej w odczuciu narodu skutkiem polityki obozu piłsudczyków, w czym utwierdzały Polaków ciepłe słowa o Józefie Piłsudskim wygłoszone po wrześniowej klęsce przez Hitlera, złożenie wieńca na grobie Piłsudskiego przez hitlerowskiego generała i postawienie honorowej warty niemieckiej. Ogromna część Polaków oczekiwała więc wyzwolenia od Władysława Sikorskiego, antagonisty Piłsudskiego.

A jednak w niektórych kołach kult Józefa Piłsudskiego zdaje się odżywać (być może wskutek powszechnej niewiedzy historycznej przy rzekomych zainteresowaniach historią), ale jest też świadomie podtrzymywany, jak np. przez wspomniany „Zamach", gdzie dość skąpo cytuje się obelżywe wypowiedzi Józefa Piłsudskiego o opozycyjnych politykach jako bandzie złodziei i ludziach ograniczonych, ale w filmie nie wypowiada on tych słów tonem pogardy i nienawiści (co byłoby prawdziwe psychologicznie i historycznie), lecz w sposób ujmująco łagodny, ojcowsko-zatroskany, z moralnym prawem do karcenia innych. A gdy megalomańsko stwierdza, iż dał Polakom niepodległość widzimy tylko otoczenie przytakujące, jakby uznawanej oczywistości, choć opowiedzenie się Józefa Piłsudskiego po stronie Austrii i Niemiec, a więc nie tylko przeciwko Rosji, lecz również Francji, Anglii, nie pomagało polskiej delegacji pokojowej w Wersalu.

Myślę, że sprawę kultu przywódczej jednostki — świeckiej czy duchownej, wyjaśnił nieźle termin „zamówienia społecznego". Są bowiem momenty (to odrębny temat), kiedy społeczeństwo zaczyna odczuwać potrzebę pojawiania się autorytatywnego, charyzmatycznego przywódcy, a kiedy ulegnie autosugestii (manipulacji propagandowej!), że oto się pojawił, gotowe jest pójść ślepo na każdą zbrodnię.

Można więc chyba powiedzieć, że kult jednostki triumfuje, kiedy rozum nie jest w cenie, kiedy słabnie chęć dociekania prawdy, a dominuje potrzeba przeżywania stadnych emocji, w których zatraca się indywidualność jednostki, jak w zbiorowych psychozach średniowiecza. Racjonalizm przechodzi u nas (i jeszcze w niektórych krajach) wyraźny kryzys.

Kto za ten stan umysłów odpowiada?...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— **Pierwszy odcinek arcyciekawych wspomnień ADAMA OCHOCKIEGO z jego ponad sześcioletniego pobytu w Związku Radzieckim w latach wojny. Po dramatycznej ucieczce przed hitlerowcami i licznych tarapatach Autor dotarł aż do Azji Środkowej, nad granicę z Afganistanem, gdzie próbował szczęścia w rozmaitych zawodach. Polował na żółwie, był paganiaczem wielbłądów. Pamiętnik ADAMA OCHOCKIEGO, mimo jego ciężkich doświadczeń, napisany z humorem i autoironią, czyta się jednym tchem!**

— **Ludzie mają różny stosunek do panującego w Polsce ładu politycznego. Socjologowie wyodrębniają cztery orientacje: zwolenników, przeciwników, centrowców i milczącą mniejszość. Która grupa jest najliczniejsza? Jakie instytucje i osobistości cieszą się największym zaufaniem? — odpowiedź w artykule EDMUNDA LEWANDOWSKIEGO.**

— **Wstrząsająca historia ekspedientki, która zapłaciła własnym życiem za sprzedaż dwóch butelek wina — reportaż ROMANA KUBIAKA.**

— **Szwajcaria była kiedyś biedna, a dziś jest to kraj paradoksów: z natury ubogi, lecz bardzo zamożny; obywatele są pracowici i oszczędni aż do przesady — pisze JAN BĄBIŃSKI.**

— **Następny fragment powieści ANATOLIJA RYBAKOWA „Dzieci Arbatu", która stała się światową sensacją literacką i polityczną.**

LITWA: dramatyczne położenie na początku lat osiemdziesiątych XIV wieku. Polska poszukuje sojusznika. W walce o przyszłość Polska opiera się o Wschód. Litwa już dłużej nie może pozostać pogańska. Prawosławie czy katolicyzm? Jakim człowiekiem był zwycięzca spod Grunwaldu?

„Służ Bogu, a diabła nie gniewaj"

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Druga połowa XIV wieku. W dwóch państwach Europy wschodniej dojrzewa sytuacja do ostatecznych decyzji: w Polsce i na Litwie.

Popatrzmy na sytuację ówczesnej Polski. Od północy coraz silniej zagraża jej Zakon Krzyżacki, który najpierw musi się uporać z Litwą, zagarnąć Żmudź, aby połączyć się z Zakonem Kawalerów Mieczowych i stworzywszy silne państwo zakonne, sięgnąć po Polskę. Od zachodu i południa trwa napór germański. Luksemburgowie i Habsburgowie poprzez małżeństwa z córkami Ludwika Andegaweńskiego chcieli sięgnąć po koronę polską i węgierską. Zygmunt Luksemburski — mąż starszej córki Ludwika Andegaweńskiego, Marii — wezwany na tron węgierski został niebawem również królem Czech, Niemiec i cesarzem. Luksemburgowie zawładnęli już Śląskiem i byliby skłonni zagarnąć pozostałe ziemie polskie. Od wschodu zagrażają Polsce liczne najazdy zagonów litewskich oraz trwa spór o Ruś Halicką.

JAKA BYŁA SYTUACJA LITWY?

Litwa również była zagrożona ze wszech stron. Od wschodu i północy zagrażali jej Krzyżacy i Kawalerowie Mieczowi. Od południa Tatarzy. Od zachodu — Polska, która chciała utrzymać Ruś Halicką i powstrzymać najazdy litewskie. Najtrudniejsza i najbardziej skomplikowana sytuacja była na wschodzie, gdzie Dymitr Iwanowicz — a od 1380 roku Doński — pobił Tatarów Mamaja na Kulikowym Polu nad Donem i — choć oni w dwa lata później spalili Moskwę — scalał ziemie ruskie i tworzył nowe państwo moskiewskie. Rosnąca w potęgę Ruś była poważnym zagrożeniem dla Litwy, gdyż musiałaby odebrać jej ziemie ruskie.

W tej sytuacji należało dokonać wyboru. Władcy Litwy rozumieli doskonale, że nie mogą nadal być poganami, ale nie byli zdecydowani skąd przyjąć chrześcijaństwo: ze wschodu, czy z zachodu? Prawosławie, czy katolicyzm? Każda decyzja musiała mieć swoje skutki polityczne.

Historycy spierają się po dziś na temat skutków decyzji Wielkiego Księcia Litwy Jagiełły. W 1382 roku zawarła bowiem z Dymitrem Dońskim układ, na mocy którego:

„Ożenić się ma on z córką wielkiego księcia Dymitra Iwanowicza, a wielkiemu księciu Jagielle ochrzcić się na wiarę prawosławną (...) i chrześcijaństwo objawić wszystkim ludziom".

Jagiełło zatem nie tylko rozważał możliwość przyjęcia prawosławia, ale poczynił ku temu konkretne posunięcia i to nie tylko dyplomatyczne. Dlaczego jednak do tego nie doszło?

Stefan Maria Kuczyński uważa, iż *„zachodziła realna obawa, że po przyjęciu prawosławia i uzależnieniu się od opieki w. ks. moskiewskiego Jagiełło zejdzie do roli zbliżonej do swych braci i krewniaków, którzy uznawać poczynali już w tym czasie ośrodek moskiewski za miejsce oparcia przeciwko Tatarom, Inflantom i własnym w. książętom litewskim. Wobec istnienia w Moskwie metropolii, której władza — na wypadek przyjęcia przez Jagiełłę chrztu o obrządku prawosławnym — rozciągałaby się i na ziemie litewskie, oraz wobec i tak daleko posuniętego procesu przejmowania kultury i języka ruskiego przez książąt i bojarów litewskich, nie mogło ulegać wątpliwości, że w prawosławnej Litwie Jagiełło w niedługim czasie znalazłby się w sytuacji w. ks. twerskiego czy riazańskiego...".*

Natomiast Jaweł Jasienica w „Myślach o dawnej Polsce" wysuwa inne przypuszczenie: *„Prawosławni i doszczętnie zruszczeni, lecz niezależni od Ordy Jagiellonowie mogli wytworzyć w Wilnie ośrodek naprawdę atrakcyjny dla Rusinów, zamiast „satelitą" stać się groźnym konkurentem Moskwy".*

Są to wszakże wszystko przypuszczenia. Wszystko natomiast wskazuje na to, że Jagiełło — jako wytrawny polityk — dokonał jedynie możliwego wyboru. Właściwie ocenił sytuację Litwy i Polski i wyciągnął z tej oceny należyte wnioski.

CO WPŁYNĘŁO NA DECYZJĘ JAGIEŁŁY?

Przede wszystkim Jagiełło był dobrze zorientowany w tym, co działo się w innych państwach. Wiedział, bo wiedzieć musiał, że choćby tylko Ludwik Andegaweński nakazywał traktować prawosławnych Rusinów w Rusi Halickiej jako heretyków, a zatem nieprawowiernych katolików. Czy Krzyżacy i Kawalerowie Mieczowi mogli inaczej potraktować Litwinów, gdyby przyjęli chrzest w obrządku prawosławnym?

Po drugie — i to może przeważyło — Jagiełło potrzebował sojusznika, z którym miałby wspólne interesy w wojnie przeciw Zakonowi Krzyżackiemu. Ruś takich interesów nie miała. Ruś była zagrożona przede wszystkim przez Tatarów. Musiała wyzwolić się spod tatarskiego panowania. A to nie bardzo sprzyjało interesom Jagiełły i Litwy. Silna Ruś — to słaba Litwa, bo pozbawiona ziem ruskich. Silna Ruś nie miałaby żadnych interesów w walce z Zakonem Krzyżackim. To nie był pożądany i potrzebny sojusznik.

Warto pamiętać, że we wrześniu 1380 roku, gdy wojska chana Mamaja i wielkiego kniazia Dymitra Iwanowicza stanęły naprzeciw siebie na Kulikowym Polu nad Donem, to Jagiełło był z wojskami litewskimi o dzień drogi od pola bitwy. Komu śpieszył na pomoc? Chanowi Mamajowi! Nawet w tym celu — aby mieć na ten czas święty spokój na zachodniej granicy — zawarł pokój z Krzyżakami. Czy pomógł Chanowi Mamajowi, gdy go rozbijały wojska ruskie? Nie! Krzyżaccy kronikarze utrzymywali, że czekał na zwycięzcę, aby go rozbić. Aby nikt nie osiągnął przewagi. Próbował nawet szarpać wracające z boju oddziały ruskie, ale okazały się na tyle jeszcze silne i upojone zwycięstwem, że rozbić się i ograbić z łupów nie dały się.

W dwa lata później pojechał jednak do Moskwy i próbował sojuszu z Dymitrem Dońskim, ale w te dwa lata później, czyli w 1382 roku Chan Tatarów Tochtamysz zdobył Moskwę i ją spalił. Jesień 1382 roku — jak pisze Paweł Jasienica, powołując się na historyków radzieckich — była najcięższa dla Dymitra Dońskiego. Taki sojusznik Jagielle nie był potrzebny. Pozostawała tylko Polska.

W Polsce skończył się okres panowania Piastów i trzeba było króla, który miałby autorytet wobec możnych panów Małopolski i Wielkopolski, jak i sąsiadów. Mieszko I — jak to zauważa Andrzej Wasilewski w książce „Wschód, Zachód i Polska" — otworzył kraj na zachód, bez żadnej asekuracji politycznej. *„Był to krok nadzwyczaj śmiały, zarazem niezbędny i ryzykowny".* Ale sytuacja zmieniła się na tyle, że teraz z zachodu napływało dla Polski zagrożenie. Polska — okazało się — była sama. Nie mogła liczyć na pomoc ani z zachodu, ani z południa, bo tam panował już nieprzyjazny Polsce spadkobierca Andegawenów — Zygmunt Luksemburski. Polska mogła oprzeć się tylko o wschód. Musiała dokonać zmiany orientacji. Ale na wschodzie była słaba Ruś — walcząca o samodzielność z Tatarami i... poszukująca pomocy, choć pogańska, ale przecież jeszcze silna, opierająca się najazdom krzyżackim — Litwa. Panowie małopolscy odważyli się wówczas — jak pisze Andrzej Wasilewski — *„na ryzyko osadzenia na tronie chrześcijańskiej Polski barbarzyńskiego według ówczesnych pojęć Jagiełły".* Był to krok ryzykowny, ale niezbędny. *„Było to* — pisze Andrzej Wasilewski — *w istocie pierwsze polityczne oparcie się Polski o Wschód w walce o swoje istnienie".* W tym historycznym momencie nikt nie myślał — jeśli myślał politycznie, legendy dorabia się zwykle później — o ekspansji na wschód, o misji katolicyzmu i tym podobnie.

I wreszcie trzeci czynnik — Litwie potrzebna była ideologia dla zjednoczenia, scalenia jej ziemi i ludów, dla przeciwrwagi ideom niesionym i szerzonym przy pomocy miecza i pożogi przez Krzyżaków. Wprawdzie to był taki sam katolicyzm, ale katolicka Polska nie oferowała religii wraz z mieczem i niewolą. Przeciwnie — Wielki Książę Litewski miał zostać królem Polski. Oferowała religię, koronę i narzeczoną. To było jednak coś innego. Katolicyzm oferowany przez Polskę nie musiał jednoznacznie kojarzyć się z tym, co nieśli z sobą katoliccy Krzyżacy, Polska była tak samo zagrożona przez Zakon, jak i Litwa. A więc oba państwa i narody mogła połączyć wspólnota interesów.

WIELKI KSIĄŻĘ JAGIEŁŁO OLGIERDOWICZ

gdy przyszło mu dokonywać wyboru, nie był tak wcale niezorientowany w tym, czym jest chrześcijaństwo tak obrządku prawosławnego, jak i katolickiego. Na Rusi należącej do Litwy było 11 klasztorów, arcybiskupstwo w Kijowie i powstałe w czasach Włodzimierza Wielkiego (980 — 1015) biskupstwa. W XIII wieku w Grodnie wybudowano dwie cerkwie, a w XIV wieku — dwie w Wilnie. Na dworze książąt litewskich przebywali katoliccy zakonnicy: dominikanie, franciszkanie. Na dworze u Jagiełły przebywał franciszkanin Piotr Philargi — wybrany w 1409 roku papieżem podczas wielkiej schizmy. W 1317 roku na synodzie w Konstantynopolu był metropolita litewski nieznanego wszakże imienia. Do unii zawartej w Krewie w sierpniu 1385 roku 16 książąt litewskich przyjęło prawosławie. Niektórzy twierdzą, że również Jagiełło przyjął prawosławie w 1383 roku. Byłby to wynik umowy zawartej w 1382 roku z Dymitrem Dońskim, którego zięciem miał Jagiełło zostać.

Jan Długosz — zwolennik Zbigniewa Oleśnickiego, przeciwnika Jagiellonów — dał Jagielle niezbyt przychylne świadectwo. Ale Jan Długosz nie był świadkiem opisywanych zdarzeń, choć niektórzy twierdzą, że miał dobrych informatorów i warto mu wierzyć, to przecież musiał przekazywać tych informatorów opinie, poglądy, antypatie i sympatie. Współcześni historycy są zgodni, że Jan Długosz nie dał wiernego obrazu założyciela dynastii Jagiellonów — Władysława Jagiełły.

Władysław Jagiełło — który chrzest przyjął 14 lutego 1386 roku, ślub z Jadwigą wziął 17 lutego, a koronowany został na króla Polski 4 marca tegoż 1386 roku — *„był mężczyzną średniego wzrostu o pociągłej i chudej twarzy, zwężonej przy brodzie, o małej, podłużnej i spiczastej głowie, niemal całkowicie pozbawionej włosów".* Ale tenże Jan Długosz, gdy wspomina przybycie Jagiełły do Polski i ciekawość Jadwigi, której opowiadano, że jedzie do niej szpetny człowiek, tak opisuje relację specjalnego wysłannika Zawiszy z Oleśnicy:

„Książę Jagiełło będąc pewnym, że królowa wysłała do niego posła celem poznania jego urody i budowy ciała, o której fałszywa opinia powszechnie głosiła, że jest szpetna, przyjął posła uprzejmie i życzliwie. Ażeby lepiej zobaczyć nie tylko jego postać, ale i kształt jego ciała poprowadził go ze sobą do łaźni".

Mógł zatem Zawisza z Oleśnicy napatrzeć się *„wszystkiemu do woli"*, po powrocie do Krakowa donieść Jadwidze, że *„sylwetka księcia Jagiełły jest zgrabna, kształtna, ciało dobrze zbudowane, wzrost średni, spojrzenie wesołe, twarz podłużna, bez żadnego jednak śladu szpetoty, a obyczaje poważne i godne księcia".*

Te obyczaje Jagiełły niezbyt podobały się Janowi Długoszowi, gdyż pisze, że spał i odpoczywał nieraz do południa i przez to zaniedbywał mszy świętej o właściwej porze. Był *„opanowany żądzą polowania aż do całkowitego zaniedbywania spraw publicznych"*, *„nie miał wielkich zdolności umysłowych"*, ale *„był sprytny"*, a przy tym *„żarłok nie tylko nie znający granic, ale też stosownej chwili"* i na przykład w święta zjadał 100 potraw, a w inne dnie — od 30 do 50. Pisze dalej Jan Długosz, że Jagiełło *„obżarłszy się odpoczywał i spał długo jak zabity"*. Wytyka mu, że *„przestrzegał niektórych przesądów"*, że jako *„człowiek prostych obyczajów nie umiał niczego udawać"*, że był raczej *„rozrzutny niż hojny"*, że rycerzom, którzy z nim polowali rozdawał majątki, więcej dbał o Litwę niż o Polskę i to dbał o Litwę kosztem Polski.

Ale też chwali Jan Długosz króla Władysława Jagiellę za pobożność, gdyż zawsze w Wielki Czwartek mył nogi 12 ubogim, „o czym wiedziało tylko kilku jego sekretarzy", że nikogo nie wypuścił od siebie po posłuchaniu, aby go nie obdarować, że *„z ciepłej kąpieli korzystał co drugi dzień, a nieraz i częściej"*, że ubierał się skromnie, *„bo nienawidził futer ze skór sobolich, kunich, wilczych i innych"*, że każdy piątek żył tylko chlebem i wodą.

Jerzy Ochmański w książce „Dawna Litwa" cytuje mistrza Mikołaja Kozłowskiego, który w dwa miesiące po śmierci Władysława Jagiełły w kazaniu do ojców soboru bazylejskiego skierowanym, 31 lipca 1434 roku tak oto polskiego króla scharakteryzował:

„Mądrością nad wszystkimi poczwórnie górował, mianowicie w wyrokach sądowych, w dawaniu rad, w znajdowaniu nowych sposobów i w zapobieganiu podstępom przeciwnika. (...)

Król ten zawsze był trzeźwy, gdyż wina ani miodu nie pijał, zawsze czysty, gdyż poza żoną popędów cielesnych nie miewał. Któż mógłby opowiedzieć, jak był rzetelny w mowie, wierny w obietnicach i w innych licznych cnotach przeżarty. W różnych ziemiach wojnami dowodził swego królestwa granice osłaniając, królestwo jego zawsze jednak było spokojne, pokojowe i bezpieczne, wyjąwszy dwóch przypadków, dobrze właśnie ustrzeżonych".

W Poznaniu — na początku swego panowania w Polsce — miał udzielić odpowiedzi zgodnej z ruskim przysłowiem:

„SŁUŻ BOGU, A DIABŁA NIE GNIEWAJ"

Maksyma ta może z powodzeniem charakteryzować jego politykę, metodę jego postępowania, kiedy zawsze na pierwszym miejscu stawiał interes Litwy, a później Polski. Po śmierci Olgierda miał rządzić Litwą razem z Kiejstutem, tak jak jego ojciec wspólnie rządził Litwą z bratem. Kiejstut doszedł jednak do wniosku, że Jagiełło nie jest odpowiednim partnerem do rządów, napadł Wilno, zajął je, a Jagiełłę odesłał do Witebska. Jagiełło przy pierwszej sposobności odebrał Wilno, a Kiejstuta wysłał do Krewy. Do dziś właściwie nie wiadomo, czy Kiejstut tam umarł ze starości i przeżyć, czy ktoś mu w tym pomógł. Krzyżacy niedwuznacznie oskarżyli Jagiełłę, że to na jego rozkaz uduszono Kiejstuta.

Litwa była zagrożona. Był rok 1382. Krzyżacy najeżdżali Litwę kiedy chcieli i jak chcieli. Musiał więc zawrzeć Jagiełło z nimi układ, oddając im Żmudź, aż po rzekę Dubissy, uzależniając się do nich we wszelkich poczynaniach i zobowiązując się przyjąć z ich ręki chrzest. Już latem 1383 roku zerwał ten układ. Ale w rok później — walczący z nim o wpływy na Litwie Witold Kiejstutowicz — zostanie lennikiem Zakonu i odda mu Żmudź aż po rzekę Niewiażę wraz z kowieńszczyzną. Jan Długosz natomiast przeciwstawiał Witolda Jagielle, jako bardziej wytrawnego polityka.

„W Polsce i na Litwie — napisał Stefan Maria Kuczyński — *ocenili Jagiełłową wytrwałość i energię w osiąganiu zamierzonych celów, jego wybitną inteligencję i wielkie zdolności".*

Ocenili wówczas, gdy Polska była w potrzebie. Później historycy mieli go raczej za człowieka, któremu los sprzyjał, ale który był niezbyt bystry. Czy mieli rację?

Regulamin nagrody tygodnika „Odgłosy" za upowszechnianie kultury w roku 1987

1. Nagrodę tygodnika „Odgłosy" za upowszechnianie kultury w 1987 roku w wysokości 60 tysięcy złotych przyznaje jury na wniosek Czytelników „Odgłosów" oraz stowarzyszeń twórczych, regionalnych, instytucji zajmujących się działalnością kulturalną.

2. Kandydatami do nagrody mogą być ludzie lub zespoły ludzi, którzy w 1987 roku wyróżnili się oryginalnymi koncepcjami, inicjatywami, pomysłami, eksperymentami, poszukiwaniem nowych form, poczynaniami organizacyjnymi oraz wybitną aktywnością w upowszechnianiu kultury, co znalazło potwierdzenie w praktyce.

3. Nagroda jest niepodzielna i może być przyznana jednej osobie lub zespołowi.

4. Do nagrody tygodnika „Odgłosy" można kandydować wiele razy, jeśli osiągnięcia w upowszechnianiu kultury w minionym roku upoważniają to złożenia właściwego wniosku.

5. Laureaci nagrody tygodnika „Odgłosy" za upowszechnianie kultury mogą kandydować ponownie dopiero po upływie 5 lat od roku otrzymania nagrody.

6. Wniosek o przyznanie nagrody powinien być sformułowany na piśmie, dokładnie udokumentowany działalnością obejmującą rok 1987, i zgłoszony w redakcji tygodnika „Odgłosy" do 31 stycznia 1988 roku.

7. Jury może odstąpić od przyznania nagrody, jeżeli ilość kandydatów będzie mniejsza niż trzy, albo jeśli nadesłane wnioski nie będą odpowiadały wymaganiom regulaminu.

8. Fundatorem nagrody tygodnika „Odgłosy" jest Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch".

9. Jury nagrody tygodnika „Odgłosy" na wniosek redaktora naczelnego „Odgłosów" powołuje dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego.

10. W skład jury nagrody tygodnika „Odgłosy" wchodzą:

— przedstawiciel Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego,

— dwóch członków zespołu tygodnika „Odgłosy",

— przedstawiciel Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi,

— przedstawiciele stowarzyszeń twórczych, zrzeszeń zawodowych — literatów, muzyków, plastyków, dziennikarzy i innych.

Skład jury nie może przekraczać 11 osób.

11. Wyniki pracy jury zostaną ogłoszone po 1 maja 1988 roku.

Za rok po raz czwarty nagroda „Odgłosów"

Niedawno odbyła się uroczystość wręczenia po raz trzeci nagrody „Odgłosów" za upowszechnianie kultury w 1986 roku, Tadeuszowi Michalskiemu, a oto już rozpoczynamy czwartą edycję tej nagrody. Regulamin wyraźnie określa, że będzie to nagroda za upowszechnianie kultury w 1987 roku. Jest to ważny i istotny moment, gdyż panuje u nas tendencja do zgłaszania kandydatów, którym należałoby przyznać nagrodę „za całokształt" upowszechniania. Jest to nieporozumienie. Nasza nagroda ma wyraźnie charakter doroczny i przy jej przyznawaniu jury bierze pod uwagę zgodność z regulaminem, a więc, czy dokonania kandydata odnoszą się tylko do roku 1987 — o którym mówi regulamin — lub następnych w następnych latach, zawsze zgodnie z regulaminem.

I drugi istotny moment: kandydaci zgłaszani w latach ubiegłych, jeśli w następnym roku mają określone i liczące się dokonania, to również mogą być zgłoszeni do nagrody. Nie mogą być zgłaszani tylko ci, którzy już zostali jej laureatami i to tylko przez pięć lat od daty otrzymania.

Życzymy więc wszystkim potencjalnym kandydatom dużych sukcesów, aby w maju 1988 roku jury miało duży wybór kandydatów i mogło przyznać nagrodę „Odgłosów" po raz czwarty.

Na łamach „Odgłosów" zwyczajem lat poprzednich będziemy publikowali wypowiedzi naszych Czytelników na temat tego, komu przyznać nagrodę „Odgłosów"?

Dwadzieścia cztery godziny z życia miasta

ze str. 1

sty i znaczki z wizerunkiem papieża, ale tylko nielicznym chętnym.

— Przez całą noc nie było tłoku — poinformowali nas. Zdecydowana większość osób wysiada na stacji Lublinek, a są i tacy, przeważnie z pociągów dalekobieżnych, nie znający Łodzi, którzy wysiadając tutaj — przesiadają się na pociągi jadące do Lublinka, skąd mają bliżej.

Stacja Lublinek — na czas wizyty papieża kolejowe centrum okręgu łódzkiego. Często, dobrze zaopatrzone w jedzenie i napoje ciężarówki, przy których rano nikt prawie się nie zatrzymywał, wyraźnie oznakowany punkt pomocy medycznej i sanitariaty. Przed stacją ustawione dwie karetki pogotowia.

Dla bezpieczeństwa podróżnych — pociągi przyjmowane były na jednym tylko peronie, ponadto funkcjonariusze kolei i milicji, stojący przy rozjazdach i w miejscach szczególnie niebezpiecznych pilnowali, wskazywali przejścia, aby nie zdarzył się żaden nieszczęśliwy wypadek.

Niezależnie od pociągów stale kursujących tą trasą PKP przygotowało 10 pociągów dodatkowych i 8 nadzwyczajnych. Przed godziną ósmą rano wszyscy, którzy chcieli przyjechać do Łodzi, mogli to uczynić bez większych kłopotów. Ale... zdarzyła się i niespodzianka. Przez telefon zapowiedziano pociąg nie planowany. Jak się okazało — przybyli nim kolejarze z Karsznic, którzy także wzięli udział w uroczystości.

JERZY KWIECIŃSKI OBSERWOWAŁ PIELGRZYMÓW W POBLIŻU LUBLINKA

W piątek 12.06. od godzin popołudniowych ciągnęły ulicą Odrzańską, równoległą do ul. Dubois rosnące z każdą godziną grupy ludzi zmierzające na lotnisko w Lublinku, a po północy pojawiły się pierwsze zorganizowane pielgrzymki. Trasa była na ogół dostatecznie oświetlona, ponadto wskazywały drogę zawieszone na ogrodzeniach domów, drzewach i latarniach wstążki i chorągiewki.

Pewna dezorientacja wystąpiła za mostkiem na przedłużeniu ul. Odrzańskiej, gdzie w miejscu zupełnie nieoświetlonym droga rozwidlała się i część pielgrzymów wabiona światłami ul. Dubois kierowała się w prawo, skąd jednak ich zawracano, ponieważ dostęp do lotniska od tej strony był aż do popołudnia następnego dnia zakazany. Szkoda więc, że na rozwidleniu nie wskazywały kierunku właściwe służby.

Za to w sobotę przed południem na wspomnianym mostku służby porządkowe zaczęły ze względów bezpieczeństwa odbierać zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami wszelkie szklane naczynia, zostawiając plastykowe. Następnie tabor z Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania zaczął załadowywać worki z odebranymi naczyniami, wśród których dały się nauważyć tak popularne półlitrówki z etykietami „Polmosu".

ROMAN KUBIAK OD 17.00 W PIĄTEK, 12.06. BYŁ NA LUBLINKU WŚRÓD PIELGRZYMÓW

Lublinek, 17 godzin do powitania papieża. W piątek po południu tereny lotniska okala wielokilometrowy płot i zapora z grubych lin przepasanych barwnymi wstążkami. Wzdłuż ogrodzenia stoją milicjanci.

Polnymi drogami od miasta maszerują zwarte grupy mężczyzn w żółtych czapeczkach. Na piersiach noszą identyfikatory kościelnych służb porządkowych. Panuje upał. Zdecydowana większość porządkowych ma na sobie ciemne odświętne garnitury, białe koszule, krawaty. Czeka ich noc pod gołym niebiem, potem gorący dzień pracy, często o pustych żołądkach, bez łyka wody. Na 44 hektarach lotniska nie ma ani jednego punktu gastronomicznego.

Przez las i polami od Retkini idą małe grupki pielgrzymów, głównie ludzi starszych, nawet bardzo starych. Chcą zająć miejsca najbliżej ołtarza, na którym jutro ujrzą Ojca Świętego. Zobaczą go pewnie ostatni raz w życiu, wielu z poziomu noszy karetki pogotowia albo przez okienka polowego szpitala. Nadchodzą gromadki rozśpiewanej młodzieży. Mają gitary, plecaki, śpiwory, namioty. Milicjanci ostrzegają, że kto przekroczy ogrodzenie lotniska, ten będzie mógł je opuścić dopiero jutro po odlocie papieża. Wchodzimy wszyscy. Aby zasiąść na łące przed ołtarzem, trzeba wpierw o własnych siłach pokonać kilka kilometrów piaszczystego szlaku wiodącego skrajem zagajnika, nowymi drewnianymi kładkami na strumykach, polami i krętymi ścieżkami.

W bramkach wejściowych wykładamy na ziemię zawartość toreb i kieszeni. Milicjanci są wyposażeni w piszczące detektory. Przepisy bezpieczeństwa zmuszają ludzi do wypijania całego dobowego zapasu napojów. Nikt nie protestuje. Pojemniki na śmieci szybko wypełniają się szkłem. O zmroku przymusowe pikniki pod płotem urządzają posiadacze konserw, których także nie wolno wnieść na płytę lotniska. Niektórzy ukrywają puszki w zagajniku.

14 godzin do przylotu papieża. Wszystkie służby są już na wyznaczonych stanowiskach: porządkowi w pustych jeszcze sektorach, gdzie ma zasiąść ponad milion osób, pielęgniarki pod flagami z czerwonym krzyżem, strażacy, mechanicy, szaletowe. Biało od fartuchów personelu medycznego. Pod wieczór bezlitośnie tną komary. Teren wokół Lublinka jest podmokły, mokradła doliny Neru wybitnie sprzyjają tym krwiożerczym bestiom. Komary atakują chmarami, kilku dotkliwie pokąsanym, opuchniętym pielgrzymom trzeba udzielać pomocy. Lekarze i pielęgniarki osłaniają się maseczkami z gazy, wnętrze medycznych namiotów osnuwa dym spalonej trawy i miętowych kropli, które nieco odstraszają owady. Kierowcy sanitarek przywożą z miasta ocet i wietnamski balsam. Mimo gorąca ludzie szczelnie owijają się kocami, na głowy naciągają foliowe worki. Zapada zmrok.

Szarówkę rozświetlają lampy zasilane z generatorów. Ich szum będzie nam towarzyszył aż do rana. Skrajem lasu od Retkini podąża coraz liczniejszy pochód. Podobnie od strony Chocianowic. Dość znaczną grupę stanowią rodzice niosący zaspane dzieci. Nierzadko 3-4-letnie. Idą także kobiety w poważnej, zaawansowanej ciąży. Jeśli podczas wielkiego zgromadzenia nastąpią porody, niemowlęta płci męskiej otrzymają zapewne imiona Jan Paweł. Zaczynają się interwencje lekarzy. Jakiś mężczyzna połknął okruchy szkła z rozbitego termosu, inny nagle zasłabł — stwierdzono zawał serca. Patrole medyczne przez krótkofalówki wzywają zespoły pogotowia do kompletnie wyczerpanych pielgrzymów maszerujących w słońcu często po kilkadziesiąt kilometrów. Rodziny wprowadzają chorych w inwalidzkich wózkach.

10 godzin do powitania papieża. Północ. Od blisko trzech godzin z głośników płyną tony pieśni religijnych, obok centralnego ołtarza odprawiana jest msza. Dwie gigantyczne kolumny o mocy 1200 watów każda oraz sto słupów z głośnikami podłączonymi do specjalnej aparatury opóźniającej, dają znakomity efekt akustyczny. Zmęczenie wyraźnie jednak rysuje się na twarzach. Niektórzy wierni zasypiają w pozycji klęczącej. Ci, którzy właśnie przybywają, usiłują choćby dotknąć stopni wielkiego drewnianego ołtarza. Przez całą noc strzeże go ciasny kordon milicji i służb kościelnych. W sektorach jest już kilka tysięcy ludzi. Zrywa się chłodny wiatr. Z niepokojem spoglądamy na zachmurzone niebo bez gwiazd.

Śpimy krótko. Po północy na lotnisko wkraczają bardzo liczne grupy pielgrzymek parafialnych. Płynie rzeka ludzi z transparentami i sztandarami. Trwa bezwzględny wyścig o miejsca w bliskości ołtarza. Zwyciężają - silniejsi. 12 tysięcy porządkowych niemrawo radzi sobie z tłumem. Przybywają posiłki. „Radio Centrum", czyli dyspozytor opieki medycznej zbiera dziesiątki komunikatów o zaginionych dzieciach i starcach. Do godziny piątej będzie ich ponad 100. W napływającej masie, choć są to na szczęście przypadki odosobnione, zjawiają się niestety osoby pijane. Służby kościelne dyskretnie wyprowadzają je poza teren zgromadzenia. Nie musi interweniować milicja.

Trudy marszu i nocnego oczekiwania szybko wystudzają emocje. W zapełnionych sektorach obcy ludzie dzielą się odrobiną ciepłej herbaty, plastrem na odciski, kocem. Obok siebie zasypiają punki i harcerze, zakonnicy i marynarze, staruszki w ludowych strojach i modnie odziane panienki. Na stołku utworzonym ze splecionych rąk dwaj długowłosi wnoszą inwalidę w strzępach wojskowego munduru.

6 godzin do powitania Dostojnego Gościa. Wstaje dzień. Może jest dwieście, może już czterysta tysięcy osób. Od pewnej granicy liczenie traci sens, pozostaje zawodna orientacja. Lotnisko zdoła pomieścić prawie półtora miliona ludzi. Kolejne setki tysięcy właśnie są na szlaku.

O świcie w korytarze między sektorami wjeżdżają wszystkie karetki pogotowia. Jest siedemdziesiąt zespołów wyjazdowych, każdy obsługuje obszar zaledwie kilkuset metrów kwadratowych. Mimo to przez najbliższych dziesięć godzin lekarze nie znajdą czasu na odpoczynek. Trwa dramatyczna seria omdleń, zasłabnięć, ataków serca. Pomocy wzywają ludzie po niedawnych operacjach, przewlekle chorzy, wycieńczeni starcy, dzieci. Odzyskawszy przytomność i nieco sił, wyrywają się ze szpitala, z namiotu, wstają z noszy. Uciekają pod ołtarz. Muszą tam być.

2 godziny do powitania papieża. Meldują się harcerze z Wrocławia. Druhowie będą roznosili wodę do sektorów, druhny zrobią z gazet czapki chroniące głowę przed słońcem. Woda jest teraz najważniejszą cielesną potrzebą tysięcy. Wszyscy marzymy o łyku czegoś ciepłego. Ale na lotnisku są wyłącznie studnie z zimną chlorowaną wodą. Pod lekarskimi namiotami ustawiają się długie kolejki z prośbą o łyczek herbaty dla chorego dziecka czy do popicia lekarstwa. Wody, którą na elektrycznej maszynce zdołają zagotować pielęgniarki, starcza ledwie dla kilku osób. Liczba pielgrzymów dawno przekroczyła pół miliona.

Śmigłowce nadlatują wcześniej niż zapowiadano, bo o 9.38. Jesteśmy zamknięci barierkami sektorów i żywymi łańcuchami funkcjonariuszy. Wstajemy wszyscy bez względu na wiek, płeć i zasób sił. W ciągu najbliższego kwadransa siła woli zwycięży choroby, kalectwa, głód i wyczerpanie. Przez kwadrans lekarze pogotowia nie będą mieć nowych pacjentów.

Na widok helikopterów reakcje są rozmaite. Ten zakłada niedzielną marynarkę i krawat, chociaż ostro praży słońce, ów nie odrywając wzroku od nieba, pospiesznie czesze włosy i wiąże sznurowadła ciasnych odświętnych butów. Starsze kobiety przeważnie płaczą, młodsze cieszą się. Rozbudzone dzieci nie bardzo pojmują, o co chodzi. Siwa kobieta rozkłada chustę, na której spisała sekretne życzenia. Podnosi ją do góry w morzu wyciągniętych rąk machających chorągiewkami i przywiędłym kwieciem. Dystans do lądowiska i ołtarza jest mniej więcej taki, że gołym okiem trudno stąd dostrzec sylwetkę człowieka.

Jan Paweł II oszklonym samochodem jedzie wokół płyty lotniska. Stłoczeni w środkowych sektorach mogą dojrzeć jedynie mignięcie purpurowych szat papieża. I z tego są szczęśliwi.

DARIUSZ DOROŻYŃSKI OBSERWOWAŁ TRUDNĄ PRACĘ MO WOKÓŁ LUBLINKA

Po przekroczeniu torów, nad którymi od kilku dni góruje zgrabny sosnowy domek, do którego po obu stronach miasta ustawia się wciąż kolejka — znów kontrola, znów zaglądanie do toreb, plecaków, siatek.

— To jest organizacyjny błąd! — zżyma się chorąży **Stanisław Sukiennik**, dyrygujący kilkunastoosobowym oddziałem milicjantów. — Przecież to można było delikatnie i sympatycznie rozwiązać, tak jak choćby w Lublinie. Tam, niemal w identycznej scenerii, działał rzutki franciszkanin z tubą i kościelna służba porządkowa. Uprzedzali cały czas, nawoływali, przestrzegali. I ludzie grzecznie odkładali szkło i inne, potencjalnie niebezpieczne przedmioty na bok. A tu? Tworzy się niepotrzebnie konfliktowe sytuacje. To się fachowo nazywa —rękaw filtrujący, ale nikt nie lubi, jak mu się do torby zagląda, prawda? Wywiązują się niepotrzebne dyskusje, niektóre dość ostre, a można było tego uniknąć...

— A jak się panu ten zbiór podoba? — starszy sierżant **Piotr Drygała** wskazuje na oparty o parkan zestaw kilkudziesięciu różnej grubości i długości kijów lub — jak kto woli — drzewców. W milicyjnej rysie pokazano mi również odebrane różnego rodzaju noże, do wojskowych włącznie.

Starszy mężczyzna sam podchodzi do milicjantów, rozwija niewielki transparent umocowany na wątłych patykach i pyta czy może go wnieść w tej postaci. Na płótnie wyraźnie biją w oczy słowa kardynała Stefana Wyszyńskiego: **„Polska albo będzie trzeźwa albo jej wcale nie będzie..."** Mężczyzna może iść dalej bez przeszkód.

Kolejna scysja dotycząca zawartości plecaka przygasa, gdy w dygocącym od gorąca powietrzu zaczyna się unosić coraz wyraźniejszy pomruk silników i oczy wszystkich zaczynają nerwowo przeszukiwać skalany zaledwie kilkoma niewielkimi obłokami błękit.

— Jest, jest, leci!!! — słychać głosy z kilku stron, kierunek wskazują wyciągnięte w górę ręce. Rzeczywiście, choć do lotniska jeszcze spory kawałek, widać nadlatujące sylwetki kilku białych śmigłowców.

Niekończąca się karawana ciągnie uparcie betonowym traktem w kierunku widocznego w odległości około 2 kilometrów lotniska. A właściwie — krzyża i morza różnokolorowych punkcików wokół. Ruch praktycznie tylko w jednym kierunku, po drodze przycupnęli sprzedawcy pamiątek, okolicznościowych znaczków, breloczków, czapeczek, obrazów i obrazków. Ja wiem, że okazja, ale czy nie można było jednak uniknąć tej odpustowej nieco otoczki?

A za pierwszym zakrętem znów kilku ludzi w niebieskich mundurach i znów butelki w rowie. A więc udało się przemycić? Jak były te „rękawy" potrzebne, przekonałem się jednak dopiero na płycie lotniska, okolonej grubą liną, pieczołowicie pilnowaną przez liczne zastępy ludzi w mundurach. Obok wejściowej „furtki" — ponownie... stos butelek, który wystarczyłby na zapełnienie kilkunastu kontenerów. I od razu refleksja: szkoda, że nikt tego nie przewidział i nie znalazły się one na Lublinku i na trasach dojścia.

Idealne nagłośnienie — bez szumów, pogłosów. Tylko ta odległość. Bez lornetki z piątego czy szóstego rzędu z trudem rozróżnić można sylwetkę Dostojnego Gościa. Lornetkę pożyczają mi na sekundę dzieci z... ruchomej Izby Dziecka MO.

— Dlaczego się zgubiły, pytacie?

— Proszę pana, ja go nie mogę znaleźć! — 9-letni Łukasz aż dygoce od łez. — Tata kazał mi samemu iść do ubikacji, prawie przez pół lotniska, tak daleko, on też by nie trafił...

Pocieszam chłopaka jak mogę, szef Izby na kołach, młodszy chorąży Jerzy Rajch tłumaczy, że zaraz po uroczystości ogłoszą komunikat, ale Łukasz swoje:

— Jak on mógł?! Gdzie my się teraz znajdziemy, ja jestem z Chodcza i wracamy autobusem, poczekają na nas?...

Zgubił się też 14-letni Darek z Pabianic. — To było o szóstej rano, mama gdzieś z tyłu została, mnie tłum poniósł do przodu.

O cztery lata młodszą Ewę, ta niewesoła z pozoru sytuacja wcale nie martwi:

— Proszę pana, tu jest fajnie, wypiłam już trzy pepsi, a ci państwo mają dobre bułki i dali mi popatrzyć na papieża przez lornetkę. A babcia to się sama zgubiła, kazała mi podejść blisko, a potem gdzieś zniknęła, ale na pewno się znajdzie...

— Część rodziców i opiekunów odebrała już swoje zguby — tłumaczy por. **Elżbieta Lec** — tak, że liczba naszych podopiecznych się zmienia. Ci, po których mimo naszych apeli, nikt się nie zgłosił pojadą z nami na Skrzywana, do Izby, tam dostaną obiad, no, a potem trzeba będzie już indywidualnie rodziny zawiadamiać.

PAWEŁ TOMASZEWSKI BYŁ W REJONIE KATEDRY

Na Lublinku rozpoczynała się dopiero msza święta, gdy wzdłuż ulicy Pabianickiej i Piotrkowskiej zbierały się grupki łodzian i przybyszów z podłódzkich miejscowości. Niektórzy mieli ze sobą składane krzesełka lub nawet drewniane taborety. Wielu — lornetki i aparaty fotograficzne. Czas oczekiwania wypełniały rozmowy oraz oglądanie transmisji z lotniska na telewizorach przysuniętych blisko otwartych okien w mieszkaniach na parterze. Zaglądali do nich także członkowie kościelnej służby porządkowej w żółtych czapeczkach i funkcjonariusze milicji gęsto rozstawieni wzdłuż trasy przejazdu papieża.

Na skrzyżowaniu Piotrkowskiej i Milionowej — bramka, za którą jezdnia odgrodzona została szczelnie od chodników metalowymi płotkami i linami. W pobliżu katedry wejść można tylko po dokładnym sprawdzeniu czujnikiem do wykrywania metali. Mężczyźni pokazują, że w kieszeniach mają tylko klucze, pieniądze, zapalniczki. Kobiety otwierają torebki. Do kosza wędrują puste butelki. Wschodnia strona Piotrkowskiej dostępna jest dla wszystkich, zachodnia — jedynie dla osób z zaproszeniami na spotkanie z Ojcem Świętym w katedrze.

Przy katedrze — megafony przekazujące radiową relację z Lublinka, która kończy się kilka minut po godzinie trzynastej. To sygnał, że należy zająć jak najlepsze miejsce przy barierce. Z minuty na minutę jest o nie coraz trudniej, chociaż chcących pozdrowić przejeżdżającego Ojca Świętego nie jest aż tak dużo, jak można się było spodziewać. Powoli zapełniają się też niemal wszystkie okna i balkony, na których doliczyć się można i kilkunastu osób. Narasta atmosfera napięcia i oczekiwania.

O pół do drugiej od strony Placu Niepodległości pojawiają się pierwsze samochody. Jadą na światłach. Gdy jednak okazuje się, że są to tylko milicyjne polonezy, wśród zebranych rozlega się jęk zawodu. W kilka minut po nich nadjeżdża też wreszcie papamobile w asyście czarnej czajki, mikrobusów i innych pojazdów, wśród których wyróżnia się nyska z gotowymi w każdej chwili wkroczyć do akcji członkami specjalnej jednostki milicji. Ci przez otwarte drzwi bacznie rozglądają się we wszystkich kierunkach, ale na szczęście nic nie zakłóca wzorowego porządku. Na widok stojącego za kuloodpornymi szybami papamobila Jana Pawła II rozlegają się gromkie brawa, trzaskają migawki aparatów fotograficznych, a wyległy na ulicę w białych fartuchach personel baru „Kogucik" macha, jak wielu innych ludzi, rękami. Na twarzach zgromadzonych maluje się wielkie wzruszenie i... żal, że papieska kolumna przejechała tak szybko, znikając z pola widzenia w ulicy Worcella, gdzie znajduje się rezydencja łódzkich biskupów, w której papież podjęty zostanie obiadem.

Po chwili milkną katedralne dzwony i na Piotrkowskiej zalega cisza. Część ludzi opuszcza sektor po wschodniej stronie ulicy, ale ich miejsce zajmują nowi widzowie. Przed trzecią wypełniają już cały chodnik, okupują wszelkie podwyższenia, murki i kwietniki, na które można wejść. Trzech młodzieńców wspięło się na słup ogłoszeniowy, grupka innych — na daszek nad sklepem firmowym „Olimpii". W większości są to fotoamatorzy z wycelowanymi w stronę katedry teleobiektywami. W skupieniu czekają na ponowne pojawienie się Ojca Świętego i możliwość wykonania, być może, zdjęcia ich życia.

Podobnie mówią uczestniczki i uczestnicy mszy na Lublinku, którzy — z dużymi torbami, plecakami, krzyżami — zdążyli już dotrzeć do centrum miasta. Jedna z kobiet w starszym wieku skarży się na ścinające ją z nóg zmęczenie: wyszła z domu o północy, nad ranem była na lotnisku, o siódmej została wpuszczona do wyznaczonego sektora, uczestniczyła w całej mszy, a teraz przyszła tutaj. Sama nie wie, jak udało jej się to wytrzymać. Chce jednak przez cały czas być jak najbliżej papieża, którego podobizna widnieje na wpiętym w jej bluzkę znaczku.

O szesnastej spragniony i znużony upałem tłum ożywia się, a od ulicy Worcella zaczynają dobiegać brawa i okrzyki: „Niech żyje papież", co oznacza, że lada chwila ten, na którego wszyscy czekają, znów się pokaże. Ludzie stają na palcach, by dojrzeć z daleka choćby rąbek białej szaty, dzieci, a nawet kobiety sadowią się na ramionach swych ojców i mężów. Ktoś woła, że tak nie wolno, że on też chce zobaczyć, lecz jego głos ginie w powodzi braw, gdy papamobile podjeżdża pod same schody świątyni. Jan Paweł II wita się ze stojącymi na nich wiernymi, po czym wchodzi do środka, by przemówić do zebranych tam przedstawicieli łódzkich środowisk nauki i kultury.

Nawiedzenie katedry trwa krótko, zaledwie pół godziny. Zaraz po nim papież ponownie wsiada do papamobila i odjeżdża Piotrkowską w kierunku Mickiewicza.

ANDRZEJ MAKOWIECKI BYŁ NA SKRZYŻOWANIU ULICY PIOTRKOWSKIEJ I ADAMA MICKIEWICZA

Jeszcze przed południem ludzie zajmowali miejsca w strategicznym punkcie u zbiegu al. Mickiewicza i ul. Piotrkowskiej. O godzinie czternastej było już bardzo tłoczno.

O 14.20 interweniowała karetka pogotowia. Zasłabł młody rudowłosy mężczyzna. Innych tego typu wypadków reporter nie zanotował.

Mimo upału i długich godzin wyczekiwania zgromadzeni zachowali pogodę ducha. Starsze osoby rozstawiały sobie krzesła u krawężników. Można było spocząć na pasach trawy biegnących wzdłuż torów tramwajowych. Służby bezpieczeństwa, ta kościelna i ta ludowa, były w tym wypadku tolerancyjne.

Bystry obserwator zauważył z pewnością, iż obydwie służby podzieliły się rolami. Funkcjonariusze w żółtych czapeczkach z napisem „Do końca ich umiłował" pilnowali przede wszystkim porządku na jezdni, oczy milicjantów zaś ślizgały się nieprzerwanie po frontonach domów, po zatłoczonych balkonach i dachach. Bywało, że jedni wymieniali z drugimi uwagi — raz zdawkowe, raz serdeczne.

Funkcjonowały niektóre kawiarnie i sklepy. W budkach można było kupić „paluchy" z parówką poddębicką (65 złotych) i mikroskopijne racje oranżady (złotych 30). Kioski sprzedawały biało-czerwone chorągiewki. Za darmo rozdawano ulotki ze słowami głośnych pieśni religijnych: „My chcemy Boga, Panno Święta" i „Nie rzucim Chryste, Świątyń Twych". Pięknie przystrojony Kościół Akademicki przy ulicy Sienkiewicza emitował muzykę.

O godzinie 14.30 ruszyła nieprzebrana kolejka intelektualistów, którzy otrzymali zaproszenia na uroczyste spotkanie z papieżem w katedrze. Był straszliwy ścisk, ponieważ w kolejce stanęli również ci, którzy nie mieli zaproszeń. Koniec owej kolejki sięgał bramy przy ulicy Piotrkowskiej 215, sto metrów przed rogiem ulicy Świerczewskiego i kilkaset metrów przed katedrą.

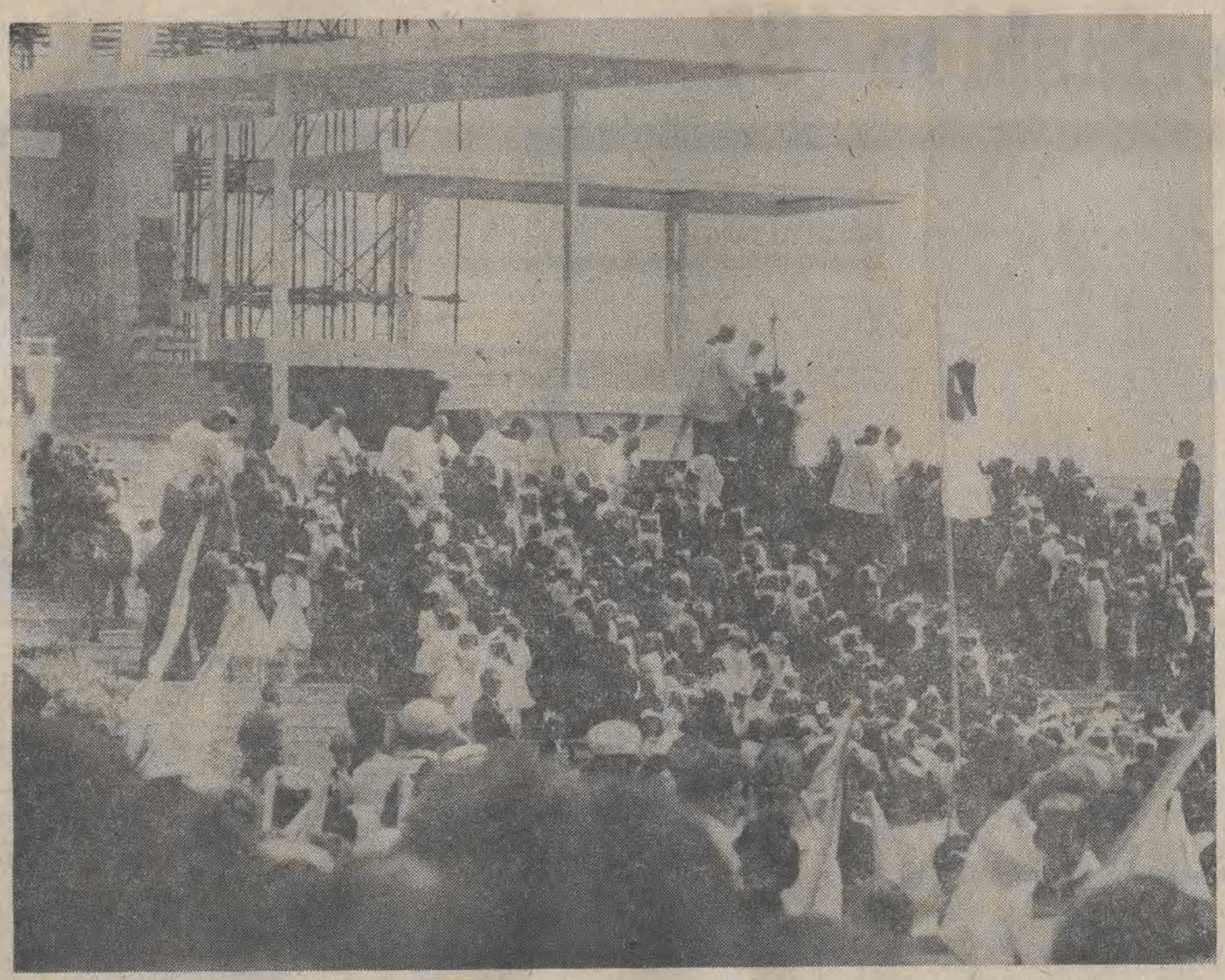

Skłębieni, postępujący w żółwim tempie ludzie, zapominali czasem o powadze chwili.

Podobnie było na podwyższeniu przed „Centralem". Wybuchały sporadyczne kłótnie. Był to tłok, jakiego nie pamięta miasto. Reporter nie spotkał w tym tłumie ani jednego pijaka. Służby porządkowe nie interweniowały. Nie było mowy o jakiejkolwiek prowokacji. Młodzież zachowywała się przystojnie i grzecznie.

O godz. 16,10 wszystkie oczy zwróciły się w kierunku katedry, aczkolwiek papież nie skończył jeszcze spotkania z intelektualistami i miał pojawić się dopiero planowo na Piotrkowskiej za 35 minut.

Pojawił się z drobnym opóźnieniem, o 16.55. Reporter obserwował to historyczne wydarzenie z okien gabinetu dyrektora Wydawnictwa Łódzkiego. Poprzedzała kuloodporny samochód Jana Pawła II kawalkada aut i eskorta honorowa. Niektórzy milicjanci uchylali dyskretnie czapki. Trzaskały aparaty fotograficzne. Jego Świątobliwość wystawił przez szeroko uchylone drzwi prawe ramię i pozdrawiał tłum. Zaświadczał tym gestem, iż nie boi się w Łodzi skrytobójczej kuli. Dwóch wysokich dostojników kościelnych spoczywało za stojącym Janem Pawłem II na tylnym siedzeniu. Ulica skandowała głośno:

— Niech żyje papież! Niech żyje papież!

Starsze kobiety, a także niektórzy starsi panowie płakali. Na jezdnię padały wiązanki kwiatów.

Kiedy wóz Jana Pawła II skręcił w aleję Mickiewicza, runęły tamy i Piotrkowska zamieniła się w jedną rwącą ludzką rzekę, która, podobnie jak prawdziwa rzeka, zdawała się toczyć swe wody bez końca.

ANDRZEJ KAROLCZAK KRĄŻYŁ WOKÓŁ „UNIONTEXU"

Dochodzi druga po południu. Na Milionowej ożywiony ruch w obydwie strony — całą szerokością jezdni (chodnik obstawiony przez milicję i straż kościelną), zmierzają tłumy. Idą w przeciwnych kierunkach, ale popychani tą samą myślą: tam, za tym rogiem, tłok jest mniejszy, tam łatwiej będzie zobaczyć papieża!

Idę w stronę Kilińskiego. Mijam drużynę milicjantów, rozstawiającą się wzdłuż parkanu ośrodka KS „Włókniarz". Milicjantów i straży bardzo dużo. Kapral MO informuje przyjezdną — najwyraźniej — jejmość: — Skręci pani w Przędzalnianą ... Też nietutejszy. Tłumek przy bramie stadionu na Milionowej — zrezygnowali z obejrzenia Ojca Świętego z bliska, ale tu mają szansę zobaczyć go z daleka jak wsiada do śmigłowca.

Jestem nieco zaniepokojony: idę na zachód, ogromna większość idzie na wschód. Spocona dama w średnim wieku o twarzy koloru zbliżonego do sztandarowej czerwieni mówi do napotkanej znajomej: — Z samego Lublinka idziemy, Jezu, jaki kawał drogi!

Skrzyżowanie Kilińskiego i Milionowej. Tłum, ulica zamknięta przez kordon straży porządkowej i ORMO-wców, na dodatek zastawiona metalową barierą. Kilkadziesiąt metrów dalej następny kordon, następna bariera. Rezerwa. Jedyny budynek mieszkalny za kordonem, na Kilińskiego, czerwony „familiok" jak mówią na Śląsku (po łódzku — „famuła") udekorowany, w oknach pełno. Wejścia na podwórko strzeże dwóch mundurowych. Dalej w stronę Piotrkowskiej. Obserwuję rozstawienie milicji i straży — łapię się na dziwacznej myśli: oto zachowuję się jak zwiadowca terrorystycznej grupy, która chce wtargnąć na zamknięty teren. Żadnych szans ...

Pod ewangelickim kościołem św. Mateusza gęsty tłum. W większości wyposażony w karty wstępu. Raczej nie będzie z tych kart pożytku. Między dwiema metalowymi barierami, wąziutkim przejściem, milicjanci wpuszczają posiadaczy kart na Piotrkowską. Kolejka liczy z tysiąc osób. Słychać przenikliwy krzyk kobiety, jakiś kaleka unosi wysoko nad głową dwie kule. Nie są potrzebne, zbity tłum podtrzymuje go ze wszystkich stron. Pielęgniarki wyciągają, dosłownie „wyciągają na siłę" starszego pana. Po chwili siedzi obok kierowcy karetki, na twarzy ma maskę tlenową. Nie można go położyć — na noszach leży już blada jak ściana dziewczyna w spodniach.

Spotykam znajomego: — Muszę Go zobaczyć! To przecież najciekawszy człowiek ze wszystkich współczesnych! A już na pewno najwybitniejszy Polak w historii!

Nie podejmuję rozmowy. Mój znajomy jest artystą, ma prawo do egzaltacji.

Znów na Milionowej. Mija mnie autokar z zagranicznymi dziennikarzami. Poznaję wąsatą twarz Kaufmana. Z okna autokaru kiwa mi ręką znajomy germanista — pewnie robi za tłumacza. Szczęściarz, za chwilę będzie w „Uniontexie" ... Nad stadion nadlatują dwa białe helikoptery.

Runda w przeciwnym kierunku: Milionową i Przędzalnianą. Jest pół do czwartej, ludzie przyspieszają kroku. Ulica 8 Marca zamknięta od Przędzalnianej. Zaraz, przecież można przejść między domkami Księżego Młyna aż do stadionu! W dzieciństwie wchodziłem tędy na gapę! Milicjanci też chyba kiedyś wchodzili, znają te przejścia.

Z zarośli obok bocznicy kolejowej Uniontexu wychodzi trzydziestoletni mężczyzna o wyglądzie zawodowego kryminalisty. Ledwie trzyma się na nogach. Jedyny pijany jakiego widziałem tego dnia. Za to pijany za trzech ...

Fabryczna zamknięta od Targowej. Przechodzę Targową do Mickiewicza. Tłum na skrzyżowaniu Mickiewicza — Kilińskiego. Dwaj fotoreporterzy, rozmawiający ze sobą po francusku, wyraźnie się nudzą. Nic się nie dzieje, nikt nie napada na milicję, milicja też nikogo nie atakuje. Szkoda chłopaków, spoceni jak myszy i nic nie zarobią.

Przeciskam się ulicą Kilińskiego na południe. Obok kiosku „Ruchu" ktoś usiłuje pomóc epileptyczce, która akurat tu i teraz musiała dostać ataku! Prawdziwy pech.

Przez Kilińskiego można docisnąć się tylko do Orlej. Wracam, idę aleją Mickiewicza do ulicy Sienkiewicza. Z wieży kościoła Jezuitów głos męski zachęca do wspólnego śpiewania. Minęła czwarta, papież za chwilę się pokaże! Z głośnika na wieży męski głos intonuje ... Rotę! Nie, to nie Rota. To niezbyt zgrabna trawestacja jej tekstu. Ksiądz (chyba ksiądz?) śpiewa sam, tłum na ulicy nie podchwycił pieśni. Efekt jest nieco ... orientalny.

Na ulicy podnosi się wrzawa i oklaski. Ponad głowami tłumu widać górną część papamobilu. Widać gest wzniesionej ręki. Ujmującego uśmiechu, znanego z tylu portretów, można się tylko domyślać...

Tłum niespiesznie zaczyna się rozchodzić.

JOLANTA WROŃSKA INTERESOWAŁA SIĘ LOSEM DZIECI I LUDZI STARSZYCH

Piątek 12 czerwca, godzina 20. W szpitalu im. Janusza Korczaka trwa ostry dyżur. Może trochę dłuższy niż zazwyczaj i pełniony wzmocnionymi siłami kadrowymi. Tak będzie do poniedziałku. W Izbie Przyjęć czuwają trzy lekarki z szefową doktor Barbarą Żytkiewicz plus pielęgniarki. W ambulatorium pracuje dwóch pediatrów. Siłami Pogotowia Pomocy Doraźnej przy szpitalu dowodzi doktor Romana Rau lekarz naczelny szpitala. Na oddziale chirurgii dziecięcej czuwa doktor Korżyk z kolegą.

„Korczak" został wyznaczony do pełnienia opieki nad dziećmi na czas wizyty papieskiej w Łodzi. Jako główne centrum medycznej opieki nie tylko — jak zwykle — pracujące na potrzeby miasta w ciągu tych trzech dni, lecz także obejmie opieką wszystkie dzieci jakie znajdą się na terenie miasta towarzysząc opiekunom i rodzicom w pielgrzymkach na miejsca głównych uroczystości religijnych. Wszystkie dzieci, zagubione w tłumie na Lublinku, w rejonie Katedry czy „Uniontexu" jeśli nie zostaną odszukane przez roztargnionych opiekunów, znajdą się w zasięgu działania szpitala Korczaka. Tu będzie się im udzielać wszelkiej niezbędnej pomocy, tu też rodziny uzyskają potrzebne informacje.

„Korczak" przygotował wolne łóżka na przyjęcie ewentualnych chorych dzieci. Na pediatrii — 85, na chirurgii — 33, po kilka na neurologii i okulistyce. Czuwa także oddział szpitala przy ul. Nowej, gdzie czeka 39 łóżek w tym 32 dla niemowląt. Doktor Janusz Kawiorski, szef Specjalistycznego Pediatrycznego ZOZ spokojnie oczekiwał nadchodzących godzin.

Na czas przed, po, w trakcie trwania wizyty papieskiej w Łodzi przygotowano też instytucje, które będą czuwać nad osobami starszymi czy niepełnosprawnymi, które nie będą wymagały medycznej interwencji, lecz zagubią się w tłumach i konieczne będzie zapewnienie im opieki do chwili odnalezienia przez osoby bliskie lub odpowiedzialne za zbiorowe grupy pielgrzymów przybywających spoza i z terenu miasta.

Przygotowane zostały: Wojewódzki Ośrodek Pomocy Społecznej przy ul. Przybyszewskiego 255, Państwowe Domy Pomocy Społecznej przy ulicach Ciołkowskiego 2 i Róży Luksemburg 10.

Odwiedzane co jakiś czas te instytucje w ciągu nocy z piątku na sobotę, w sobotę i niedzielne przedpołudnie nie miały żadnych przyjęć osób starszych lub niepełnosprawnych zaginionych w mieście w czasie uroczystości. Do godziny 12 w południe niedzielne nie przyjęto ani jednego potrzebującego opieki obywatela.

Dom przy ul. Ciołkowskiego na swoje 250 miejsc ogółem, przygotował ekstra 20 miejsc dla potrzebujących opieki pielgrzymów. Dyżurująca od piątku do poniedziałku 15 czerwca dyrektor Lucyna Batorowicz informowała do niedzielnego południa, iż nie przyjęto do domu żadnego potrzebującego. Cisza i spokój.

Podobna sytuacja była w domu przy ul. R. Luksemburg, gdzie przygotowano 12 miejsc ale — jak informował dyrektor Ryszard Fraszczyński lub pielęgniarka dyżurująca — do niedzielnego południa nie było żadnych przyjęć.

Spodziewano się kulminacji wieczorem w sobotę i w nocy na niedzielę, ale szczęśliwie nikt się nie zagubił, nikt nie pozostał bezradny bez opieki.

W sobotę szpital Korczaka nie odnotował żadnych przyjęć dzieci w związku z uroczystościami w mieście. Były jedynie zwykłe, jak na każdym dyżurze przyjęcia dzieci z terenu miasta. Do sobotniego wieczora nie zdarzyły się żadne przyjęcia dzieci z Lublinka.

W rejonie uroczystości na płycie lotniska w ciągu soboty służby porządkowe i medyczne zapewniły opiekę nad 104 dziećmi zagubionymi w tłumie. Szczęśliwie były to zguby krótkotrwałe, znakomita większość chwilowych sierotek odnajdowali rodzice jeszcze na Lublinku. Po zakończeniu uroczystości w Łodzi i odlocie papieża do Warszawy Milicyjna Izba Dziecka nie zanotowała żadnych przyjęć dzieci, po które nikt nie zgłosił się na Lublinku. Natomiast 24 dzieci otoczyło opieką Pogotowie Opiekuńcze.

Od sobotniego popołudnia do niedzieli godz. 12, wszystkie dzieci powróciły do swoich rodziców. W jednym przypadku troje dzieci wychowawca pogotowia odwiózł do rodziców w Pabianicach, bowiem, mimo wiadomości, nikt z opiekunów dzieci nie zgłosił się do godziny 11 w niedzielę. W większości były to zagnione dzieci z Łodzi, Zgierza, Pabianic, Konstantynowa. Jedno dziecko było z Lublina, jedno z Wrocławia, lecz szybko zostały odszukane przez rodziców.

Natomiast zdarzył się jeden przypadek, iż w Pogotowiu Opiekuńczym od piątkowego popołudnia, do chwili obecnej — niedziela godz. 13 — tkwi jedno osamotnione dziecko, które mamusia zapomniała odebrać z przedszkola. Dyżurujący wychowawca poinformował, iż udało się w końcu zlokalizować niefrasobliwą rodzicielkę, która obiecała zgłosić się po zagubione „przez nieporozumienie towarzyskie" dziecko.

BOGDA MADEJ INTERESOWAŁA SIĘ PRACĄ SŁUŻBY ZDROWIA

Była to jedna z największych akcji łódzkiej służby zdrowia. Działalność swoją rozpoczęła ona już w południe 12 czerwca.

Trochę liczb. W całej akcji związanej z wizytą papieża wzięło udział 150 lekarzy, 550 pielęgniarek, 14 położnych, 100 sanitariuszy, 100 kierowców. Dyżurowało 110 karetek pogotowia: na płycie lotniska na Lublinku — 62 karetki, przy namiotach medycznych — 10 karetek, na trasach dla pielgrzymów — 5 zespołów „R", 21 karetek zwykłych, przy szpitalu polowym na Lublinku dyżurowało 10 karetek, w tym 2 „R".

W tym samym czasie nad zdrowiem mieszkańców Łodzi czuwały ekipy pogotowia ratunkowego: 32 lekarzy, 5 pielęgniarek, 2 położne, 39 sanitariuszy i 43 kierowców. W sumie 42 zespoły medyczne, które wyjeżdżały na wezwanie chorych jak w każdy dzień.

Trzeba pamiętać, że sobota 13 czerwca była dla całej łódzkiej służby zdrowia dniem pracy. Czynne były wszystkie przychodnie, ostre dyżury pełniły wszystkie szpitale. Zniesiono rejonizację i dyżurujący medycy przyjmowali i udzielali pomocy wszystkim zgłaszającym się.

— Był to dzień trudny i pełen odpowiedzialności — mówi dr Ryszard Machnikowski, lekarz wojewódzki — ale z całą pewnością mogę powiedzieć, że nasza służba zdrowia zdała egzamin pozytywnie. Sprawdziło się nasze zaplecze, wystarczyło leków i środków opatrunkowych, chociaż nie otrzymaliśmy żadnej pomocy i opieraliśmy się tylko na naszych własnych zapasach. Chciałbym zatem podziękować wszystkim, którzy brali udział w tej akcji za sprawność, szybkość działania, solidność, za ofiarność.

W Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym im. M. Kopernika w sobotę 13 czerwca od godziny 8.00 trwał dyżur specjalny. Przez cały czas, aż do godziny 13,15 chirurg i instrumentariuszka byli przygotowani do natychmiastowego rozpoczęcia operacji. Szpital dysponował około 230 wolnymi łóżkami i był przygotowany do błyskawicznej interwencji w razie jakiegokolwiek wypadku, który zdarzyłby się na Lublinku, przede wszystkim zaś miał interweniować w przypadku jakiegoś nieszczęścia, które zdarzyłoby się papieskiej ekipie. Dyżur minął spokojnie, choć lekarze przygotowani do szybkiego działania przeżyli wiele nerwowych, pełnych napięcia godzin. Po godzinie 13,15 taki sam nadzwyczajny dyżur rozpoczął szpital WAM. I ten dyżur minął, na szczęście spokojnie. Wieczorem, już po odlocie Jana Pawła II do Warszawy, doktor Machnikowski dziękował lekarzom wojskowym za pomoc, jaką udzielili miejskiej służbie zdrowia. — Na was — powiedział zawsze można liczyć.

Lekarze i pielęgniarki udzielały pomocy w piątek i sobotę, choć w mniejszym zakresie niż byli na to przygotowani. Spośród uczestników uroczystości na Lublinku trzeba było odwieźć do szpitala około 70 osób. W szpitalu polowym telewizja watykańska i amerykańska specjalnie czekały na ewentualny poród. Nadaremnie.

Jakie były przypadki zachorowań? Było kilka zawałów, wylewów krwi, osłabnięcia, zemdlenia, atak wyrostka, zwichnięcia stawów, ataki padaczki. Jeden taki atak zdarzył się w katedrze przy ul. Piotrkowskiej, pomocy udzieliła ekipa dyżurująca w zakrystii. Na trasie przejazdu Jana Pawła II zdarzyło się sporo nerwowych chwil. Nie wszędzie bowiem mogły dojechać karetki pogotowia, a czasami lekarze nie mogli przepchnąć się przez tłum.

Trzeba — niestety — powiedzieć o różnych przypadkach ludzkiej lekkomyślności i braku odpowiedzialności. Na przykład przed godziną dwudziestą do lekarza wojewódzkiego zadzwoniła rodzina ponad 70-letniej kobiety, która do tej pory nie wróciła z Lublinka. Zaniepokojono się dopiero o tej porze, a i wcześniej pozwolono starszej kobiecie iść samej na Lublinek. Jacyś „przyjaciele lub krewni" zawieźli na Lublinek mężczyznę bez nóg, którego w inwalidzkim wózku pozostawiono po uroczystości na płycie lotniska. Do domu odwiózł go medyczny ambulans.

Tak w ów gorący czas przygotowań i wizyty wyglądało miasto. Znakomicie spisały się służby medyczne i porządkowe, nieźle chyba też, mimo dużych zmian w funkcjonowaniu — miejska komunikacja. Powiedzmy też wyraźnie — nie doszło do żadnych burd, awantur, wystąpień zakłócających powagę pielgrzymki.

Ale... Właśnie, by ów obraz nie był zbyt różowy, a reporterskim relacjom do końca nie brakło rzetelności i obiektywizmu, trzeba dodać, iż w kilkanaście minut po opuszczeniu przez Dostojnego Gościa lotniska na Lublinku — z ołtarza zniknęły wszystkie kwiaty, zaś w niedzielę teren tak podniosłej uroczystości przeobraził się w miejsce relaksowego pikniku. Wycieczki rodzinne, często rozneglizowane, docierały aż na sam szczyt obiektu, by odpocząć w pozie dość swobodnej pod tym samym daszkiem, który chronił od słońca Ojca Świętego... Pamiątkowym zdjęciom na stopniach nie było końca, a większość z niedzielnych wycieczkowiczów usiłowała własnoręcznie sprawdzić, czy tabernakulum przeznaczone dla kościoła w Pabianicach jest rzeczywiście pozłacane... Jak z goryczą zauważył jeden z obserwatorów tych scen: — Całe szczęście że wraz z podstawą waży dwie tony...

ŁÓDŹ, historia, wspomnienia, relacje

Lekarze w latach okupacji

Jak podaje w swych wspomnieniach profesor Akademii Medycznej w Łodzi **Tadeusz Pawlikowski**, inteligencja polska w Łodzi okupacyjnej stanowiła nieliczny procent, a najmniej wśród niej było lekarzy. Na 300 tysięcy ludności polskiej w tym mieście było zaledwie 91 lekarzy Polaków, kilku pracujących przymusowo w szpitalach niemieckich. Przy końcu okupacji z tych 91 lekarzy, 26 zostało aresztowanych. Praca tych ludzi była ogromna, jeżeli się zważy, że jeden lekarz -internista obsługiwał 6 tysięcy podopiecznych, pediatra — 25 tysięcy, ginekolog — 90 tysięcy, chirurg i okulista po 135 tysięcy, a neurolog — 20,270 ludzi. Przy tym nawale zajęć, nasi lekarze pobierali znacznie mniejsze wynagrodzenie niż lekarze niemieccy, a co najważniejsze — ich rola była bardzo ograniczona. Lekarz-Polak bez wiedzy władz policyjnych nie miał prawa zmieniać swego miejsca zamieszkania i podlegał urzędowi zdrowia, jako jedynej podówczas władzy nadzorczej. Nie mógł też należeć do Izby Lekarskiej, ale wszelkie jej zarządzenia musiał respektować.

Prof. Tadeusz Pawlikowski w swych wspomnieniach przytoczył nazwiska kilku łódzkich lekarzy, którzy byli związani z różnymi tajnymi organizacjami. Jeden z nich — dr **Zenon Golczyński** — działał z ramienia AK. Aresztowany przez gestapo, został osadzony w obozie na Radogoszczu i tam zginął w płomieniach w przededniu wyzwolenia. Inny znów lekarz, dr **Lech Urbański**, został aresztowany pod zarzutem współpracy z PPR. Niemcy nie mogli mu jednak udowodnić tej współpracy, uwolnili go pod warunkiem stałego meldowania się u władz policyjnych i stałego zamieszkania w obozie dla dzieci przy ulicy Przemysłowej.

Pewnego dnia w południe, udało się Lechowi Urbańskiemu wprowadzić do obozu dr Tadeusza Pawlikowskiego. Dzięki jakiejś ludzkiej pielęgniarce dr Pawlikowski odwiedził jeden z baraków, przepełnionych dziećmi. Panowały w nich straszne warunki. Dzieci były obszarpane, nędzne, wychudzone. Ośmio- czy dziewięcioletni chłopak z Konina na pytanie, za co dostał się do obozu, wyjaśnił, że podjął z ulicy dwa jabłka, które spadły z drzewa, należącego do Niemca. Ten zadenuncjował chłopca jako złodzieja i na tej podstawie dziecko zostało osadzone w obozie.

Prof. **J. Chrzanowski** pracował w jednej z fabryk łódzkich. Okupant chciał mieć po prostu robotników, nadających się do pracy. Dlatego poruczył opiekę nad nimi fabrycznemu polskiemu lekarzowi. Był również w fabryce lekarz niemiecki, ale ten przyjmował tylko „swoich" pacjentów, a więc niemieckich urzędników, majstrów i in. W ambulatorium pracowała również pielęgniarka Niemka, będąca w ścisłym kontakcie z gestapo. Do jej zadań należało — prócz rejestrowania chorych — przede wszystkim obserwowanie i kontrolowanie polskiego lekarza, który ciągle śledzony, musiał być bardzo ostrożny. Zwolnień przez niego z pracy polscy robotnicy, nie będący ciężko chorymi, musieli zgłaszać się osobiście do komisji kontrolnej, w skład której wchodzili głównie lekarze niemieccy. W wielu przypadkach komisja nie zatwierdzała zwolnień polskiego lekarza, a jego samego oskarżała często o sabotaż.

Jednym z nielicznych polskich lekarzy w Łodzi, którzy w okresie okupacji pracowali w jedynym szpitalu przeznaczonym dla ludności polskiej, był dr **Władysław Gałczyński.** Administracja szpitala, dyrektor, przełożona, intendent i niektóre pielęgniarki oddziałowe — byli Niemcami. Resztę personelu stanowili Polacy. Warunki pracy w szpitalu były bardzo ciężkie. Nie dysponował on, jak szpitale niemieckie, dostatecznym i nowoczesnym wyposażeniem. Z braku aparatu rentgenowskiego, pierwsze badania kości przy złamaniach odbywały się zazwyczaj „na wyczucie". Po pewnym czasie szpital polski uzyskał stary aparat rentgenowski, wyrzucony z innego szpitala. Lekarze sami robili na nim zdjęcia. Ten jedyny polski szpital nie tylko leczył Polaków, ale często chronił działaczy i partyzantów przed aresztowaniami i śmiercią. Przyjmowano ich oczywiście pod zmienionymi nazwiskami. Przeprowadzano na nich fikcyjne, a w razie potrzeby i prawdziwe operacje wyrostka. W wielu wypadkach dla uchronienia przed wywiezieniem na roboty do Niemiec lub prace przymusowe przy okopach, zarażano zagrożonych Polaków różnymi chorobami.

Polscy lekarze w Łodzi w latach okupacji spełniali jeszcze jedną ważną rolę: mianowicie zorganizowali tajny Polski Komitet Pomocy dla najbiedniejszych. W komitecie tym między innymi brał aktywny udział docent dr **Eugeniusz Wawrzyński.**

Polski Komitet Pomocy działał głównie w dzielnicy Chojny. Tu bowiem przesiedlano najwięcej Polaków ze Śródmieścia i Polesia — dzielnic przeznaczonych głównie dla Niemców.

Działający w Komitecie lekarze znani byli ze swej ofiarności, patriotyzmu i odwagi. Przeznaczali oni pewną część kuponów na wizyty lekarskie w swoich gabinetach, rozdzielając je przez zaufanych łączników chorym i opuszczonym, aby zapewnić im pomoc i umożliwić uzyskanie środków leczniczych. W sumie lekarze tajnego Polskiego Komitetu Pomocy rozprowadzili około 23 tysięcy kuponów. W komitecie prócz lekarzy działali także farmaceuci, wydając Polakom bezpłatnie leki.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

Interfashion '87 — już otwarte!

17 czerwca 1987, o godz. 10 otwarte zostaną Międzynarodowe Targi Odzieży, Tkanin, Dziewiarstwa i Wyrobów Skórzanych Interfashion Łódź'87, organizowane pod egidą Międzynarodowych Targów Poznańskich. Po raz pierwszy w historii Łódź stała się gospodarzem tak dużej i ważnej międzynarodowej imprezy handlowej. Czy będzie to tylko historyczne wydarzenie w życiu Łodzi, czy też Interfashion wejdą na stałe do kalendarza imprez — decyzja zostanie podjęta w późniejszym terminie i będzie uzależniona m. in. od przebiegu tegorocznych targów. Nic więc dziwnego, że wszyscy organizatorzy, odpowiedzialni nie tylko za to, co będzie się działo w samych halach targowych i wokół nich, ale i w całym mieście w czasie pobytu gości dokładali starań, aby we wszystkich dziedzinach wypaść na piątkę.

O niektórych przygotowaniach do Interfashion Łódź'87 mówili nam: **Zofia Szajer**, zastępca kierownika działu reklamy i organizacji targów, w „Textilimpexie", **Alicja Łągiewska**, rzecznik prasowy „Skórimpexu", **Monika Perek**, prezes „Społem" — Oddział Gastronamia, **Jerzy Okińczyc** dyrektor Stacji Pogotowia Ratunkowego, Jacek Kołodziejczyk, kierownik działu Wojewódzkiego Urzędu Telekomunikacji.

Ekspozycję można zwiedzać już od 17.06. do niedzieli 21.06. włącznie w godzinach 10—18. Cena biletu — 300 zł, ulgowe po 150 zł dla młodzieży szkół zawodowych o profilu zgodnym z tematyką imprezy, przybywającej w grupach.

MÓWIĄ ORGANIZATORZY

„SKÓRIMPEX": — Interfashion'87 są nam bliższe od licznych giełd i targów, w których „Skórimpex" oraz udział, więc przygotowania traktowaliśmy w sposób bardziej emocjonalny — po prostu z powodu lokalnego patriotyzmu, choć nie tylko. Po raz pierwszy możemy pokazać nie tylko ograniczoną miejscem ekspozycyjnym ilość wzorów, lecz pełną ofertę, zaprezentować możliwości techniczne na przykładzie między innymi „Skogaru" (gdzie także przygotowana jest wystawa wyrobów-propozycji eksportowych), który jest zakładem dość nowoczesnym, mogącym spełnić różne oczekiwania klientów. Zaplecze handlowe, wzorcownie, na miejscu wszyscy nasi specjaliści — to powinno ułatwić pracę i nam, i klientom.

Przygotowania były jednak trudniejsze niż do Międzynarodowych Targów Poznańskich — tam działało już wieloletnie doświadczenie, rutyna — tu prawie wszystko trzeba było organizować i przygotowywać nieco inaczej, przy czym stale z myślą, aby wypaść jak najlepiej..., tak, aby impreza ta na stałe pozostała w Łodzi. Ponadto — uważamy, że przygotowane na targi hale w przyszłości mogą stać się doskonałym miejscem do organizowania krajowych giełd branżowych przemysłu lekkiego.

„TEXTILIMPEX": — Po raz pierwszy pokazujemy się w Łodzi, a więc, jak zwykle w takich przypadkach, w czasie przygotowań pojawiały się rozmaite nieprzewidziane kłopoty i trudności. Dużym ułatwieniem natomiast był fakt, że prawie cały towar, jaki chcemy zaoferować zagranicznym odbiorcom był na miejscu. Odpadły problemy wyboru — co posłać na ekspozycję do Poznania, co odrzucić, nie było kłopotów z transportem, znacznie niższe okazały się więc koszty udziału w imprezie.

Przewidujemy, że głównym miejscem rozmów i ewentualnego podpisywania umów, będą nie hale targowe, lecz budynek „Textilimpexu", w którym czekać będą wszyscy nasi specjaliści. Na Targi Poznańskie jeździła z konieczności wąska ekipa — i jej uczestnicy nieraz musieli podejmować decyzje za innych. Tak jak teraz — jest wygodniej i korzystniej, mamy więc nadzieję, że tak już pozostanie.

Wysłaliśmy zaproszenia do wszystkich naszych dotychczasowych klientów i liczymy przede wszystkim na rozszerzenie z nimi kontraktów, choć chcielibyśmy znaleźć także zupełnie nowych partnerów.

DLA SMAKOSZY I ŻARŁOKÓW

O tym, jak będzie funkcjonować gastronomia w czasie targów już pisaliśmy — dziś więc — jako uzupełnienie podajemy zestaw smakołyków, przygotowywanych przez restauracje i punkty gastronomiczne. Może przy okazji panie domu zrobią sobie mały urlop od gotowania i wraz z rodziną pójdą spróbować kolejno różnych specjałów?

W restauracjach, obok dań zwykle znajdujących się w jadłospisach znajdą się także przygotowane specjalnie na tę imprezę nowości. I tak w restauracji **„Kaskada"** będzie można w jednej z sal zjeść potrawy z kuchni bułgarskiej. W **„Europie"** — proste, lecz bardzo smaczne potrawy słowackie, w **„Halce"** — dania według receptur staropolskich. Komu zależy na bardzo eleganckim posiłku — powinien odwiedzić **„Nad Łódką"**, gdzie podawane będą szczególnie wykwintne i skomplikowane potrawy.

Natomiast w halach targowych i wokół nich — w bufetach i kioskach także duża różnorodność dań, wśród nich m. in. węgierska zupa gulaszowa bograsz, szaszłyki, naleśniki z różnymi pikantnymi i słodkimi farszami, pieczone kurczaki, kiełbaski z rożna i rusztu, pasztety, sałatki różnego rodzaju oraz kanapki — małe, eleganckie oraz dla bardziej zgłodniałych, spore, domowe.

Nie zabraknie również słodkich deserów — będą rozmaite cocktaile, bułeczki drożdżowe z różnym nadzieniem, smaczne i mało znane w Łodzi krążki francuskie. Przygotowuje się dużo drobnej, ładnej galanterii cukierniczej, a także lody owocowe (ten rodzaj lodów, z uwagi na recepturę, nie grozi zatruciem pokarmowym, a ponadto jest najbardziej lubiany przez dzieci).

HALO! TU TARGI...

Wiadomo, że w wielu przypadkach uczestniczące w targach ekipy muszą — nieraz bardzo szybko — porozumieć się z centralą swojej instytucji. Sieć telefoniczna, jaką dysponowała dotychczas Hala Sportowa absolutnie nie wystarczała do takich celów. Zespół MTP z Poznania zażądał zainstalowania 150 nowych numerów. Nasi specjaliści od telekomunikacji wykonali to zamówienie z naddatkiem — nowy kabel, prowadzący od hal targowych bezpośrednio do centrali ma pojemność 300 numerów. Jest to kabel podziemny, sztywny i — jak zapewniają fachowcy telefony pracować będą bezawaryjnie.

Ponadto na potrzeby uczestników targów zainstalowano trzy teleksy, a w starej hali targowej urządzone zostało centrum telekomunikacji, gdzie zainstalowano automaty do rozmów międzymiastowych oraz ręczną centralkę, przez którą zamawiać będzie można także połączenia międzynarodowe.

W RAZIE BÓLU GŁOWY

Lekarze i pielęgniarki, sprawujący opiekę nad gośćmi targowymi udzielać będą pomocy oczywiście w każdym przypadku, nie tylko bólu głowy — tytuł jest po to, aby nie zapeszyć i aby nic poważniejszego nie zdarzyło się przez cały czas trwania imprezy.

W hali A (stara hala sportowa) na bazie przychodni sportowej utworzony zostanie punkt opieki medycznej, w którym stały dyżur pełnić będzie lekarz i dwie pielęgniarki. Pod halą w czasie godzin otwarcia ekspozycji stać będzie karetka reanimacyjna z pełną obsługą.

W hali B (nowa hala) czynny będzie punkt pielęgniarski. Dwie pielęgniarki oprócz telefonu, dysponują także radiotelefonem, aby w razie poważniejszego przypadku można było natychmiast wezwać lekarza lub pogotowie.

W jednym z domów studenckich Politechniki, zamienionym na hotel dla gości krajowych, w **przychodni ZOZ — Palma** nad zdrowiem mieszkańców także czuwać będzie lekarz i pielęgniarki. Punkty pielęgniarskie, z łącznością radiotelefoniczną, utworzone zostaną również w trzech hotelach, przeznaczonych dla gości zagranicznych.

Ponadto, spodziewając się większego niż zwykle tłoku w pociągach, **PKP wzmacnia na ten czas obsadę dworcowych punktów medycznych.**

Z pomocy lekarzy i pielęgniarek korzystać będą mogli oczywiście nie tylko uczestnicy Interfashion, lecz także wszyscy zwiedzający ekspozycję.

NA WYSOKI POŁYSK

Główną troską władz miasta w dziedzinie, nazywanej niezręcznie „estetyzacja" były elewacje łódzkich kamienic. Nie da się ukryć — zaniedbane, zwłaszcza w ostatnich latach. Scenariusz, sporządzony w UMŁ, wyznaczał czterdzieści posesji zlokalizowanych przy Piotrkowskiej, w pobliżu terenów targowych i przy ulicach, tworzących główne ciągi komunikacyjne łączące śródmieście z trasami wylotowymi. W tym samym obszarze nakazano właścicielom posesji lub właścicielom reklam, wymalowanych na ścianach domów odnowienie ich bądź likwidację przez zamalowanie. Że się to w mieście dzieje, widać gołym okiem. Kiedy już trwały prace przy odnawianiu zaplanowanych czterdziestu posesji, scenariusz podlegał rozszerzeniu: a to się okazywało, że z odnowionym frontonem brzydko kontrastuje sąsiednia, również — choć może trochę mniej — odrapana kamienica, a to znajdował się „na ochotnika" właściciel budynku, który także deklarował gotowość wymalowania i odnowienia swej siedziby, zwłaszcza, jeśli to była instytucja. W efekcie z czterdziestu elewacji zrobiło się blisko siedemdziesiąt. No i dobrze, targi się skończą, elewacje, choć przez kilka najbliższych lat będą cieszyć oko...

Drugim polem działania była zieleń miejska. Podią reputację odnośnego przedsiębiorstwa ma w czasie Interfashion ratować dokonana dość porządnie wycinka i przecinka drzew, zasadzenie kwiatów ozdobnych itp. Prace te koncentrują się w parkach Worcella i Poniatowskiego, choć nie tylko tam. W wymienionych parkach oraz w innych miejscach „przytargowych" zadbano o szalety! Jak się dowiedzieliśmy w UMŁ, są już doprowadzone do porządku. Prawdziwa rewelacja, aż uwierzyć trudno...

O komunikacji, lokalizacji parkingów itp. informuje szczegółowo prasa codzienna i różne wydawnictwa targowe. Jeśli jednak o komunikacji mowa, to warto odnotować „sukces" MPK. Przedsiębiorstwo wystarało się bowiem o... automaty do sprzedaży biletów! Jak długo — po targach — będą z nich korzystać łodzianie, okaże się.

Miasto jest udekorowane dużą ilością flag i chorągiewek w barwach miasta (żółto-czerwone) z herbem. Najwięcej flag spotykamy na trzech głównych trasach wjazdowych. Ciągi flag państwowych krajów — uczestników targów zaprojektowano przed Hala Targową i w pasażu Schillera. Produkcję łódzkich żółto-czerwonych flag i chorągiewek podjęła ZPJ „Pierwsza" — nie pierwszy raz niezawodna w takich okazjach.

Przysłowiowe już niemal „suszenie bielizny na Piotrkowskiej" ograniczamy w tym roku (na szczęście) do trzech tylko transparentów, ulokowanych w centralnej części naszej reprezentacyjnej ulicy. Także w trzech punktach na trzech głównych trasach wylotowych zawisły transparenty.

W chlubnym dążeniu do estetycznej prostoty zniknął już dawno groźny samolot „bojowy" przed Halą Sportową. Zyskaliśmy za to — miejmy nadzieję, że bardziej estetyczny — trójwymiarowy symbol targowy, umieszczony na cokole przed budynkiem Wydziału Budownictwa PŁ. Miejsce zobowiązuje!

Politechnika będzie miała z targami trochę kłopotu, ale na dalszą metę opłaci się: przebudowano (we współpracy z „Telimeną") halę widowiskową i stołówkę w osiedlu akademickim, która w czasie targów wystąpi w roli eleganckiego baru szybkiej obsługi. Oby był równie elegancki po targach. Przy okazji odnowiono kładkę nad aleją Politechniki.

Ogólnie biorąc, cieszy to, że miasto się porządnie i estetycznie prezentuje w czasie targów, a jeszcze bardziej cieszy, że i po zdjęciu flag, transparentów, chorągiewek i tablic informacyjnych coś zostanie dla pożytku miasta i mieszkańców.

(T. J.)
(ak)

Foto: Grzegorz Gałasiński

Wstrząsająca opowieść Wacława — rzecznika Tomasza Bartoszka. Italiańcy zjedli konia, a chłop musi teraz płacić. Rzecznik nic nie może poradzić na błędy zgierskiego GS. Czego nie może wojewódzki prokurator?

Głupia końska sprawa, czyli połowa sprawiedliwości

Kolejno? Znaczy — po porządku? Dobrze, może być po porządku. No więc przychodzi do mnie Bartoszek Tomasz, kum mój z Pustkowej Góry i powiada: — kłopot mam i nie wiem jak sobie poradzić. To ty mi poradź, bo ja mam tylko dwie klasy i to przedwojenne, znaczy się — sanacyjne, a ty masz pięć czy nawet sześć i to dobrej, nowoczesnej szkoły, robotniczo-chłopskiej. — Tu Bartoszek Tomasz wyjął zza kapoty pół litra monopolowej i nalał do szklanek.

— Zadłużyłem się — opowiada dalej Tomasz — i widzę, nic nie poradzisz, tylko co sprzedać. Ale co? Ziemi mam pięć hektarów, to się nie będę z tego zdziebka wyprzedawał. Krowy? A cóż ja nieboraczek bez krów zrobię? Przecież to żywiciełki! Nijak nie wychodzi tylko konia sprzedać... No to wziąłem konia i prowadzę go z moim chłopakiem. Do Zgierza, na spęd. Po drodze mówię do chłopaka: — jak za naszą kasztankę dadzą po 90 za kilo, czyli że pójdzie w drugiej klasie, to dostaniemy ze czterdzieści. Starczy na dług w banku, bo tam trzeba zapłacić 30 i zostanie na wypożyczenie ciągnika. A jak ma pójść w trzeciej klasie — nie sprzedam!

Na tym spędzie ze trzydzieści koni, ale poczekaliśmy, przyszła nasza kolej. Klasyfikator moją Kasztankę obejrzał, obmacał i powiada: — 90 za kilo. To ja się zgodziłem. Klasyfikator wyciął na grzbiecie klasę, a ja po pieniądze. Na kwicie stało: 90 za kilo, tyle dostałem, zaraz do banku wpłaciłem co trzeba i wróciliśmy do domu. To było... gdzieś w październiku. A teraz (był grudzień 1983) powiestkę dostaję, że nadpłata była, koń trzeciej klasy, znaczy, po 70 za kilo idzie... A za siedemdziesiąt to ja bym go w życiu nie sprzedał! I co robić? Poradź, Wacek! (Bo mnie Wacław jest).

Na powiestkę popatrzyłem: — zgadza się, GS w Zgierzu żąda 8.980 zł, bo mylnie wyliczono. A jak nie zapłacisz chłopie „to skierujemy na drogę postępowania sądowego". Jeszcze na kwit Bartoszka popatrzyłem: — też się zgadza! „19 października, Bartoszek Tomasz. Koń, nr szt. itd. 90 za kilo i 40 tysięcy 400 zł do wypłaty...". Do Bartoszka mówię: — Ty się, Tomasz, nic nie martw. Taki ichni kwit dobry jak i twój, a nawet twój lepszy, bo go pisali za życia twojej szkapy, a ten wystawili, kiedy ją już Italiańce zjedli (bo konie to my do Włoch wysyłamy, w telewizji było).

Półlitrówkę my dopili i jak mi się jeszcze bardziej w głowie rozjaśniło, mówię: — A jakbyś, kumotrze, jeszcze jakie miał kłopoty, jakby ci GS d.... zawracał, to przychodź, pogadamy. Ja będę u ciebie za rzecznika. Taka moda teraz, każdy ma rzecznika to i ty będziesz miał. Rzecznik, to... jakby to powiedzieć... tak jak dawniej adwokat, tylko jeszcze bardziej wygadany.

Dobre pół roku minęło a tu Bartoszek znów przychodzi i powiada: — Nie jest dobrze, Wacek. Znów powiestkę dostałem, tylko, że już nie z GS a z sądu, i to nawet Rejonowego. O tu napisane — „ma się stawić na rozprawę". Nie jest dobrze, przyjdzie mi za moją krzywdę — te pieniądze zapłacić, a jeszcze — nie daj Bóg — odsiedzieć.

Pocieszyłem Tomasza, jak umiałem i tak kombinuję: — rzecznik rzecznikiem, ale w sądzie żartów nie ma. Bierz kumotrze adwokata. Sprawa, na mój rozum, musi być wygrana, kwit masz. Ale niespokojny byłem i pojechałem z Bartoszkiem do Zgierza. W sądzie mówią tak i tak, adwokat kwity pokazuje, wszystko dobrze idzie. A tu mecenasowa, znaczy się rzecznik GS powiada, że ona świadków da, klasyfikatora co był aż z samego Wrocławia i drugiego, miejscowego, znaczy się zgierzaka.

— No to — powiadam do Bartoszka — pierwszą rundę chłopie wygrałeś. Ale się za bardzo nie ciesz, bo się okaże, co w drugiej rundzie. Jak GS świadków zacznie ściągać z drugiego końca Polski, różnie może być. A ty świadków nie masz, twój chłopak tylko. Kobyły też nie pokażesz, bo ona już w końskim niebie, na niebieskiej łące trawkę pojada.

I wykrakałem. W listopadzie, tak gdzieś na świętą Cecylię była druga sprawa. Z lewej strony siada ta rzeczniczka GS, z prawej Bartoszek Tomasz z adwokatem. Ja się tam nie pcham, niech się mecenas popisze, siadam skromnie przy drzwiach. Sprawa się zaczyna. Najpierw ten klasyfikator, co aż spod Wrocławia przyjechał, zeznaje: — Ja sobie — powiada — sprzedaży konia przez pana Bartoszka nie przypominam. Ale wszystko robię akuratnie, konia oceniam, głośno mówię, która klasa, kwit podpisuję. Pomyłki być nie może. Ten kwit? — owszem, ja podpisywałem.

Dobrze idzie — myślę sobie — kwit, znaczy ważny i tyle Bartoszkowi zrobią! A co zezna zgierzak?

— Kopia — powiada ten świadek — zostaje u nas, kwit ma rolnik. Obywatela Bartoszka (tak powiedział: obywatela) to ja sobie nie przypominam, a pomyłki owszem, zdarzają się, człowiek — powiada — omylny jest.

I bardzo dobrze! — pomyślałem. Sam powiada, że Bartoszka nie pamięta, ten drugi też a i jeszcze do pomyłek się przyznaje. Znakiem tego Bartoszek niewinien! W GS biała mi jest. Przecież nie może tak być, żebym bez żadnej sprawiedliwości został i tyle grosza wypłacił. Gdzie się tu odwołać, powiedz Wacek, przecież jesteś mój rzecznik.

Pomyślałem krzynę i mówię: — Tu trzeba wyższej władzy poszukać. A jaka jest najwyższa władza od sprawiedliwości? Najwyższa na całe województwo?

— Sąd Wojewódzki — powiada Tomasz.

— Słusznie. A kto do Sądu Wojewódzkiego sprawy kieruje, no kto? Prokurator Wojewódzki! Ty Bartoszek niedzielne ubranie zakładaj, wszystkie papiery porządnie zapakuj i wal do miasta Łodzi, do najważniejszego w województwie prokuratora. Jak on ci nie pomoże, to ci już nikt nie pomoże, chyba, że sam generał Jaruzelski albo ten Ojciec Święty, co ma do nas znów przyjechać.

Bartoszek, jak słowo „prokurator" usłyszał to się aż przeżegnał. Posłuchać mnie nie chciał: — Gdzie ja tam do samego prokuratora za te głupie parę tysięcy. Nie pojadą, nic nie wskóram. Prokurator zbrodniarzami się różnymi zajmuje, złodziejami i innymi takimi, gdzie tam będzie miał głowę do głupiej, końskiej sprawy.

Wtedy ja znów do Zgierza pojechałem, w sądzie pokazali mi takie pismo, co tam wszystko dokładnie było napisane, jakie to Bartoszek Tomasz ciężkie przestępstwo popełnił. Strasznie to było zawiłe, nie na chłopski rozum, ale co trzeba, to zrozumiałem. Pisało tam, że Bartoszek „uzyskał korzyść majątkową" i że ją uzyskał „bez podstawy prawnej" — czyli, że niby ukradł. I że „nastąpiło zubożenie powoda" czyli GS. Wszystko to dokładnie Tomaszowi opowiedziałem i chłop się rozsierdził: — Jakie — powiada — zubożenie powoda, jakie? GS ma się dobrze, tylko moje zubożenie jest, a nie GS! A co ja „uzyskałem bez podstawy prawnej"? No co? Te parę tysięcy, co je muszę podwójnie zwracać? A kwit? To on był może wypisany „bez podstawy prawnej"? Może i był, ale nie ja go wypisywałem, tyle te różne klasyfikatory, referenty, co szkoły pokończyli. Oni się mogą pomylić, a ja mam płacić! Zaklął Tomasz paskudnie, że powtórzyć wstyd i... rady mojej posłuchał, do prokuratora w mieście Łodzi pojechał.

Pojechałem z nim, ale do tej Prokuratury nie wszedłem. Zawsze to prokuratura... Niejeden wszedł na chwilę, a wyszedł jak mu się dzieci zestarzały. Bartoszek Tomasz wszedł. I wyszedł po małej godzince! Tak mi potem opowiadał:

— Bardzo jest w tej prokuraturze przyjemnie, ludzie uprzejme, zupełnie normalne, a nie takie ważniaki jak w GS na ten przykład. Wysłuchał mnie jeden taki, głową pokiwał, zapisał sobie wszystko, papiery obejrzał, po głowie się tylko jeszcze poskrobał i tak powiada: — Sprawiedliwość jest taka, że jak sąd przysądził to mus płacić, nie ma rady. Z drugiej strony pan (tak powiedział: pan), panie Bartoszek płacisz jakby za biezdurno, czyli frajerskie. Ja — mówi prokurator — mogę nawet zupełnie nadzwyczajną rewizję zrobić, tylko, że sprawa taka głupia, mała sprawa, końska...

— Rewizji — mówi Bartoszek Tomasz — to nie ma co robić, konia i tak się nie znajdzie, dawno go zjedli Italiańce, w charakterze tatarskich befsztyków. Ale żeby pan prokurator ten wyrok odkręcił, jakoś temu sądowi w Zgierzu nakazał albo chociaż GS nastraszył — w takim GS jak poskrobać, to się na pewno coś znajdzie, tak że pan prokurator będzie miał przyjemność, a ja do sprawiedliwości dojdę.

Prokurator się uśmiechnął i mówi: — Jedź pan do domu, ja pomyślę, może rzeczywiście GS przekonam, żeby już z pana tej forsy nie darli.

I niech pan sobie wyobrazi, jeszcze raz Bartoszek Tomasz do Prokuratury pojechał, żeby się upomnieć, bo mu cały czas z zapłaty za mleko te pieniądze odbierali. A prokurator ręce rozkłada: — Nic, panie Bartoszek, nic panu nie mogę pomóc. Sąd w Zgierzu jest niezawisły, GS jest samorządny i ma wyrok prawomocny, znaczy sprawiedliwy wyrok... Pisma pisałem, tłumaczyłem, nic nie daje rady.

— To ja, panie redaktorze się pytam, ja, rzecznik Bartoszka Tomasza: jak jest z tą sprawiedliwością? Jak to jest, że prokurator, chociaż on wojewódzki, to żadnego posłuchu nie ma ani w sądzie, ani nawet w GS, czy WZGS, bo i tam pan prokurator pisał?

Jeśli jest tak„ że sprawiedliwość jest po połowie, to się znaczy połowę ma GS i połowę Bartoszek, to może Tomasz tylko połowę forsy ma zapłacić? Jedno wiem na pewno: na rzecznika to ja się nigdy już nie zgodzę!

Zanotował:
ANDRZEJ KAROL

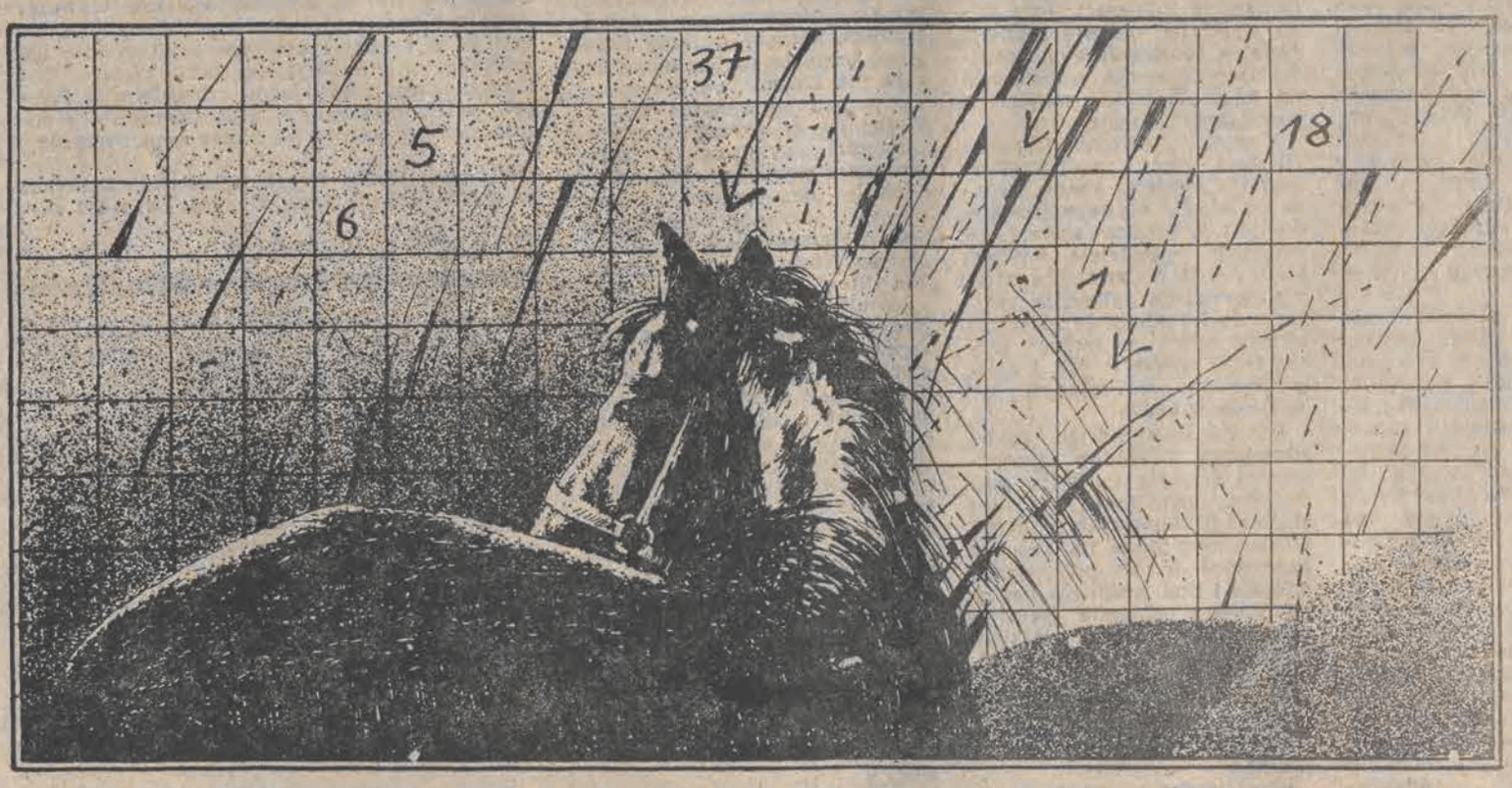

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Mówi: Jerzy Hutek

— Początkowo chciał pan być filologiem?

— Miałem w XXI LO w Łodzi bardzo dobrą nauczycielkę polonistkę prof. Kalię Przygocką, która ukierunkowała mnie na myślenie humanistyczne. I dlatego znalazłem się na Uniwersytecie Łódzkim na filologii polskiej. Pracę magisterską pisałem z zakresu teorii dramatu.

— W czasie studiów działał pan w studenckim teatrze „Pstrąg", o czym dzisiaj nie wszyscy pamiętają?

— Teatr w ogóle nie jest do pamiętania, to przecież sztuka chwili, która kończy się wraz z opadnięciem kurtyny. W „Pstrągu" byłem nie tylko szefem, ale aktorem, reżyserem, robiłem wiele rzeczy.

— Studia reżyserskie w krakowskiej PWST to wynik zainteresowań ze studenckiego okresu?

— Tak. Studia w Krakowie oprócz wszystkich walorów były także przyjemnością spotkania z mądrymi ludźmi, ciekawymi artystami. Kraków to miasto artystów i dlatego m. in. zdecydowałem się tam studiować. Do Warszawy nie chciałem, bo to zbyt wielkie miasto dla łodzianina, szczególnie przerażały mnie zielone światła na skrzyżowaniach. W połowie drogi zawsze zapalało się czerwone.

— I został pan reżyserem. Co zapisać na koncie sukcesów?

— W Teatrze im. S. Jaracza w Łodzi podobał się mój „Cesarz", „Grenadier Król", „Kamień na kamieniu", w Olsztynie „Kordian".

— Teraz jest pan dyrektorem naczelnym i artystycznym Teatru Nowego w Łodzi, co czyni z pana nie tyle postać karierowicza, ile odważnego optymisty. Z natury jest pan kimś takim?

— Wierzę w sens praktycznych działań.

— Każdy reżyser marzy, aby w przyszłości zostać dyrektorem artystycznym teatru, bo to ułatwia realizację własnych wizji twórczych. Pan też chciał?

— Dyrektorowanie i reżyserowanie to dwa różne zawody. Historia zna wielu dyrektorów, którzy nie byli reżyserami a dobrze prowadzili teatry.

— Niedawno wyznał pan publicznie, że chce robić teatr dla siebie, dla własnej przyjemności, i dla kilkudziesięciu osób myślących podobnie jak pan. To wielki luksus, choć teraz rzeczywiście będzie pana na to stać. Tylko jak długo?

— Każdy twórca robi to, co uważa za potrzebne, co umie i lubi. Nie umiałbym robić teatru, który mnie nie interesuje. W zasięgu moich zainteresowań jest teatr współczesny, cała literatura polska, tematy społeczne. Nie mógłbym być dyrektorem operetki, bo jej nie lubię i nie znam się na tym. W teatrze szalenie istotna jest osobowość dyrektora artystycznego i osobowości zaangażowanych przez niego ludzi, które powinny być na tyle ciekawe, aby potrafiły zafascynować ludzi.

— Czy odbył pan już rozmowy sezonowe z aktorami?

— Tak, odchodzi 5 osób, przychodzi 12 nowych aktorów.

— Stawia pan na młodych czy starszych?

— Na wszystkich.

— Dla aktorów jest pan tolerancyjny i niczego im nie odmawia?

— Aktor musi być otoczony opieką, to przecież trudny i wyczerpujący zawód. Posłannictwem dyrekcji teatru jest stworzenie najlepszych warunków do pracy aktora.

— Jest pan w trochę niezręcznej sytuacji, bo żona też jest aktorką tego samego teatru?

— Mam nadzieję, że moja żona nie będzie typową dyrektorową. Na razie nie gra, bo piastuje nowo narodzone dziecko.

— Trzeci syn, to luksus w obecnych czasach?

— Przede wszystkim kolejny sukces. Jest niewielu dyrektorów, którzy mają trzech synów.

— Wiemy już, że lubi pan teatr i dzieci. Co jeszcze lubi Jerzy Hutek?

— Dobre jedzenie, o które coraz trudniej. Właśnie zatrułem się na festiwalu w Kaliszu salmonellą. Lubię książki, które są coraz droższe. Lubię wakacje w górach, ale spędzam je nad morzem, bo takie są upodobania żony.

— Czy do pracy nadal jeździ pan na rowerze?

— Owszem, wciąż na tym samym starym składaku „Wigry-3", ale ciągle się boję, że mnie potrącą, bo kierowcy samochodów nie szanują rowerzystów.

— Lubi pan działać szybko czy powoli?

— Skutecznie.

— W życiu prywatnym również?

— Również, bo kiedy postanowiłem, że kupię rower, to kupiłem, co prawda ośmioletni, ale mam.

— W teatrze działa pan bardzo intensywnie, co przygotowujecie?

— Trzy sztuki: Zbigniew Mich reżyseruje „Doktora Faustusa", Krzysztof Kelm „Ścisły nadzór", a ja współczesną farsę angielską „Czego nie widać".

— Dyrektorując, reżyserując nie będzie miał pan czasu na nic innego poza tymi zajęciami?

— Faktem jest, że mam trochę mniej czasu na dom i rodzinę.

— W domu na pewno sceduje pan wszystko na żonę?

— W domu mam swój zakres obowiązków. Mimo wszystko staram się być blisko z rodziną. W ogóle to jestem domatorem.

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI

Rudolf Palarz

Z cyklu „Taicziki"

*

Klaudii

pionowe dni
huczące wodospady
czasem cień śpi w poprzek

poziome noce
podziemne rzeki
czasem myśl błyskawicą

*

o świcie
wychodzi z wody
ryby wysypuje z nogawek

o zmierzchu
powraca z powietrza
ptaki złapane w rękawach

*

w ptaku powietrze
ubijane w locie
skrzydłami na kamień

w rybie ocean
przecinany pod wodą
iskrami łusek

*

nasz wspólny ostry nóż
wiele czułych spotkań
na gładkim trzonku

nasza wspólna poduszka
wiele dzikich rozstań
w miękkim puchu

*

dziewczyna śni morze
wysypuje z muszli piasek
deszcz pereł

chłopiec śni niebo
naprężył linkę latawca
słońca promień

*

to on słońce
ssie mleko z jej piersi
w rękę twarde promienie

to ona księżyc.
wchodzi mu na plecy
w nogach wodorosty

*

słoneczko moje
daję ci serce
ulepione ze śniegu

księżycu mój
zabiorę ci kamyk
przemienię go w powiew

*

ptakom dnia wyjmuje złote pióra
w nocy śpi w rzece
wśród ryb

rybom nocy wkłada srebrne łuski
w dzień leci w świat
z ptakami

*

odgadnięty
wychodzi bez płaszcza
po omacku do szafy

odgadnięta
wkłada czym prędzej szlafrok
i wchodzi do wanny

*

spór z ukochaną
jak prędko z niej zdejmować
białe pończochy

spór z ukochanym
jak często głaskać go
po kręconych włosach

*

ciepłe masz palce — wejdź
poszukaj w szufladach
gdzieś tu jest księżyc.

chłodne masz stopy — odejdź
znajdziesz za drzwiami
gdzieś tam jest słońce

*

nie objęłaś mnie nad rzeką
nie przepłynęliśmy
znów rozsypałaś gwiazdy
nie uderzyłeś mnie pod ścianą
nie przeniknęliśmy
znów odsłoniłeś słońce

Magiczna podróż wyobraźni

„Podróże wyobraźni" to tytuł wystawy Cozette de Charmoy, artystki francuskiego pochodzenia, której dzieła udostępniło właśnie naszemu widzowi łódzkie Muzeum Sztuki. I chwała mu za to, albowiem spotkanie z twórczością Cozette de Charmoy jest okazją do wybrania się w podróż doprawdy niezwykłą, w rejony, gdzie na granicy obrazu i słowa rodzi się całkiem nowa jakość, będąca swoistą syntezą plastycznej wizji i werbalnego zapisu, jakość, w której — jak pisze we wstępie do katalogu wystawy R. Stanisławski — *„to, co niewyrażalne, może się ogniskować w formie wizualnej, a to, co niewyobrażalne, znajduje lakoniczną ekspresję liryczną"*.

Nader indywidualnej sztuki Cozette de Charmoy nie da się przypisać do żadnego z kierunków. W latach 30-tych artystka była co prawda związana z grupą twórców skupionych wokół czasopisma „Revue OU", poszukujących sposobów plastycznego zapisu połączonych elementów słowa, obrazu i dźwięku, lecz grupa ta miała charakter nieformalny, nie posiadała wspólnego programu i stanowili ją artyści podkreślający silnie swą indywidualność. Nie oznacza to jednak, że twórczość Cozette de Charmoy pozbawiona jest korzeni. Tak jak i w życiu, które było życiem podróżnika (mieszkała w Kanadzie, Anglii, obecnie żyje we Francji) i w sztuce jest ona obywatelką świata, czerpiącą pełnymi garściami z całej tradycji szeroko rozumianej kultury. Sama przyznaje, że wielki wpływ na jej twórczość miało zetknięcie ze sztuką romańską. Jednak pokrewieństwo, które najbardziej rzuca się w oczy, to związek z pracami surrealistów, szczególnie zaś Maxa Ernsta, z którym wyraźnie łączy ją wspólnota rodzaju wyobraźni, sposobu konstruowania wizji świata tak w sferze formy, jak i myślowego przekazu.

„Przeglądając stare atlasy anatomiczne, fizyczne itp. — pisał Max Ernst w 1933 roku o genezie collage'u — znajdowaliśmy w nich elementy figuracji tak zaskakujące swoją odrębnością, że absurdalność ich zestawień prowokowała halucynacyjne następstwo sprzecznych z sobą obrazów, nakładających się na siebie z szybkością i natarczywością właściwą jedynie wspomnieniom miłosnym. Obrazy te same domagały się dla swych zetknięć nowego, nieznanego terenu".

Świat wyobraźni Cozette de Charmoy również najpełniej znajduje swą plastyczną realizację poprzez collage, o którym mówił Max Ernst, że jest skojarzeniem *„dwu realności pozornie niemożliwych do skojarzenia na płaszczyźnie, pozornie nie sprzyjającej porozumieniu"*. Mozaika fragmentów XIX-wiecznych rycin, atlasów anatomicznych, fotografii, reklam, znaczków pocztowych, różnego typu druków, stempli, tworzy z wielu jej dzieł jakby jeden ciąg sfabularyzowanej wielkiej opowieści o naszym świecie — monstrualnym, drapieżnym, ale i pełnym poezji. Jest to opowieść będąca zapisem skojarzeń, obrazów zanotowanych w pamięci, tworów wyobraźni, a więc budowana przy pomocy intuicji. W dziele Cozette de Charmoy intuicję równoważy intelekt, głęboka przenikliwość i inteligencja. Artystka posiada doskonałą umiejętność obserwacji rzeczywistości, demaskowania jej i komentowania — często przy pomocy gorzkiej ironii, czy czarnego humoru.

W pełni uwidacznia się to w jej powieściach — collage'ach. W „Kolosalnym kłamstwie" znajdujemy rodzaj absurdalnego projektu dziwacznej, monstrualnej maszyny, inspirowanej między innymi konstrukcją gilotyny, a służącej na przykład do ożywiania przez transfuzję, czy obserwacji przy pomocy wszczepionych nadajników syntezy DNA w komórce gruczołu grasicy. Poszczególne „zastosowania" maszyny ilustruje cykl rysunków. „Prawdziwe życie Sweeny Todda", to w swej formie wyraźnie wywodząca się od Maxa Ernsta makabryczna opowieść o londyńskim cyruliku z Fleet Street, żyjącym pod koniec XIX stulecia, który brzytwą podrzynał gardła swym klientom, zaś jego żona przerabiała ich ciała na paszteciki, by je następnie sprzedawać. Materiałem, z którego korzysta Cozette de Charmoy, by snuć swą opowieść o dziejach diabolicznego cyrulika, są często XIX-wieczne miedzioryty z „Illustrated London News" i liczne litografie prasowe z tego okresu.

Zaskakujące zestawieniami elementów, które je tworzą, a nawet bluźniercze niekiedy w swej wymowie (co także dowodzi surrealistycznej proweniencji), są między innymi cykle prac zatytułowane „Ukrzyżowania", czy „Relikwiarze". Rozpięty na krzyżu Chrystus otoczony jest tu na przykład cynicznie stemplami „payé" (zapłacone); najpospolitsze przedmioty („Relikwiarz puszki z mięsem—garmażeria", „Relikwiarz sześciu poetów fałszywych, jednego prawdziwego oraz dyfterytu", „Relikwiarz katastrofy"), nabywają wzniosłości poprzez umieszczenie w niezwykłym dla siebie kontekście, podczas gdy te wzniosłe się deprecjonują.

Cozette de Charmoy wykorzystuje w pełni treściową nośność techniki, którą jest collage, by korzystając z jej pośrednictwa mówić widzowi często gorzką prawdę o nim samym, o świecie, w którym żyjemy, by swymi wizjami zaskoczyć, zaszokować lub zachwycić oglądającego jej dzieła. Ma to w sobie coś z magii. Artystka uważa ją zresztą za istotę sztuki. Najważniejsza jest dla niej nie technika, nie warsztat, który zresztą opanowała znakomicie, lecz to coś magicznego, co dzieje się pomiędzy materią obrazu, a tym, co jest na nim przedstawione. Stąd fascynacja szamanizmem i cykl prac z ostatnich lat zatytułowany „Szamani". Są to obrazy i rysunki bardzo poetyckie, ekspresyjne, przedstawiające ludzi-ptaków jakby ze snu.

Twórczość Cozette de Charmoy wyrasta bowiem z poezji. Są w jej pracach aluzje, bądź też bezpośrednie nawiązania do Baudelaire'a, Rimbauda, Eliota, Themensona. Stąd poszukiwania zjawisk na granicy słowa i obrazu, stąd podobieństwo do poszukiwań twórców związanych z nurtem tzw. „poezji wizualnej". Spotkanie ze sztuką Cozette de Charmoy jest zetknięciem z twórczością wysokiej próby i przygodą intelektualną, którą warto przeżyć.

DANUTA ŚMIERZCHALSKA

Cozette de Charmoy, „Podróże wyobraźni". Muzeum Sztuki w Łodzi, 27 maja — 28 czerwca 1987.

Wizyta „Ateneum"

Z „Policją" – bez obaw

Od wystawionej w 1958 r. „Policji" (grywanej też jako „Policjanci") żaden bodaj autor nie miał na naszych scenach tylu swoich premier, co Stanisław Mrożek, przyjmowanych z tak dużym powodzeniem. Może właśnie „Policja" nie, należy do jego utworów najpopularniejszych, a już z pewnością w Łodzi, dobrze więc, że mogliśmy na scenie „Rozmaitości" oglądać przedstawienie tej sztuki w wykonaniu warszawskiego „Ateneum".

Ten wczesny Mrożek, bezlitosny szyderca, przed którego zjadliwym dowcipem nie ostoi się żadna świętość, już w tej sztuce ujawnia nieubłaganą logikę w doprowadzaniu ośmieszanej sytuacji czy też postawy ad absurdum. Można by zresztą powiedzieć, że logika dominuje tu tak dalece nad psychologią i prawdopodobieństwem, że postaci stają się głównie głosicielami założonych tez. Ale akceptujemy tę funkcję scenicznego bohatera, jeśli tylko umiejętnie żongluje on tekstem, przydając mu stosowny wyraz mimiki i gestu.

Rzecz sprowadza się do tego, że długoletni i ostatni już więzień polityczny, poddawany „wychowawczym" oddziaływaniom komendanta policji, oświadczy pewnego dnia, iż gotów jest natychmiast podpisać deklarację lojalności, byle tylko wyjść na wolność i dzielić życie ze społeczeństwem, manifestującym swoją niezachwianą lojalność wobec miłościwie panującego Regenta.

Z punktu widzenia konwencji tego utworu, podporządkowanemu swoistej logice, wydaje się zresztą nie najważniejsze, czy jest to przełom szczery czy udawany, ważniejsze bowiem staje się, iż metamorfoza więźnia wywołuje całkowite zaskoczenie i bezradność przedstawiciela policji politycznej, której racją istnienia, jak i całego systemu policyjnego, jest istnienie wrogów.

Obserwujemy też jak gdyby równoległą i zarazem przeciwstawną sytuację. Policyjny prowokator, rozmiłowany w swej służbie i fanatycznie wierny władzy, przyjmuje na siebie z poświęceniem rolę politycznego więźnia i pod wpływem swojego nowego położenia zaczyna przechodzić proces całkiem odwrotny, niż ów były więzień, który tymczasem staje się podporą reżimu. Jeden miał już dość bohaterstwa i cierpiętnictwa, drugi zaczyna teraz tego pragnąć.

Przedstawienie wywołuje co chwila śmiech na widowni, toczy się ono zresztą sprawnie, w wartkim tempie, chwilami jednak niepotrzebnie moim zdaniem, zatrąca o farsę (owszem, postacie są bardziej farsowe niż komediowe, ale sprawy jednak niezmiernie serio). Występują w głównych rolach znakomici wykonawcy: reżyser przedstawienia, Jan Świderski — jako Generał, którego wejści powitano oklaskami, Leon Pietraszak — Komendant, Marian Kociniak — Więzień i Jan Kociniak — Prowokator.

Znamienne, że ta satyra Mrożka, której strzały godzą zapewne w każdym kraju w odmienne realia, lecz podobne nieraz mechanizmy, przyjmowana jest u nas z wyraźnym rozbawieniem, ale bez niezdrowej sensacji, jak to pamiętam z krakowskiego przedstawienia na kameralnej scenie „Słowackiego" sprzed chyba dziesięciu lat. Bo to, że grywamy Mrożka przestało już mieć posmak sensacyjny i stanowi normalny przejaw otwartości życia kulturalno-artystycznego. I jest to, jak sądzę, refleksja niezmiernie pocieszająca.

A Stowarzyszenie Artystyczne i tym razem miało dobrą rękę.

JERZY KWIECIŃSKI

Z półki recenzenta

MAJAKOWSKI

Wyd. Literackie od jakiegoś czasu wydaje zbiory wierszy poetów radzieckich w dwóch językach: obok oryginału zamieszcza jego polski przekład. Właśnie ukazał się wybór wierszy Majakowskiego „Kocham". Są to utwory określane jako „poezja miłosna", których Majakowski napisał sporo, w tym poematy takie, jak „Obłok w spodniach", „O tym" czy „Kocham". Przekładów dokonali: S. Pollak, M. Jastrun, B. Jasieński, E. Siemaszkiewicz, A. Stern, A. Włodek, L. Podhorski-Okołów oraz A. Ważyk.

Włodzimierz Majakowski: Kocham. WL 1987, Str. 192. Cena 340 zł.

ZAGINIĘCIE GENERAŁA

24 lata temu ukazała się książka Jerzego Rawicza pt. „Generał Zagórski zaginął. Z tajemnic lat międzywojennych". Książka stała się od razu bestsellerem. Teraz pojawiła się kolejna pozycja dotycząca tego samego tematu, a mianowicie „Tajemnice śledztwa KO — 1042/27" Zbigniewa Cieślikowskiego. Krótkie przypomnienie: po zamachu majowym Piłsudski poleca osadzić w areszcie 14 wyższych oficerów, w tym kilku generałów. Jeden z nich, gen. Zagórski po zwolnieniu zaginął w tajemniczych okolicznościach. A więc lektura pasjonująca, pełna znaków zapytania, na które na dobrą sprawę, nie zawsze można odpowiedzieć, choć minęło już 50 lat od tamtych wydarzeń.

Zbigniew Cieślikowski: Tajemnice śledztwa KO — 1042/27. MON 1986. Str. 376. Cena 310 zł.

POEZJE GAŁCZYŃSKIEGO

Pisałem już w tym miejscu o dobrym pomyśle Wydawnictwa Lubelskiego, które rozpoczęło wydawanie zbiorów wierszy naszych najwybitniejszych poetów. Dziś chcę poinformować czytelników o kolejnym tomie. Jest to wybór wierszy i poematów K. I. Gałczyńskiego. Z braku dzieł zebranych ta książka w jakimś stopniu pozwoli zbliżyć się do świata wyobraźni autora „Zaczarowanej dorożki". Jestem przekonany, że inicjatywa wydawcy jest godna pochwały, a zbiory poetyckie, jakie się ukazują, staną się cenną pozycją każdej domowej biblioteki.

K. I. Gałczyński: Poezje. Wyd. Lub. 1986. Str. 288. Cena 350 zł.

AFORYZMY WIESŁAWA MALICKIEGO

Nakładem „Instytutu Śląskiego" w Opolu ukazała się niewielka objętościowo publikacja Wiesława Malickiego pt. „Z dna soczewki", a zawierająca dwie setki aforyzmów. Obserwujemy istną eskalację tego rodzaju twórczości, której poziom wielekroć pozostawia wiele do życzenia. Aforyzmy Wiesława Malickiego wyróżniają się jednak mocno na tle owej przeciętności: są celne, zawierają jakieś konkretne przesłanie, a jeśli uczą, to bez natrętnej belferki i wymądrzania się. Oto przykłady: „To, czego nie ma, też ma swoją historię", „Owoce pośpiechu psują się najwcześniej", „Czytając książkę, pisz ją sam".

Wiesław Malicki: Z dna soczewki. Instytut Śląski 1986. Str. 32. Cena 150 zł.

RENESANS W POLSCE

„Arkady" zapoczątkowały serię „Dzieje sztuki w Polsce" wydaniem od razu tomu trzeciego pt. „Renesans w Polsce". Całość jest obliczona na 8 tomów i będzie repliką edytorską monografii epok artystycznych w Polsce, którą to monografię „Arkady" rozpoczęły wydawać jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych. Wówczas były to albumy, obecnie otrzymujemy to samo tyle że w formacie książkowym. Tak więc dla tych, którzy interesują się architekturą, rzeźbą i rzemiosłem artystycznym „Renesans w Polsce", będzie znakomitym uzupełnieniem ich dotychczasowej wiedzy na temat romańszczyzny.

Helena i Stefan Kozakiewiczowie: Renesans w Polsce. Arkady 1987. Str. 280. Cena 490 zł.

STULECIE CHIRURGÓW

Nie chce się wierzyć, ale mija dopiero 141 rok od czasu, gdy po raz pierwszy zastosowano narkozę podczas zabiegu chirurgicznego. O amputacjach kończyn czy trepanacji czaszek w latach poprzedzających tę datę lepiej nie wspominać. Tak więc era „stulecia chirurgów" rozpoczęła się 16.X 1846 roku. O tym wszystkim i o wielu innych ciekawych, sensacyjnych i dramatycznych sprawach opowiada w swojej książce Jürgen Thorwald. Publikacja ta zdobyła wielki rozgłos w USA, Anglii, Francji, Danii, Hiszpanii, Włoszech i Jugosławii.

Przekład Karola Bunscha.

Jürgen Thorwald: Stulecie chirurgów. WL 1987. Str. 244. Cena 550 zł.

Krakowskie Festiwale Filmów Krótkometrażowych '87

Pod znakiem filmu radzieckiego

GRZEGORZ GAZDA

Tego można było się spodziewać. Od pewnego czasu nie ma na świecie takiego festiwalu filmowego, na którym film radziecki — fabularny i dokumentalny — nie zdobywałby głównych nagród, najwyższych premii i wyróżnień. Kinematografia Związku Radzieckiego korzystając z gorbaczowowskiego otwarcia zaczyna odgrywać rolę — u siebie i za granicą — którą potencjalnie zawsze była w stanie podjąć. Obserwując obecne przemiany kulturalne i ideologiczne w Kraju Rad oraz film, który im towarzyszy należałoby znów przywołać słowa Lenina, że „kino jest najważniejszą ze sztuk".

Bodaj po raz pierwszy w przeszło dwudziestoletniej historii krakowskich festiwali filmy radzieckie cieszyły się tak ogromnym zainteresowaniem: jeden z pokazów trzeba było powtarzać, bo niemałe przecież kino „Kijów", nie mieściło wszystkich, tłumnie przybyłych widzów.

Dzieje się to wszystko przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że tematyczne, estetyczne i warsztatowe zasoby światowego filmu krótkometrażowego zdają się wyczerpywać. Film ów zaczyna cierpieć na powolną, acz widoczną gołym okiem, atrofię pomysłów, społecznych funkcji i poznawczych celów. Pewnie i dlatego, że film krótki staje się formą niechcianą dla dystrybutorów i właścicieli kin. Także telewizja nastawiona na aktualność, doraźność i bezproblemowość pomija (zwłaszcza na Zachodzie) formy „małego kina". A i u nas telewizja woli własne produkcje, natomiast kinu z „zewnątrz", z wyspecjalizowanych wytwórni, nadaje charakter okazjonalny jakby z przymusu i bez przekonania. Na takim tle kino radzieckie jaśnieje pełnym blaskiem i udowadnia, że film dokumentalny ma wciąż — by tak powiedzieć — perswazyjną potencję, że potrafi o coś walczyć, przekonywać i uczyć. Jest w swoim kraju w centrum zainteresowania publiczności, krytyków i polityków kultury.

Powód drugi tego ogromnego zainteresowania kinem radzieckim jest prosty: Cały świat z rosnącą uwagą przygląda się przemianom w Związku Radzieckim, a film stamtąd te przemiany unaocznia, potwierdza i ideologicznie intensyfikuje.

Dwa tytuły w sposób szczególny skupiły uwagę festiwalowej publiczności, choć ze względów regulaminowych (metraż przekraczający 30 min. projekcji) nie znalazły się w oficjalnym konkursie. Pierwszy z nich to „CZERNOBYL — KRONIKA TRUDNYCH TYGODNI" — prawie godzinny dokument przedstawiający dramatyczne i nadludzkie wysiłki zmierzające do likwidacji skutków katastrofy czernobylskiej elektrowni atomowej. Mimo iż minęły całe miesiące od tamtych tragicznych wydarzeń wciąż jeszcze obraz krateru po wybuchu jednego z bloków reaktora robi wstrząsające wrażenie. Publiczność krakowska oglądała ów film ze ściśniętym gardłem, tym bardziej, iż na kilka dni przed festiwalem dowiedziała się, że realizator Władimir Szewczenko zmarł na chorobę popromienną. W pokazie uczestniczyli dwaj operatorzy zdjęć do tego filmu.

Tytuł drugi to obraz zatytułowany „CZY ŁATWO BYĆ MŁODYM" autorstwa Jurisa Podnijeksa. O tym filmie wiedzieliśmy już z przedruków z prasy radzieckiej, która współuczestniczyła w powszechnej dyskusji i polemice wokół poruszonych przez autora problemów. To jakby socjologiczna sonda lub ankieta, której autor postawił sobie zadanie przedstawienia współczesnej młodzieży radzieckiej, jej aspiracji, marzeń i życiowych dążeń, ale także jej egzystencjalnych stresów, psychicznych zagrożeń i osamotnienia. Film ma wysoką emocjonalną temperaturę, bo autor stara się rozumieć punkt widzenia swoich młodych bohaterów, i to bez względu na to, czy są to fani rocka, czy przypadkowi przestępcy ukarani nazbyt surowo i bezdusznie, czy narkomani, czy też młodzi komsomolcy pełniący wartę przed pomnikiem strzelców łotewskich. Ale jednocześnie Juris Podnijeks chce być w rozmowach z młodymi obiektywny. Jego diagnozy nie są ani doraźnym oskarżeniem, ani też bezkrytycznym zachwytem inności, swoich rozmówców, ich spontanicznością i witalizmem jakby na przekór wszystkim i wszystkiemu. Niezwykłość tego filmu polega i na tym, że jego realizator potrafił zmienić jednowymiarowy stereotyp w pogłębioną, wieloaspektową i przejmująco szczerą prawdę, nie uciekając przed problemami najtrudniejszymi. Oto młodzi chłopcy, a wśród nich i kalecy. Powrócili do cywilnego życia po służbie wojskowej, którą odbywali w Afganistanie. Co myślą i co mówią o swojej przyszłości? Jak przeżywają niedoległą przeszłość? Czym jest dla nich wojna? Przy tym wszystkim Podnijeks nie chciał ograniczać się poetyką relacji dokumentalnej. Stworzył film, który ma jednocześnie wymiar metafory, uogólnienia, które nie sposób odnosić tylko do współczesnych realiów Związku Radzieckiego. Warto byłoby zatem, aby nasza telewizja mogła pokazać ów film szerszym kręgom odbiorców. Myślę, iż powinni obraz Podnijeksa obejrzeć i nasi realizatorzy dla nauki, że nawet film dokumentalny jeśli jest poważny, odważny i wasztatowo znakomity potrafi znaleźć swoją widownię.

Oba filmy wyświetlane poza konkursem zdobyły pozaregulaminową Nagrodę Honorową, a obraz zrealizowany przez Jurisa Podnijeksa nagrodę FIPRESCI.

W konkursie natomiast Rosjanie zaprezentowali pięć tytułów. Każdy z nich został przyjęty przez widownię — przecież wybredną, bo złożoną głównie z profesjonalistów — znakomicie. A przecież bywało w poprzednich latach i tak, że na zapowiedź filmu produkcji radzieckiej, sala przerzedzała się, bo publiczność nie miała ochoty na oglądanie kolejnego plakatu, nierzadko odświętnego i pompatycznego, bądź setnej, kolorowej laurki o tym, iż jest świetnie. W tym roku było całkiem, ale to całkiem inaczej. Nawet ozdobą (jedyną!) specjalnego pokazu filmów nagrodzonych w Oberhausen stał się też film z Gruzji.

Tak więc kinematografia ZSRR przedstawiła film pt. „ELEGIA" (inaugurował festiwal międzynarodowy) — przypomnienie Fiodora Szaliapina, pretekstem była uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej na frontonie domu, w którym ów światowej sławy bas mieszkał. Na tę uroczystość do Moskwy zjechała z emigracji cała jego rodzina, aby posiedzieć w dawnym mieszkaniu, powspominać i zamyślić się nad przeszłością. W takim streszczeniu temat filmu może trącić banałem. Jednak i tu Aleksander Sokurow, autor „Elegii", znalazł formułę, która nakazuje obraz oglądać z zaciekawieniem i uwagą.

Innej rangi aktora pokazywał film „ARTYSTA": pieśniarza i skrzypka estradowego Władimira Sapożnika, który obchodzi oto jubileusz 75-lecia występów na scenie. Nie o jubileusz jednakowoż chodzi, a o portret wciąż żywotnego i wciąż aktywnego człowieka w swojej codziennej krzątaninie i zwyczajności. Taka niezwyczajna zwyczajność stała się tematem następnego tytułu proponowanego przez Rosjan, czyli „ZAPISÓW PROWINCJUSZA" — monologu domorosłego filozofa z małego miasteczka, życzliwego ludziom i światu, trochę śmiesznego, ale i mądrego.

Także film animowany „ZACZAROWANA WYSPA" należał do wyróżniających się w tym gatunku tytułów na krakowskim festiwalu, a to dzięki ciekawej plastyce i niebłahemu przesłaniu.

Najwyżej jednak publiczność i międzynarodowe jury pod przewodnictwem Ludwika Perskiego ocenili film pt. „GRANICA" Tatiany Skabard premiując autorkę „Grand Prix", tj. „Złotym Smokiem". Jest to obraz o społecznym i w gruncie rzeczy interwencyjnym przesłaniu, bo pokazuje los opuszczonych dzieci i ich matek alkoholiczek odbywających kary więzienia. Przypomina w tym najlepsze przykłady polskiego „czarnego dokumentu" sprzed dziesiątek lat. Pozbawiony dydaktycznego komentarza poraża swoją dosłownością i nie upiększonym realizmem. A i tak jest przejmującym oskarżeniem o świadomie perswazyjnym nastawieniu.

Gdyby chcieć kontynuować tę prezentację festiwalu międzynarodowego według liczącego się udziału poszczególnych kinematografii narodowych w drugiej kolejności trzeba by wskazać na Jugosłowian. Wszystkie cztery filmy (choć tylko jeden został nagrodzony przez jury) potwierdziły, że „małe kino" z Jugosławii wciąż jest pomysłowe, mądre, dowcipne i nieskazitelne warsztatowo. I film „ZNOWU MIĘDZY OBŁOKAMI" (taki mały „Człowiek z marmuru" o budowniczym kominów fabrycznych), „NIE MA POWROTU" (poetycka impresja ku czci Andrieja Tarkowskiego) i „ZWYCZAJNY DZIEŃ" (dokumentalny zapis chłopskiego mozołu) oraz „PITNA WODA I SWOBODA" proponowały kino o różnych poetykach z mistrzowską świadomością tematu i środków estetycznych kina. Ostatni z wymienionych filmów wywołał aplauz widowni (to ten nagrodzony „Brązowym Smokiem"), bo w absolutnie lapidarnej formie ilustruje absurdy polityki kulturalnej i cenzury, właśnie w stosunku do kina.

Dalej warto wspomnieć przynajmniej o jednym filmie z Czechosłowacji czyli o „ODYSEI KOSMICZNEJ II" (nagroda „Srebrnego Smoka") Jana Sveraka, który w brawurowym żarcie z wykorzystaniem motywów rodem z trylogii o „Gwiezdnych wojnach" mówił o niełatwej starości: przejście z bloku do bloku przez ośnieżone przestrzenie jest dla staruszki równie niebezpieczne, jak kosmiczna podróż w odległe galaktyki.

Ciekawym w zamyśle animacyjnym i plastyce był też film bułgarski „ZMIĘTY ŚWIAT" („zmięty" bo materiałem, który wykorzystano w animacji były zwitki papieru) zauważony przez jury i nagrodzony „Srebrnym Smokiem".

Po przeczytaniu powyższych akapitów czytelnik może zapytać nie bez racji czy to był festiwal filmów z krajów socjalistycznych? Otóż oczywiście, że nie. Tyle tylko, iż te inne kraje nie pokazały w Krakowie niczego, albo prawie niczego na czym można byłoby zatrzymać oko kinomana. I tu zgodziłbym się z oceną drugiej (po Marii Malatyńskiej) damy polskiej krytyki filmowej czyli Małgorzaty Dipont, która wpisała tegorocznemu festiwalowi notę dostateczną z minusem. Kino krótkie w krajach socjalistycznych może liczyć wciąż jeszcze na dotacje mecenasa państwowego i dzięki temu trwa. Ma się raz gorzej, raz lepiej, ale jest. Natomiast tam, gdzie sponsor przelicza wszystko na dolary i dba o zysk, filmom krótkometrażowym dzieje się gorzej. Zatem jest ono tam albo awangardowe, a więc elitarne, dla wtajemniczonych i finansowane przez dekadenckich milionerów, albo bawi się w dowcipne błahostki, które mogłyby zainteresować szerszą publiczność. Za taką właśnie błahostkę, owszem zabawną bo zabawną, uznaję pokazany w Krakowie film angielski „LIFE CLASS" (seans malowania aktu w klasie plastycznej) czy też amerykański obraz (ten z ambicjami kina awangardowego) „TO A RANDOM" (feeria slapstickowych gagów). Oba te filmy dostały nagrody, ale nie zmienia to faktu, że i filmowi krótkiemu grozi łatwa komercja.

Rozczarowała — zresztą nie po raz pierwszy — kinematografia francuska, która lubuje się na ogół w wymyślnych anegdotach i fabularyzowanych metaforach, gdzie tylko krok do kinowej grafomanii. Niejaką estymą cieszył się film „CESARSKIE PARADOKSY" (jedna z dwóch nagród specjalnych). Gdyby nie chodziło o antarktyczne pingwiny można byłoby rzec, iż na bezrybiu i rak ryb...

Poza tym wszystkim istnieje na Zachodzie jeszcze tzw. kino polityczne, ale przecież nie Zachód będzie nam pokazywał jak robi się filmy o politycznym przesłaniu. Tego typu filmów widzieliśmy wiele, bardzo wiele i to na różnym poziomie — od absolutnych knotów do wspaniałych arcydzieł. To co nam przesyłają kinematografie z krajów na zachód od Łaby bliższe jest często pierwszemu z biegunów wskazanej wyżej skali.

Jak na tym tle wygląda kino polskie? Odpowiedź nie jest wcale łatwa, mimo iż — jak to dzieje się od lat — festiwal międzynarodowy poprzedzony jest przeglądem ogólnopolskim. W Krakowie zatem, jeśli nie popełni pomyłki Komisja Kwalifikacyjna (a często takie pomyłki popełnia) można obejrzeć wszystko co nasza kinematografia wyprodukowała najlepszego w krótkim metrażu w ciągu ostatniego roku.

Komisja Selekcyjna zakwalifikowała na festiwal krajowy 50 tytułów spośród 171 zgłoszonych. Jury pod przewodnictwem Krzysztofa Gradowskiego (redaktorzy „Gazety Festiwalowej" po obejrzeniu 823 gości postanowili swój dyplom przyznać właśnie jemu za — jak piszą — „najlepszą rolę męską") nagrodziło mniej więcej co trzeci film z konkursu. Publiczność bez emocji oczekiwała werdyktu jurorów i podczas uroczystości wręczania nagród klaskała raczej grzecznościowo. I słusznie. Tytuły nagrodzone w zestawieniu z pominiętymi przez sąd konkursowy ani nie wyróżniały się estetyką, ani siłą perswazji, ani społecznikowskim zacięciem. Także tematyka tych filmów nużyła na ogół tradycjonalizmem pomysłów. Wprawdzie każdy z pokazanych obrazów charakteryzował się przynajmniej poprawnym warsztatem, przecież jednak nie chodzi nam widzom o weryfikację dyplomów reżyserskich i operatorskich.

Przypatrzmy się filmom nagrodzonym (nie sposób napisać o wszystkich, które wzięły udział w konkursie). Nagrodę Główną czyli „Grand Prix" — „Złotego Lajkonika" przyznano Marii Zmarz-Koczanowicz za film „URZĄD" wyprodukowany w Wytwórni Filmów Oświatowych z Łodzi (notabene ów film uhonorowało także jury międzynarodowe). To z premedytacją turpistyczny paradokument o pracy jakichś urzędników fiskusa (z filmu nie wynika o jaki urząd chodzi), którzy chodząc po wielkomiejskich slumsach ściągają zaległe opłaty za czynsz. Jeśli dłużnik jest niewypłacalny bezwzględni ponowie zajmują mienie. Niedookreślenia sytuacyjne i topograficzne właściwe zamysłowi autorki każą patrzeć na jej film jak na wielką metaforę (charakterystyczny dla niej jest finał filmu przedstawiający jakieś ogromne śmietnisko formowane przez buldożery). Ale metaforę czego? Bezlitosnego i bezwzględnego urzędu w ogóle? Nędzy ludzkiej? Film miejscami przypomina realizatorsko-operatorskie ćwiczenia warsztatowe a nie dokument o wyraźnym adresie społecznym i konkretnym przesłaniu.

Wyżej cenilbym trzy inne filmy, bo ich autorom przyświecał określony cel. Podjęli ich realizację biorąc pod uwagę jednoznacznie istotne sprawy ludzkie domagające się natychmiastowych rozstrzygnięć. Nie uciekali się do metafor, jakby w przekonaniu, iż film dokumentalny może dziś bronić się tonem publicystyki, właśnie konkretem i rangą podnoszonych tematów. Oto „MIESZKANIE W BLOKU" Tadeusza Pałki: niby chłodna, ale jakże przy tym reporterska mocna relacja o wręcz dramatycznej sytuacji mieszkaniowej w lubelskim osiedlu robotniczym Tatary. Oto „BYTOM" Piotra Morawskiego, który zderza w swoim filmie katastrofalne skutki eksploatacji węgla w Bytomiu, z fragmentami kronik filmowych, zachłystujących się rekordami wydobywczymi przemysłu węglowego. Oto „ROZDARCIE" Krystiana Przysieckiego — porażająca historia człowieka, który stał się ofiarą bezwzględności sąsiedzkiego sporu.

Takich przykładów dobrego dokumentu o zacięciu społecznym znalazłbym jeszcze kilka (np. „ĆWICZENIA WARSZTATOWE" Marcelego Łozińskiego i „1-1" Natalii Korynckiej). Na ogół dostrzegli je także jurorzy rozdzielając nagrody i wyróżnienia wedle regulaminowych możliwości. Nie pominęli Jacka Bławuta i jego „KOSTKI CUKRU" („ODGŁOSY" recenzowały ów film piórem Jolanty Wrońskiej w poprzednim numerze). Na liście tytułów nagrodzonych słusznie znalazły się filmy Ewy Borzęckiej „URODZIŁEM SIĘ ANIOŁEM" i Jacka Skalskiego „PORTRET WŁASNY". Ale znalazł się tam również obraz Andrzeja Warchała zatytułowany kiczowato „DOTAŃCZYĆ MROKU", który trzeba uznać za zgoła grafomańską pomyłkę autora przecież wyróżniających się dobrze filmów z lat poprzednich.

Dyskusje z werdyktem jurorów mógłbym prowadzić jeszcze przez kilka akapitów tego sprawozdania (upomniałbym się np. o film Krystyny Nawrockiej „W 40 ROCZNICĘ I ZJAZDU PPR", która w znakomity sposób potrafiła zainteresować widza akademijnym tematem). Nie w tym przecież rzecz. Zakończyło się doroczne święto polskiego filmu krótkometrażowego i zaczął jego zwyczajny czas. Filmy wróciły do wytwórni i będą teraz czekać na łaskawą uwagę dystrybutorów, kierowników kin i telewizji. A publiczność będzie w kinach nadal oglądała kronikę filmową, a w telewizji gadające głowy.

IX Łódzkie Spotkania Baletowe

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

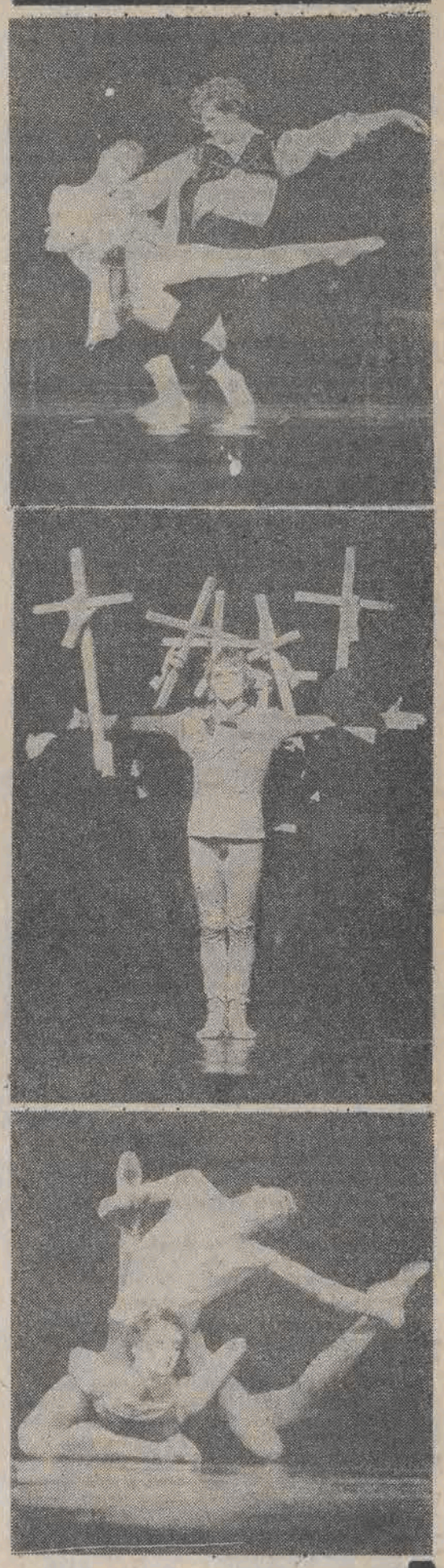

Początkowo Turbin wykrzywił w gniewie twarz i wysyczał:

— No i dobrze. Dobrze mu tak, temu sukinsynowi, tej gnidzie. — Potem przerwał i też otworzył usta. — Zaraz, zaraz... może to jeszcze tylko tak, kaczki... jakaś nieduża banda...

— Kaczki? — radośnie spytał Szerwinski. Rozłożył „Wiesti" i wymanikirowanym paznokciem zaznaczył:

W rejonie bobrowickim nasze oddziały wspaniałym uderzeniem odepchnęły czerwonych.

— No, to rzeczywiście grób, ciemna mogiła. Jeśli coś takiego podano, to znaczy że Bobrowice wzięli czerwoni.

— Bez wątpienia — przytaknął Myszłajewski.

* * *

Epolety na czarnym płótnie. Stara sofka.

— No, Juleńko — mówił Turbin i wyjął z tylnej kieszeni rewolwer Myszłajewskiego, pożyczony na jeden wieczór — powiedz mi, z łaski swojej, w jakich jesteś stosunkach z Michailem Siemionowiczem Szpolanskim?

Julia cofnęła się, potknęła się o stół, zadźwięczał abażur... dzyń... Po raz pierwszy twarz Julii stała się autentycznie blada.

— Aleksiej... Aleksiej... co ty robisz?

— Powiedz, Julio, w jakich jesteś stosunkach z Michailem Siemionowiczem? — powtórzył Turbin twardo, jak człowiek, który w końcu zdecydował się na wyrwanie popsutego zęba, który go męczył.

— Heleno Wasiljewno, ja wykreśliłem tę złą kobietę ze swego serca. I nawet podarłem jej fotografię. Wszystko skończone — Łariosik poziomym gestem przeciął powietrze.

— Poza tym... Czy pan mówi poważnie?

Łariosik obraził się.

— Heleno Wasiljewna... Ja...

— No, przepraszam pana, przepraszam... Ale jeśli poważnie, to jest taka sprawa. Jednak, Łarionie Łarionowiczu, proszę nie zapominać, że ze względu na swoje pochodzenie nie jest pan odpowiednią partią dla Aniuty...

— Heleno Wasiljewna, od pani, z pani dobrocią, nie spodziewałem się takiej odmowy.

Helena zaczerwieniła się i zmieszała.

— Mówię to tylko dlatego, że, no wie pan, czy możliwe jest szczęśliwe małżeństwo w takich warunkach. I zresztą, może ona pana nie kocha?

— To jest inna sprawa — twardo powiedział Łariosik — wówczas, oczywiście... Wtedy... W każdym razie, proszę jej przekazać moje oświadczyny...

— Dlaczego nie chce pan jej tego sam powiedzieć?

Łariosik spuścił wzrok.

— Ja się wstydzę... Jestem nieśmiały.

— Dobrze — powiedziała Helena, wstając — ale jednak chcę pana uprzedzić... wydaje mi się, że ona kocha kogoś innego.

Łariosik zmienił się na twarzy, i zatupał w ślad za Heleną do jadalni. Na stole już dymiła zupa.

Po raz pierwszy po polsku nieznane dotąd, pierwotne zakończenie znakomitej powieści.

(4)

Biała gwardia

MICHAIŁ BUŁHAKOW

— Co chcesz wiedzieć? — spytała Julia, jej oczy poruszały się, rękami zasłaniała się przed lufą pistoletu.

— Tylko jedno: czy to twój kochanek czy nie?

Twarz Julii Markowny nieco ożyła. Nieco krwi wróciło do głowy. Oczy błysnęły dziwnie, jakby pytanie Turbina wydało się jej prostym, całkiem łatwym pytaniem, jakby oczekiwała jakiegoś gorszego. Głos ożył.

— Nie masz prawa mnie męczyć... ty — przemówiła — no dobrze... mówię ci po raz ostatni— on nie był moim kochankiem. Nie był. Nie był.

— Przysięgnij.

— Przysięgam.

Oczy Julii Markowny były przejrzyste i jasne jak kryształ.

Była już noc, kiedy doktor Turbin klęczał przed Julią Markowną z głową na jej kolanach i mamrotał:

— Zamęczyłaś mnie. Zamęczyłaś mnie, i przez ten miesiąc, od kiedy cię poznałem, nie żyję. Kocham cię, kocham... — marotał namiętnie, obliżując wargi...

Julia Markowna nachyliła się i głaskała go po włosach.

— Powiedz mi, dlaczego mi się oddałaś? Czy ty mnie kochasz? Kochasz? Czy nie?

— Kocham — odpowiedziała Julia Markowna i popatrzyła na tylną kieszeń klęczącego przed nią mężczyzny.

* * *

Kiedy o północy Turbin wracał do domu, był kryształowy mróz. Niebo wisiało twarde, ogromne, i były weń powciskane gwiazdy czerwone, pięcioramienne. Największy ze wszystkich i najżywszy — Mars. Ale doktor nie patrzył na gwiazdy.

Szedł i mamrotał:

— Nie chce więcej takich przeżyć. Dosyć. Tylko ten pokój. Epolety.

Za trzy dni znowu wszystko się zakręciło od nowa i nowe przeżycie — ostatnie przed rozpoczęciem nowego, niesłychanego i niewidzialnego życia — dotknęło wszystkich od razu. A jego heroldem był Łariosik. Stało się to dokładnie o czwartej po południu, gdy w jadalni zebrali się wszyscy na obiad. Był nawet Karaś. Łariosik pojawił się w jadalni, wyglądając nieco bardziej odświętnie niż zwykle (sterczały sztywne mankiety), i grzecznie, głucho poprosił:

— Heleno Wasiljewna, czy zechciałaby pani poświęcić mi dwie minuty?

— Na osobności? — spytała ze zdziwieniem Helena z szelestem wstała i poszła do sypialni.

Łariosik powlókł się za nią.

— No, to Łariosik coś wymyślił — w zadumie rzekł Nikolka.

Myszłajewski, z dnia na dzień coraz bardziej posępny, obejrzał się nie wiadomo dlaczego (właśnie doprawiał spirytus na bufecie).

— O co chodzi? — spytała Helena.

Łariosik wciągnął powietrze nosem, mrużąc oczy popatrzył na okno, zamrugał i wygłosił taką mowę:

— Proszę panią, Heleno Wasiljewna, o rękę Aniuty. Kocham tę dziewczynę. A ponieważ jest samotna, a pani jej zastępuje matkę, ja, jako dżentelmen, postanowiłem poinformować panią o tym i prosić o wstawiennictwo.

Ruda Helena, podniósłszy brwi w zdumieniu, usiadła w fotelu. Nastąpiła długa pauza.

— Łarion — powiedziała w końcu Helena — naprawdę nie wiem, co mam panu na to powiedzieć. Po pierwsze, proszę wybaczyć, ale tak niedawno przeżywał pan taki dramat... Sam pan mówił, że tego nic nie zatrze...

Łariosik spurpurowiał.

— Panowie, zaczynajcie beze mnie — powiedziała Helena — zaraz wrócę.

W pokoju za kuchnią Aniuta, bardzo zmieniona w ostatnim czasie, szczupła i piękna jakąś naiwną dojrzałą urodą, odsunęła się od Heleny, zamachała rękami i powiedziała:

— Ależ co pani, Heleno Wasiljewna. Przecież ja go wcale nie chcę.

— No, cóż... — odpowiedziała Helena, czując ulgę na sercu — nie denerwuj się, odmów i już. I żyj sobie spokojnie. Jeszcze zdążysz.

W odpowiedzi Aniuta znów zamachała rękami i oparłszy się o framugę drzwi, zaszlochała.

— Co z tobą? — niespokojnie spytała Helena. — Aniutko, co ty? Co ty? Z powodu tych głupstw?

— Nie — odrzekła Aniuta, pochlipując — nie, to nie głupstwa... Ja, Heleno Wasiljewna — fartuchem rozmazywała po twarzy łzy i w fartuch powiedziała — jestem w ciąży.

— Co-o? Jak? — zapytała oszalała Helena takim tonem, jakby Aniuta oznajmiła jej rzecz absolutnie niewiarygodną. — Jakże to? Aniuta?

* * *

W sypialni porucznik Myszłajewski po raz pierwszy w życiu złamał zasadę, wpojoną kiedyś przez sławnego komendanta dywizjonu ciężkich moździerzy — oficer artylerii nigdy nie powinien tracić głowy. Jeśli traci głowę, to znaczy, że nie nadaje się do artylerii.

Porucznik Myszłajewski stracił głowę.

— Wiesz, Wiktorze, jednak świnia z ciebie — powiedziała Helena, kiwając głową.

— No, ale zaraz świnia? — nieśmiało i blado powiedział Myszłajewski i zwiesił głowę.

* * *

O zmierzchu owego słynnego dnia, 2 lutego 1919 roku, kiedy obiad, zmarnowany do reszty, minął w zupełnym chaosie, zaś Myszłajewski zawiózł Aniutę z tajemniczym listem Turbina do szpitala (list został wymuszony przez Helenę po okropnej kłótni z Turbinem w białym gabinecie), a Nikołka, zorientowawszy się, co się stało, pocieszał przybitego Łariosika, Helena u siebie w sypialni na szarówce, powiedziała Szerwinskiemu, który grał swoją zwykłą gamę na jej rękach:

— Jakie z was łotry...

— Nic podobnego — odpowiedział Demon szeptem, wcale nie zdetonowany i, zawczasu obejrzawszy się po złodziejsku, przyciągnął Helenę i pocałował ją w usta (prawdę powiedziawszy, po raz pierwszy w życiu).

— Proszę więcej tu nie przychodzić — bez przekonania szepnęła Helena.

— Nie mogę bez pani żyć — zaszeptał Demon, i nie wiadomo, co by jeszcze naopowiadał gdyby w przedpokoju nie zadźwięczał dzwonek.

Przełożyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

„To wielka książka, wielki pomnik naszej literatury. Teraz nie będzie można trzymać w naszych bibliotekach i szkołach tych samych co dawniej podręczników historii ZRSR" — powiedział w jednym z wywiadów, najwybitniejszy współczesny poeta radziecki Eugeniusz Jewtuszenko. Słowa te odniósł do powieści Anatolija Rybakowa „Dzieci Arbatu", której druk rozpoczynamy na łamach „Odgłosów" w przekładzie Michała B. Jagielły.

Książka ta ma już swoją przeszło dwudziestoletnią historię. Rybakow zaczął ją pisać w 1964 roku. W dwa lata później zapowiadał jej druk w „Nowym Mirze" Aleksander Twardowski. W kilka lat później zapowiedź taka ukazała się w równie poczytnym miesięczniku „Oktiabr". Dopiero teraz, w kwietniu 1987 roku mogła te anonsy ziścić „Drużba Narodów", stając się natychmiast najpoczytniejszym miesięcznikiem literackim w ZSRR, a zdjęcia i wywiady z Rybakowem stały się najbardziej poszukiwanym materiałem dla prasy światowej.

Anatolij Naumowicz Rybakow (ur. 1911) należy do grona znanych rosyjskich pisarzy radzieckich. Jest autorem takich powieści jak m.in. „Kierowcy" (nagroda państwowa w r. 1950), „Jekatierina Woronowa" (1955), „Ciężki piach" (1978) oraz utworów dla młodzieży: przesławny „Kordzik" (1948), którym zaczytywało się moje pokolenie i „Przygody Krosza" (1960). Jest weteranem II wojny światowej, który wraz z Armią Czerwoną zdobywał Berlin i za co bywał wielokrotnie odznaczany. Na ogłoszenie „Dzieci Arbatu" czekał cierpliwie ani myśląc o wydaniu ich za granicą.

Dlaczego „Dzieci Arbatu"? Otóż powieść jest próbą epickiego opisu pewnego pokolenia, wkraczającego w dorosłe życie na początku lat trzydziestych. Łączy młodych bohaterów powieści miejsce zamieszkania: właśnie Arbat, jedna z najbardziej moskiewskich ulic stolicy Związku Radzieckiego. Książka liczy około 600 stron. Dlatego też decydując się na jej publikację w „Odgłosach" musieliśmy dokonać pewnych skrótów. Skupiliśmy się na dwóch wątkach. Pierwszy z nich to dramatyczne losy Saszy Pankratowa (zresztą głównego bohatera) przewodniczącego Komsomołu i studenta, który zostaje aresztowany, sądzony pod fałszywymi zarzutami natury polityczno-ideologicznej i zesłany na Syberię. Postacią centralną drugiego, wybranego przez nas wątku, jest Józef Stalin. (W ocenie krytyków radzieckich Rybakow stworzył najbardziej wiarygodny i najbliższy historycznym realiom literacki obraz tej postaci).

Powieść rozpoczyna się w dniach poprzedzających XVII Zjazd WKP (b), który odbył się na przełomie stycznia i lutego 1934 roku, a kończy zabójstwem Siergieja Kirowa, I sekretarza leningradzkiego obkomu i członka Biura Politycznego KC w tymże samym roku.

Jak wiadomo z wywiadów autor „Dzieci Arbatu" pracuje obecnie nad drugą i trzecią częścią powieści tak, aby poprowadzić swoich bohaterów przez drugą połowę lat trzydziestych a potem przez lata wojny.

Warto na koniec dodać, że „Dzieci Arbatu" są w znacznej części powieścią autobiograficzną a los Saszy Pankratowa losem samego Rybakowa.

ANATOLIJ RYBAKOW

Dzieci Arbatu

(1)

(...) Przy drzwiach nie było wolnych miejsc. Sasza przecisnął się między stłoczonymi rzędami krzeseł, potrącając siedzących na nich ludzi, co wywołało niezadowolone spojrzenie Baulina, sekretarza organizacji partyjnej — jasnowłosego osiłka o prostej, upartej twarzy i szerokich barach, rozpierających niebieską satynową koszulę, zapiętą na krótkiej szyi dwoma białymi guzikami. Gdy Sasza usiadł w kącie, a Baulin oderwał od niego wzrok i znów zwrócił się do Kriworuczki.

— To wy, Kriworuczka, zawaliliście budowę akademików. Przyczyny obiektywne nikogo nie interesują! Środki przerzucone na budowy szturmowe? Wy odpowiadacie nie za Magnitkę, tylko za instytut! Dlaczego nie uprzedziliście, że terminy są nierealne? Ach tak, realne... To dlaczego nie dotrzymane? To co, że dwadzieścia lat należycie do partii? Za dawne zasługi w pas się pokłonimy, ale za błędy będziemy bić!

Ton Baulina zdziwił Saszę. Kriworuczki, zastępcy dyrektora, studenci bali się trochę. W instytucie mówiło się o jego znakomitej przeszłości wojennej, do dziś chodzi w bluzie, bryczesach i wojskowych butach. Ten przygarbiony człowiek z długim smętnym nosem i workami pod oczami nigdy i z nikim nie wdawał się w rozmowy, nawet na powitania odpowiadał jedynie skinięciem głowy.

Kriworuczka zaciskał dłoń na oparciu krzesła. Sasza widział jak drżą mu palce. Słabość człowieka zawsze tak groźnego sprawiała żałosne wrażenie. Ale materiałów na budowę rzeczywiście nie dawali. A teraz nikt nie chce o tym nawet myśleć. Tylko Janson, dziekan wydziału Saszy, niewzruszony Łotysz, zwracając się do dyrektorki Instytutu, Glińskiej, powiedział pojednawczym tonem:

— A może wyznaczyć dodatkowy termin?

Glińska milczała. Siedziała z obrażoną miną człowieka, którego obdarzono tak nieudolnym zastępcą. Wstał asystent Łozgaczew, wysoki, okazały, teatralnym gestem wzniósł ręce do góry.

— Czyżby i łopaty wysłano na Magnitkę? Studenci palcami ryli zamarzniętą ziemię? Proszę, tam siedzi komsorg grupy, niech opowie, jak pracowali bez łopat.

Baulin popatrzył na Saszę z zainteresowaniem. Sasza wstał.

— Nie pracowaliśmy bez łopat. Magazyn był zamknięty. Potem przyszedł magazynier i wydał łopaty.

— Długo czekaliście? — nie podnosząc głowy spytał Kriworuczka.

— Z dziesięć minut.

Łozgaczew, który tak niefortunnie powołał Saszę na świadka, z wyrzutem pokręcił głową, jak gdyby niedopatrzenie było winą Saszy, a nie jego.

— Ale wszystko się ułożyło? — uśmiechnął się Baulin.

— Ułożyło, — odpowiedział Sasza.

— A ile czasu pracowaliście, a ile nie?

— Przecież nie było materiałów.

— Skąd o tym wiesz?

— Wszyscy wiedzą.

— Niepotrzebnie bawisz się w adwokata, Pankratow — surowo powiedział Baulin. — I nie w porę!

Starając się nie patrzeć na Kriworuczkę, członkowie egzekutywy przegłosowali wydalenie go z partii. Wstrzymał się tylko Janson.

Zgarbiony jeszcze bardziej niż zwykle Kriworuczka wyszedł z sali.

— Wpłynęło oświadczenie docenta Azizjana — oznajmił Baulin i popatrzył na Saszę, jakby chciał spytać: a co powiesz teraz, Pankratow?

Azizjan prowadził w grupie Saszy wykłady z podstaw ekonomiki socjalistycznej Przeważnie jednak mówił nie o ekonomice, nawet nie o jej podstawach, ale o tych którzy podstawy te podważają. Sasza na zajęciach głośno wyraził pogląd, że nie zaszkodziłoby dać studentom jakieś pojęcie o księgowości jako takiej. Azizjan, kędzierzawy, obłudny cwaniak, roześmiał się wtedy. A teraz oskarżał Saszę o wystąpienie przeciwko marksistowskiemu ujęciu nauk ekonomicznych

— Było tak? — Baulin patrzył na Saszę zimnymi niebieskimi oczami.

— Nie mówiłem, że teoria jest niepotrzebna. Powiedziałem tylko, że z księgowości nic nie umiemy.

— Partyjność nauki cię nie interesuje?

— Interesuje. Ale konkretna wiedza też.

— A więc dla ciebie partyjność i konkretność to dwie całkiem różne sprawy!

Znów podniósł się Łozgaczew

— No, towarzysze... Kiedy publicznie głosi się apolityczność nauki.. I jeszcze jedno: Pankratow chciał narzucić egzekutywie swoją odrębną opinię o Kriworuczce odgrywał tu przedstawiciela szerokich mas studenckich. A właściwie, Pankratow, kogo wy tu reprezentujecie?

Janson siedział ponury, grubymi palcami bębnił o mocno wypchaną teczkę.

Glińska pochyliła się ku Baulinowi.

— Może przekazać sprawę organizacji komsomolskiej...

W jej głosie pobrzmiewał ton dyrektorskiego znużenia: problem mało istotny, jakiś nic nie znaczący student. Łozgaczew spojrzał na Baulina, wydało mu się, że propozycja Glińskiej może wzbudzić niezadowolenie tamtego.

— Egzekutywa nie powinna uchylać się..

To nieostrożne słowo zadecydowało o wszystkim.

— Nikt się nie uchyla — zachmurzył się Baulin, — ale jest ustalony tryb Niech komsomoł rozpatrzy Zobaczymy, jak tam u nich z dojrzałością polityczną.

Koniec I odcinka

C.D.N.

Tłum.: MICHAŁ B. JAGIEŁŁO

Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

WSPOMNIENIE O KS. BRONISŁAWIE BOZOWSKIM

Na drugi dzień po odzyskaniu wolności trafiłem do Polskiego Liceum i Gimnazjum w Villard de Lans, koło Grenoble. W tej to przedziwnej szkole, w której obok byłych żołnierzy — małolatków, w jednej ławie zasiadały dzieci polskich emigrantów, górników z Nordu, w której wykładowcami byli profesorowie uniwersytetów, poznałem katechetę wychowawcę, ks. Bronisława Bozowskiego.

Bozower, tak nazywaliśmy naszego kapelan, starał się naszą, zajętą doczesnymi pragnieniami wyobraźnię, wzbogacić o wiarę w Boga, w życie pozagrobowe. Ba, ale kiedy ma się 16—17 lat, życie samo w sobie, wydaje się boskie i wiele obiecujące.

Bozower bolał nad tym, że nie podzielamy jego wiary, a jednocześnie pozwalał nam krzepnąć w poglądach jakże odmiennych od jego sądów i przekonań. Uczestniczył całym sercem w budowie naszego życia tu na ziemi, chociaż swoje jutro widział na tamtym lepszym świecie. Przez to chyba był i pozostał nam bliski. A także przez szacunek z jakim odnosił się do naszego niedowiarstwa przez utopijną podobną do naszej wiarę w lepsze jutro Polski.

Stawiał nam stopnie celujące, bo zasługiwaliśmy na nie, znosił z uśmiechem nasze ataki na dogmaty Kościoła, z którymi obcował na co dzień, które swoim życiem ożywiał i czynił ludzkimi.

Pamiętam, pod koniec roku szkolnego, na egzamin zaprosił mnie na spacer poza miasto, przepytał mnie dokładnie z historii Kościoła, a potem spieraliśmy się długo, o to, czy duch może być siłą sprawczą, napędową materii. Wpisując mi stopień do małego czarnego notesu, bardziej wyszeptał niż powiedział — Nawet nie wiesz jak blisko jesteś Boga chciałbym się z tobą spotkać za dziesięć lat.

Kiedy Niemcy wkroczyli do nie okupowanej części Francji, opuściłem szkołę, przez Pireneje, Hiszpanię uciekłem do wojska do Anglii. Dokładnie po 10 latach spotkałem Bozowera przypadkowo na ulicy w Krakowie. Trudno mi dziś opisać radość z tego spotkania, ale pamiętam, że po wymianie uścisków, zaskoczył mnie pytaniem — Czy mogę już w tobie powitać syna Kościoła? Wyciągnął notes, ten sam, w którym notował stopnie w Villardzie: — Nie martw się, czekałem dziesięć, poczekam jeszcze dziesięć lat — i coś tam w notesie zapisał.

Darzył mnie swoją przyjaźnią, a ja starałem się jak mogłem by nie być mu dłużnym. Kiedy z Józefem Wędrychowskim napisaliśmy szukę „Goście Hotelu du Parc", upamiętniającą nasz pobyt w gimnazjum, w Villard de Lans, Bozower był jednym ze znaczących bohaterów naszej komedii, sztuka bowiem mówi o tolerancji, o potrzebie szacunku dla różniących się wiarą i przekonaniami. Bozower służył nam nie tylko za przykład. On był tych stosunków gorliwym krzewicielem.

Ilekroć byłem w Warszawie, starałem się z nim zobaczyć, pamiętam w gorących latach osiemdziesiątych, powitał mnie słowami: — Powiedz mi co się dzieje z naszą młodzieżą, oni by chcieli, żeby tu przyszli Amerykanie. Czy ty możesz to sobie wyobrazić? Byłaby to tragedia.

Pod koniec 1986 r. święciliśmy w Warszawie odsłonięcie tablicy pamiątkowej ku czci poległych w Villardzie, w walce z Niemcami, kolegów i profesorów, zebrało się nas villardczyków około dwudziestu, mszę św. celebrował, zdaje mi się, że ostatni raz w życiu, Bozower. Chcących mu towarzyszyć kapelanów, grzecznie wyprosił z kaplicy. Nigdy nie zapomnę tej mszy.

Bozower przypomniał zdarzenia z Villardu, nasze z nim prywatne rozmowy i powrócił do obcowania z Bogiem. W pewnej chwili zwrócił się do mnie: — Chodź, proszę cię przeczytaj ten fragment. — Cóż miałem robić, przeczytałem drżącym głosem. Czułem jak patrzy na mnie, czeka na moją odpowiedź, byłem pewien, że ma przy sobie ten notes z Villardu. I po prostu, zabrakło mi odwagi, żeby skłamać. Pozostałem przy swoim, a on? On, w kilka chwil po mszy, wręczając mi grudkę ziemi z Villardu, powiedział: — A ja wciąż wierzę, że się spotkamy. Nigdy nie odniósł się do mojej odrębności z niechęcią, ani nie poniżył moich poglądów.

Jeśli zaczął kazanie, nie mógł skończyć. Jednak ku zdumieniu wszystkich — nikogo nie nudził. Kiedy skończył mówić, szła za nim do zakrystii rzesza, zwana „szarańczą", aby go dalej słuchać. Do młodych dziewcząt mówił: „oślice" i wcale się nie gniewały. Do starszych pań: „straszne antyki" i wcale się nie dziwiły. Gdy w czasie ślubu doszedł do pytania: — „czy chcecie mieć potomstwo" — i słyszał niemrawą odpowiedź, wołał: — „głośniej, głośniej" — i wszyscy bardzo się cieszyli.

Nawet, kiedy żartował, nie zasłaniał sobą Boga, był uśmiechniętym człowiekiem, który posiadał wielką tajemnicę, wdzięk pobożność. Oddany ludziom spowiadał nie tylko w kościele, w zakrystii, w szpitalu, ale i w parku, na ławce pod modrzewiem, w pociągu. Nawróconych przez siebie nazywał swoimi „synkami", byli mu wierni do końca, to znaczy dłużej niż zawsze...

Pamiętam, jak chcieliśmy nie dopuścić do odesłania do merostwa w Grenoble zarekwirowanej jeszcze w 1939 r. prywatnej broni. Bojąc się, abyśmy przypadkiem nie zrobili krzywdy stróżowi magazynu, Francuzowi, poszedł kraść broń z nami. Wyciągnął strażnika poza budynek, tam wśród nocnej ciszy gruntownie go wyspowiadał i przetrzymał tak długo, aż opróżniliśmy magazyn.

W testamencie odczytanym po mszy żałobnej tak się do nas zwracał:

... „Może się wam uda lepiej realizować to, o czym starałem się pamiętać (choć często niestety zapominałem i wtedy wpadałem w niepokój i hipochondrię) „nie przemyśliwać, ale przemodlić wszystkie sprawy". Po prostu i serdecznie starać się żyć w przyjaźni z Bogiem — i wszystkimi ludźmi — nikogo nie uważać za wroga czy obcego. Wciąż rozszerzać grono przyjaciół i łączyć ich w Bogu między sobą — ut sint unum. Żyć chwilą obecną, szukać w niej chwały Bożej, przy pomocy łaski Bożej. — Słowo z którego pragnę uczynić, streszczenie mojego życia i modlitwy: OJCZE (wielkiej Bożej Rodziny i ludzkiej) gdy będę konał, powtarzajcie za mną i wreszcie zamiast mnie — gdy już nie będę mógł mówić i za mnie — gdy stanę przed Bogiem Sędzią i Ojcem **OJCZE!...**

Niewiele zostawiam po sobie dóbr tego świata, za najcenniejsze zawsze uważałem podobizny przyjaciół, synków, córeczek i całej mojej Rodziny Duchowej, o której przyrzekam pamiętać i na tym łez padole i w przyszłym, jak ufam, lepszym świecie, bo mam pokorną nadzieję, że w Domu Naszego Miłosiernego Ojca. Fotografie, którymi pokryte są ściany moich pokoików... włóżcie mi do trumny, którą moja dusza pokutująca będzie czasem chyba nawiedzać i rozważać grzechy, zaniedbanie wobec tych, niby to tak serdecznie kochanych, popełnione... z góry dyspensuję uczestników od wleczenia się na cmentarz. Wystarczy i ksiądz i parę sióstr, i ludzi jako tako zdrowych, żeby się niepotrzebnie nie męczył i zaziębiał. Widzicie, moi Drodzy, jak was kocham i dbam o wasze zdrowie doczesne i wieczne, które Bogu polecam i polecać będę".

KAROL OBIDNIAK

„ZAKALEC"

W artykule przedstawionym w 19 numerze „Odgłosów" pod tytułem „Zakalec" autor poruszył bardzo istotny problem przydzielania działek budowlanych, określania kryteriów przydziału, racji społecznych itd. Konsekwentnie ukazał możliwość waśnienia ludzi ubiegających się o tę samą działkę. Przedstawił dylematy wyboru racji indywidualnych i grupowych, przed którymi stały komisje oraz organ administracji państwowej.

Uzupełniając przedstawiony obraz przekazuję następujące uwagi:

1. Ob. M. Majchrzak był od 1962 r. użytkownikiem terenu o powierzchni 242 m kw. dzierżawionego na podstawie umowy zawartej z RPGKiM na prowadzenie tzw. ogródka przydomowego, a więc umowy zawartej z administratorem posesji. Umowy były odnawiane w okresach rocznych i mogły być wypowiadane w przypadku zmiany przeznaczenia tego terenu na inne cele przed upływem roku. Z takiej formy w naszym mieście korzysta ok. 300 mieszkańców, przyczyniając się w ten sposób do utrzymania w estetycznym stanie szeregu działek i podwórek do czasu innego ich zagospodarowania.

2. W planie ogólnym zagospodarowania przestrzennego m. Zgierza oraz zmianami do planu zatwierdzonymi zarządzeniem Nr 40/84 Prezydenta Miasta Łodzi, teren ten został przeznaczony pod budownictwo jednorodzinne wraz z usługami.

3. Pracownik WGiGG tut., Urzędu powiadomił Ob. Majchrzaka o zmianie przeznaczenia tego terenu. Ob. Majchrzak oświadczył, że posiada umowę zawartą z RPGKiM z terminem do końca 1984 r. i wobec tego, wnioskuje o pozostawienie dzierżawionego terenu w jego dyspozycji do września 1984 r., gdyż chce zebrać plony. Innych uwag na powyższy temat Ob. Majchrzak nie zgłaszał. Sporządzony z tych ustaleń 21.03.84 r. protokół podpisany przez Ob. Majchrzaka znajduje się w aktach. Przez okres do czasu wygaśnięcia umowy, tj. 31.12.1984 r. dzierżawca również nie zgłaszał żadnych roszczeń co do szkód poczynionych w części gruntu przez niego użytkowanego.

4. Ze względu na konieczność likwidacji w niedługiej przyszłości istniejącego zakładu cukierniczego prowadzonego przez małż. Łuchniak i zgłoszoną przez mieszkańców potrzebę utrzymania tej działalności w rejonie Przybyłowa (pismo Komitetu Obwodowego nr 4 z dn. 10.06.1983), Kolegium Prezydenta 20 lipca 1983 r. postanowiło uwzględnić wniosek. Istniejący stan prawny terenu, jego położenie umożliwiało wprowadzenie zabudowy jednorodzinnej z usługami, co postulowali mieszkańcy.

5. Wypełniając zalecenia Kolegium Prezydenta Wydział GiGG opracował mapę prawną wydzielając z istniejącego terenu Skarbu Państwa przy ul. Nowotki 29 działkę budowlaną o pow. 560 m kw., która objęła również powierzchnię dzierżawioną przez Ob. Majchrzaka. Zgodnie z przyjętym trybem po dokonaniu czynności formalno-prawnych działka została umieszczona w wykazie działek oddawanych w użytkowanie wieczyste i wraz z 50 innymi 10.10.1984 r. przedstawiona MRN, która podjęła Uchwałę II/11/84 zatwierdzającą podział działek. Przed podjęciem uchwały opinie pozytywne wyraziły dwie Komisje Rady Narodowej — Komisja Handlu, Usług i Rolnictwa oraz Gospodarki Miejskiej i Ochrony Środowiska.

6. Wykaz działek umieszczono do publicznego wglądu w dniach 9.11.1984 — 22.12.1984. Na działkę przy ul. Nowotki 29 wpłynęły tylko 2 wnioski: małżonków Łuchniak i Michała Majchrzaka.

7. Przy Urzędzie Miejskim wśród wielu istnieje również społeczna Komisja ds. przyznawania działek w użytkowanie wieczyste. Komisja ta wydała pozytywną opinię dla Ob. Łuchniaka, a negatywną dla Ob. Majchrzaka. Komisja negatywną opinię uzasadniła między innymi tym, że Ob. Majchrzak nie posiada uprawnień do prowadzenia zakładu cukierniczego, a więc nie gwarantował wykorzystania działki zgodnie z potrzebami zgłaszanymi przez Samorząd Mieszkańców. To uzasadnienie i opinie wcześniej wyrażone były podstawą wydania decyzji przydzielającej działkę.

8. Naczelny Sąd Administracyjny uchylił decyzję przydzielenia działki dla Ob. Łuchniaka, ale nie jest to równoznaczne z uznaniem przydzielenia działki Ob. Majchrzakowi. Podstawą uchylenia przydziału wg wyroku NSA była interpretacja przepisów Ustawy z 6 lipca 1961 r. o gospodarce terenami w miastach i osiedlach — odmienna od interpretacji Urzędu Miasta Zgierza i II instancji — Urzędu Miasta Łodzi. Rozbieżność w ocenie stanu prawnego wynika stąd, że Ob. Łuchniak we wcześniejszym okresie stał się nabywcą spółdzielczego mieszkania własnościowego.

Dla pełnego obrazu należy dodać, że obecne przepisy — Ustawa z 29 kwietnia 1985 r. o gospodarce gruntami i wywłaszczaniu nieruchomości dopuszczają przydzielenie działki Skarbu Państwa w przypadku, gdy posiadane uprzednio mieszkanie własnościowe zostało zbyte nieodpłatnie (jak w sytuacji faktycznej Łuchniaków).

9. Sąd Rejonowy w Zgierzu wykluczył rozwiązanie umowy notarialnej z małż. Łuchniak. Prezydent Miasta nie wniósł rewizji do wyroku Sądu Rejonowego, gdyż uzasadnienie Sądu Rejonowego było zbieżne z uzasadnieniem przydzielenia Łuchniakom działki. Zaistniały dwa sprzeczne ze sobą wyroki i dlatego Prezydent Miasta w dn. 8.05.1987 r. wystąpił ze stosownymi czynnościami prawnymi w tej sprawie.

Ubolewać należy nad tym, że Paweł Tomaszewski zbierając materiały do artykułu nie skorzystał z rozmowy z prezydentem miasta Zgierza i te istotne dla sprawy kwestie zostały pominięte lub zniekształcone.

Mgr. inż. PAWEŁ WITCZAK
WICEPREZYDENT MIASTA ZGIERZA

Zgierz, 1.06.1987 r.

PS. 1. W 1985 r. Urząd Miejski wydał 13.000 decyzji administracyjnych, na które wpłynęło 213 odwołań, po rozpatrzeniu 5 decyzji uchylono. Tyle mówią liczby o pracy zgierskich urzędników, w tym również zawierają się efekty pracy mgr Magdaleny Matusiak.

2. Oczekuję, że niniejszy list zgodnie z wymaganiami prawa prasowego zostanie opublikowany w „Odgłosach".

DLA KOGO „MALUCH"?

Od najmłodszych lat interesowałem się samochodami i zawsze moim skrytym marzeniem było, że kiedyś, po latach sumiennej pracy w PRL, będę mógł kupić, za swoje ciężko zapracowane i pieczołowicie odkładane na książeczkę oszczędnościową pieniądze, wymarzone cztery kółka.

Gdy w latach siedemdziesiątych rozpoczęto w kraju produkcję Fiata 126p, okrzykniętego pojazdem dla robotnika, oczami wyobraźni widziałem już siebie za kierownicą, tym bardziej, że cena owego samochodu kształtowała się w granicach 60—70 tys. zł, a decydenci tego okresu zakładali w swych płomiennych wystąpieniach obniżkę ceny w miarę rozwoju produkcji. Niestety, rzeczywistość okazała się mniej radosna. Cena pojazdu z roku na rok rosła nieproporcjonalnie do moich zarobków na tyle, że marzenia o posiadaniu samochodu oddalały się coraz bardziej. Zmniejszała się również realna wartość mojego pieniądza systematycznie odkładanego w PKO.

W roku 1985 nadarzyła mi się okazja wyjazdu na kontrakt do Związku Radzieckiego i po roku wyrzeczeń nadzieje moje na kupno samochodu znowu odżyły, ale tylko do czasu wizyty w Polmozbycie, gdzie uprzejmie poinformowano mnie, że cena państwowa nowego Fiata 126p kształtuje się w granicach 400 tys. zł, i mogę go otrzymać, o ile przedstawię talon uprawniający mnie do nabycia tegoż samochodu lub jeśli w końcu lat siedemdziesiątych dokonałem przedpłaty. Ponieważ talonu nie posiadam i nawet nie wiem kto, komu i za jakie zasługi go przydziela, przedpłaty zaś także nie robiłem, podziękowałem grzecznie za informację i w najbliższą niedzielę udałem się na giełdę samochodową, gdzie przeżyłem prawdziwy szok. Nowy Fiat 126p, jak większość zmotoryzowanych doskonale się orientuje, jest do nabycia w cenie 1.200 tys. zł!

Rok pobytu poza krajem ojczystym zrobił swoje i stąd trudności w odpowiedzi na najprostsze pytania, które natrętnie cisną się na usta. Kogo stać na kupno „malucha" za taką cenę? Skąd biorą się na giełdzie nowe samochody? Dlaczego prawo dopuszcza do takich transakcji, skoro walczymy ponoć ze spekulacją? Bardzo, bardzo dawno temu i to wcale nie jest bajka, kiedy byłem uczniem technikum ekonomicznego uczono mnie, że wszędzie na świecie obowiązują takie prawa ekonomiczne, iż towar nawet nowy, ale sprzedawany z „drugiej ręki" winien być tańszy od ceny państwowej.

Podobno nie do rzadkości należą przypadki sprzedawania przez Fabrykę Samochodów Osobowych uszkodzonych pojazdów na przetargach po cenach giełdowych. I cóż w takich przypadkach mówić o uporczywej walce o wyższą jakość produkcji na rynek krajowy, skoro u nas opłaca się, o zgrozo!, wyprodukować bubel. Zamiast za dobry jakościowo samochód otrzymać marne 400 tys. zł, za tenże bubel można otrzymać na przetargu cenę blisko trzykrotnie wyższą! Kupiec się znajdzie, nie ma obawy.

Z kupna samochodu na giełdzie, oczywiście zrezygnowałem i to z prozaicznej przyczyny braku odpowiedniej ilości środków płatniczych, ale żeby wyczerpać wszystkie już możliwości nabycia czterech kółek udałem się do Pewexu, aby zobaczyć, ile też w Polskim Eksporcie Wewnętrznym kosztuje Fiat 126p. Cena wyglądała dość przystępnie 910 dol. plus 300 tys. zł, co przeliczając na złotówki według tabeli kursów 14/87 wynosi około 520 tys. zł, nieco drożej niż cena państwowa, ale wiadomo „eksport wewnętrzny". Drobiazg polega na tym, że nie kupię od państwa dolarów po 244 zł, chociaż taki jest kurs, a na czarnym rynku, gdzie mogę być złapany i osądzony przez organa sprawiedliwości dolar kosztuje do 1.000 zł. Z powyższego należy wysnuć wniosek: mimo, że we wszystkich krajach wysoko rozwiniętych samochód jest podstawowym środkiem komunikacji i każde dziecko, oprócz chodzenia, uczy się prowadzić pojazd, bez którego trudno byłoby żyć, u nas samochód jest dla osób uprzywilejowanych, a cena państwowa Fiata 126p wynosi około 1.200 tys. zł. Należałoby może uczulić Wydział Finansowy do skrupulatnego sprawdzania dochodów każdego nowego nabywcy. Ja, który zaliczam się podobno do lepiej zarabiających, musiałbym przez 30 miesięcy nie jeść, nie wnosić żadnych opłat i świadczeń, tylko wszystkie zarobione pieniądze odkładać w PKO, aby w rezultacie dowiedzieć się, że w tym czasie ceny pojazdów wzrosły niewspółmiernie do naliczonych procentów.

I tak oto, ofiarnie pracując na tzw. „państwowej posadzie" i systematycznie oszczędzając pewne zarobione kwoty, nie tylko nie dorobiłem się wymarzonego samochodu, ale powierzając państwu swoje pieniądze, zamiast na tym zarobić, jeszcze tylko straciłem.

JERZY PIASECKI

„CHRUPIĄCE I ROZMAITOŚCI"

W „Odgłosach" z 23 maja p. Adam Ochocki snuje barwne wspomnienia o przedwojennym apetycznym łódzkim pieczywku, o prywatnych sklepikach przy ul. Zielonej (Legionów) w rejonie Zielonego Rynku.

Nie wiem czy pan Ochocki jako stary (pardon!) łodzianin pamięta prywatną sieć handlową z ul 11 Listopada (Obr. Stalingradu) — a osobliwie skład win, wódek i likierów Ludwika Bruździńskiego (róg ul. Gdańskiej)? Tam była kultura obsługi, jakiej teraz ze świecą szukać!

Dwóch subiektów niczym ze sklepu Wokulskiego, uwijało się jak frygi, błyskawicznie i uprzejmie, obsługując klientów: — Dzień dobry, do widzenia! — Słucham pana dyrektora! — Czym mogę służyć pani prezesowej?! — Uprzejmie dziękuję, polecamy się W ten sposób traktowano tam wszystkich klientów, bez względu na pozycję społeczną, prezencję, ubiór, zasób portfela itp.

Nic dziwnego, że kupiona w takiej atmosfezre zwykła czyściocha smakowała niczym ajerkoniak...

MIROSŁAW PONIECKI

REDAKCJA — CZYTELNICY

PIOTR A. STARON, M.K. z ulicy Piotrkowskiej. — Listy otrzymaliśmy. Zawierały interesujące uwagi. Przyszły jednak z pewnym opóźnieniem i dlatego nie mogły być wykorzystane.

LESZEK STANKIEWICZ, JANUSZ SZOSTAK, W.A.F. — z nadesłanych materiałów nie skorzystamy.

JAN STRUŚ, Zgierz, ul. Słowackiego 11. — List w sprawie „Zakalca" Pawła Tomaszewskiego otrzymaliśmy. Dziękujemy. Nie opublikujemy go jednak z dwu powodów. Po pierwsze — nie wnosi on do sprawy żadnych nowych, istotnych argumentów. Po drugie — jest zwyczajnym donosem na sąsiadów.

REDAKTOR DYŻURNY

Kompatybilny dyrektor

Tak pozwoliłem sobie zatytułować felieton, który ukazał się w „Odgłosach" tydzień temu. Pod felietonem Redaktor Dyżurny był łaskaw zamieścić coś w rodzaju erraty, z której wynika nie tylko to, że nie posiadam znajomości angielskiego (co jest prawdą), ale jeszcze na dodatek, że jestem kmiotek nierozgarnięty, co to się nie umie posługiwać słownikiem i nie zna zasad ortografii (co się z prawdą cokolwiek rozmija).

Najuniżeniej wyjaśniam, iż nieporozumienie polega na tym, że pan Red. Dyż. posługuje się innym słownikiem, a ja innym. W moim bowiem stoi jak byk: „compatible — dający się pogodzić, połączyć". Zrozumiałem zatem, że nadużywane obecnie słówko „kompatybilny" taki właśnie ma źródłosłów. Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko dodać, że posłużyłem się słownikiem Tadeusza Grzebieniowskiego wydanym w roku 1968. Jeśli się trochę wysili pamięć, to można sobie przypomnieć, że nie takie książki ukazywały się w tym okresie z błędami...

Co do użycia „K" zamiast „C" na początku „inkryminowanego" wyrazu, to przypominam najuprzejmiej normalną w naszym języku tendencję do polszczenia pisowni powszechnie używanych słów obcych. Toteż nazwisko pewnego — znanego raczej — Anglika oszemy: „Szekspir", a równie znanego — przynajmniej w Polsce — Rzymianina: „Krawczuk", a nie — po łacińsku „Cravcuc".

ANDRZEJ KAROL

Żądam stanowczo opublikowania powyższego na mocy art. 31 ust. 1 i 2, w zw. z art. 32, ust. 1 pkt. 2 i ust. 5 ustawy „Prawo Prasowe".

A.K.

KONTYNUUJEMY CYKL ARTYKUŁÓW O POLSKIEJ PIŁCE NOŻNEJ. W czwartym artykule z tego cyklu głos zabiera pracownik jednego z klubów gdzieś w Polsce. Opowiada o tym, jacy są działacze, dlaczego zawodnicy nie dbają o kondycję, co może zrobić trener, jak kupować mecze i sędziów?

Byłem od czarnej roboty

BOGDA MADEJ

Chciałabym teraz przedstawić Czytelnikowi nie zapis rozmowy, ale opowieść człowieka, który gdzieś w Polsce, w którymś z klubów sportowych — i to nie jednym — pracował i był blisko spraw piłki nożnej. Poznał mechanizmy rządzące polską piłką nożną i zdecydował się opowiedzieć o różnych swoich przeżyciach i spostrzeżeniach. Ale — jak zwykle bywa w takich przypadkach — zastrzegł sobie pełną anonimowość. Tak więc przedstawiam relację, wspomnienia i spostrzeżenia jednego z tych, którzy mecze piłki nożnej oglądają nie z trybuny, a od strony kulis.

KTO RZĄDZI W KLUBIE?

Działacze. Jacy są działacze? Podzieliłbym ich na dwie grupy. Pierwsza — to ci, którzy potrafią autentycznie zajmować się sprawami piłki nożnej, znają się na niej. Mają do tego predyspozycje. Mają uzdolnienia menażerów. Takich jest jednak mało. Druga grupa — to ludzie, którzy chcą się pokazać. Zasiąść na meczu w honorowej loży. Mieć poczucie władzy i działać za cudze pieniądze. Niczym własnym nie ryzykować. Ci najczęściej szkodzą.

To prawda, że w klubach jest za dużo pracowników administracyjnych. W zasadzie wystarczyłby dobry kierownik i sekretarz sekcji. Pracowników administracyjnych też się nie szanuje. Niekiedy są to byli piłkarze, którzy znają się na piłce nożnej i mieliby coś do powiedzenia. Ale nikt ich nie słucha. A jak się naprzykrzają ze swoimi uwagami, to im się mówi: — Ty jesteś od czarnej roboty, ty masz wykonywać to, co my ci polecamy, a nie filozofować! — Czasem zastanawiam się, czy reforma dojdzie do klubów sportowych i mam takie wrażenie, że chyba jednak nie. Nikt tam też jej nie oczekuje. A przydałaby się.

Czy w klubie można gospodarować oszczędniej? Oczywiście, że można. Na przykład „leczenie". Co to jest? Ano to są wyjazdy piłkarzy z rodzinami do kurortów, do luksusowych hoteli na odpoczynek. Tak się przez sezon piłkarski zmęczyli, że klub musi im fundować leczenie. Rozumiem, że klub powinien zatroszczyć się o wypoczynek piłkarzy, ale powinno to sprowadzać się do zorganizowania im wczasów, ale na ich koszt. Piłkarze wcale tak źle nie zarabiają, jak to niektórzy próbują przedstawiać. Nie liczą oni właśnie wczasów organizowanych na koszt klubu, nie liczą codziennych obiadów fundowanych im przez klub i wielu innych dodatkowych pieniędzy, które uznają za naturalne. Gdyby wszystko policzyć, to okazałoby się, że suma pieniędzy byłaby inna. Wcale nie taka mała.

Czy rzeczywiście na mecz za granicą musi jechać tak duża ekipa? Moim zdaniem — nie. Zachodnie kluby nie ciągają za sobą po świecie takich ogonów jak nasze. Tam się liczy pieniądze. Gdyby takie wyjazdy były tylko dla podstawowego składu drużyny i niezbędnej rezerwy, to i taki wyjazd byłby motywacją do lepszej gry.

Przy trochę dalszych odległościach również na krajowe mecze wyjeżdża się dzień wcześniej, funduje hotel, wyżywienie, aby zawodnicy byli w dobrej formie. Ale najczęściej właściwym powodem jest to, aby mieć ich na oku. Na wszelkich wyjazdach przecież sprawdza się obecność zawodników w pokojach. Przedmeczowe zgrupowania robi się w zasadzie po to samo. Zawodnicy w zadymionych pokojach i grają w karty. Ale trener ma ich na oku. Nikt nigdzie nie wyskoczy, nawet gdy przyjdzie mu na to ochota.

Inna sprawa. Kary regulaminowe. Zawodnicy płacą za różne naruszenie regulaminu. Płacą duże pieniądze, do 50 tysięcy złotych i niewielkie sumy za mniejsze przewinienia: za palenie papierosa przed treningiem, spóźnienie, nieobecność na masażu. Co się dzieje z tymi małymi sumami? Zbiera się je na książeczce oszczędnościowej i pod koniec sezonu funduje za nie wspólną kolację nie zawsze tylko z oranżadą.

Gdyby te pieniądze szły do kasy klubowej, to i sens wychowawczy takiej kary byłby inny. Dla pierwszej drużyny w klubie na ogół jest wszystko. Ale już brakuje pieniędzy na zorganizowanie obozu dla trampkarzy. A przecież bez wychowywania następców i pierwsza drużyna szybko straci swoje siły. To jest krótkowzroczna polityka. Czy działacze z prawdziwego zdarzenia mogliby to tolerować? Ale jeśli motywem ich działania jest tylko pokazanie się przed innymi, to i skutki tego muszą być takie, jakie są.

TRENER TEŻ NIEWIELE MOŻE

zrobić, bo trener podejmuje się pracy w klubie i musi mieć wyniki. Nie ma takiego luksusu, że ma zapewnione 5—8—10 lat pracy w klubie i wie, że jego praca będzie oceniana w takiej perspektywie. Nie, on musi mieć wyniki już, za kilka miesięcy, albo i wcześniej. Od czego więc zaczyna? Od kupowania zawodników. Są to na ogół nieszczęśliwe posunięcia. Ale doraźnie pomagają trenerowi uzyskać dobre wyniki w krótkim czasie. To nie są trenera pieniądze, on wie, że bez ich wydania może pracować krócej, niżby się tego spodziewał, więc się niczym nie przejmuje.

Czy zdarzyło się kiedy, aby trener zaprotestował głośno i publicznie, złożył rezygnację, tylko dlatego, że działacze chcieli kupić mecz? Nie. Trener przymyka na to oczy, udaje, że nic się nie stało. Kupiony mecz, jeśli będzie wygrany i tak idzie na jego konto. Czy taki trener może być wychowawcą? Nawet w teorii nie może.

Przepisy ktoś tak dziwnie skonstruował, że trenerzy zarabiają mniej od piłkarzy. Który szanujący się trener pozwoli sobie na to? Dostają więc lewe etaty. I znów co z niego za wychowawca, jeśli godzi się na coś takiego? Przecież wszyscy o tym wiedzą.

Trenerzy uciekają od pracy z młodzieżą, bo to się im nie opłaca. Wymaga to dużego wysiłku za marny grosz. A trener też człowiek i ma swoje potrzeby. Ma rodzinę i musi ją utrzymać. Trudno mu się zatem dziwić, że rezygnuje ze szkolenia najmłodszych. Ale przy takim ustawieniu zarobków trenerów nie ma co oczekiwać, że polska piłka nożna będzie się prawidłowo rozwijała.

I trzeba chyba jeszcze powiedzieć, że zdarzali się i tacy trenerzy, którzy grali z zawodnikami w karty, na pieniądze. Czy taki trener może później od nich wymagać, aby rzetelnie trenowali? U nas w ogóle sprawy treningu są postawione na głowie. Chwalimy się, że niby mamy „zawodowstwo". Ale jakieś koślawe, połowiczne. Dlaczego Mirosław Okoński dopiero w RFN jest znakomity? Bo w Polsce wszystko było mu wolno. Byli działacze, którzy wszystko tuszowali. W RFN obowiązują inne zasady. Jak piłkarz nie wykona polecenia trenera, to poniesie za to ciężkie konsekwencje. I nikt się nad nim nie ulituje. Kiedy dużyna Widzewa była w RFN, Włodzimierz Smolarek nie pojechał ich odwiedzić, bo mu lekarz zabronił wychodzić z domu. W Polsce nikt by takiego polecenia nie wziął na serio. Wartę trzeba byłoby postawić przed drzwiami mieszkania zawodnika. A tam nie. Jak nasi zawodowcy przyjeżdżają do Polski na wakacje, to nadal trenują. Nasi na urlopie — nie. I na pierwszym treningu skarżą się, że ich nogi bolą. W drużynach zachodnich klubów od początku jest ostry trening i nikogo nogi nie mają prawa boleć.

Nie ma chyba co ukrywać, że nasi piłkarze są najgorzej przygotowani technicznie do gry w piłkę nożną w całej Europie. Wszyscy patrzą teraz na Wojciecha Łazarka, co on zrobi? A co on może zrobić, kiedy ma takich a nie innych piłkarzy? Przywykłych na ogół do tego, że działacze zatroszczą się o wynik meczu.

JAK SIĘ SPRZEDAJE MECZE I KUPUJE SĘDZIÓW

— to już zupełnie inna opowieść. To cały system. Przede wszystkim musi być „lewa kasa". Są to dochody i wydatki na ogół nigdzie nie księgowane. Tych pieniędzy niby nie ma, a one są. Dawniej kupowało się i sprzedawało mecze pod koniec sezonu. Teraz robi się to już od początku.

Był kiedyś taki klub — nazwy nie wymienię — który starał się zdobyć przewodnictwo w pierwszej połowie sezonu piłkarskiego, aby w drugiej móc sprzedawać mecze. W ten sposób zarabiano na potrzeby klubu. Przyznam się, że gdy patrzę na ludzi wypełniających kupony piłkarskiego totolotka, to mnie śmiech ogarnia. Przecież to ja wiem, jak i kiedy rozstrzygają się losy meczu i żaden kibic tego nie jest w stanie przewidzieć.

Sposoby sprzedawania i kupowania meczów są różne. Wyznacza się na przykład zawodnika, który tym się zajmuje. Nie za własne pieniądze oczywiście. Szybko rozchodzi się wieść po innych klubach, że sprawy kupno-sprzedaż meczów z takim to a takim trzeba załatwiać. Zdarzało się, że i ja to załatwiałem. Kilka razy, może trzy, a może cztery. Na ogół sprawy takie znają dwie, trzy osoby. Reszta może się domyślać.

Bardziej skomplikowane są sprawy z kupowaniem sędziów. Kiedyś — jakieś trzy czy cztery lata temu — prezes Stanisław Eksztajn powiedział w wywiadzie dla „Piłki Nożnej", że da milion złotych temu, kto mu wskaże lub udowodni, że sędzia wziął pieniądze. Uśmiałem się z tego serdecznie, bo przecież sam dawałem, ale ani ja się do tego nie przyznam, ani sędzia, który wziął. Nikt się nie przyzna. A poza tym trzeba to udowodnić. A to są pieniądze, których nie ma.

Jak się kupuje sędziego? Sposoby są różne. Sędziowie muszą niekiedy brać dzień z urlopu na mecz. Klub czuje się zobowiązany jakoś pokryć im straty. Wręcza się pieniądze w kopercie, w teczce. Raz, gdy odwoziłem sędziego po meczu, to mi mało kieszeni nie urwał w płaszczu, tak gwałtownie wyciągał pieniądze. Klub na ogół zakłada, że każdy sędzia weźmie, choć bywają tacy, którzy się opierają. Ale są i tacy, którzy — gdy im się długo niczego nie ofiarowuje — sami domagają się „prezentu": — To dziś nic nie ma? — dziwią się. — To wam już punkty niepotrzebne?

Bywa i tak, że z pieniędzmi zjawiają się przedstawiciele obu drużyn. Co wtedy robi sędzia? Nic. Normalnie sędziuje i bierze od tej, która wygrała. Bo pieniądze daje się po meczu. Zdarzało się i tak, że sędzia prowadził mecz normalnie, drużyna wygrała bez jego pomocy, ale on wziął spokojnie pieniądze, bo i tak były dla niego przeznaczone. Często takie sprawy załatwia któryś z podstawionych kibiców i gdyby nastąpiła wpadka, to on zawsze może powiedzieć, że się kibice na sędziego złożyli, taką mieli fantazję.

Krążą różne opowieści wśród kibiców o kolacjach z sędziami. Sędzia przyjeżdża dzień wcześniej, trzeba go gdzieś zakwaterować, nakarmić. Diety są przecież małe. Biorą to na siebie klub. Niektórzy sędziowie proszą o kolację do pokoju i nie żądają alkoholu. Najwyżej symbolicznie. Ale miałem okazję gościć i takich, którym nie przeszkadzała sala restauracyjna i butelka czystej na stole. Kolację kończył o 2 w nocy, rano wypijał kawę i wybiegał na stadion. Jak sędziował z ciężkim kacem, to już inna sprawa.

PIENIĄDZE W SPORCIE SĄ PRZEKLEŃSTWEM

Wcale nie ma w tym przesady. Proszę zwrócić uwagę na pewną prawidłowość. Wśród juniorów pojawia się zdolny piłkarz. Trafia szybko do kadry i po kilku miesiącach — ginie. Robią to pieniądze. Nagły dopływ pieniędzy powoduje, że chłopak zmienia styl bycia i życia, czuje się w obowiązku szpanować. A chłopak jest młody i szybko wykoleja się. Nikt go z tego nie wyprowadzi.

Podobnie dzieje się z sędziami. Pojawiają się młodzi zdolni sędziowie i — przez pieniądze, które im łatwo płyną do kieszeni — przestają już być zdolni i sprawiedliwi.

W klubach wielosekcyjnych piłka nożna najczęściej jest kością niezgody. Dlaczego? Ze względu na wysokość premii. Nie jestem przeciwny premiom, ale muszą one rzeczywiście odpowiadać wkładowi pracy i wysiłku piłkarza, a nie być wynikiem wymuszania ich na prezesie, bo i tak się zdarzało. Proponowałbym zatem zmniejszenie premii za mecze, ale tak, aby zawodnik mógł za dobry mecz dostać więcej, a za słaby minimalnie.

Może to, co powiem zabrzmi dziwnie, ale sytuację w polskiej piłce nożnej zepsuły kontrakty. Otóż kontrakty nakładają obowiązki głównie na kluby, a nie na piłkarza, dla którego odnowienie kontraktu to dodatkowe, wcale niemałe pieniądze. Jeśli jest to umowa, to druga strona też musi ponosić konsekwencje jej naruszenia. A tak nie jest. Jeśli już decydujemy się na wprowadzanie zawodowstwa, to ze wszystkimi jego konsekwencjami. A jeśli nie, to mamy to, co mamy, czyli kryzys piłki nożnej, z którego nie ma wyjścia bez radykalnych posunięć.

Również sędziowie powinni mieć wysokie ryczałty za mecze, aby nie czekali z wyciągniętą ręką na to, co im klub odpali, bo to przecież upokarzające. I niemoralne.

Polska piłka nożna czeka na odrodzenie. Mamy zdolną młodzież, czas nią się zająć. Ale czy to się uda?

Co mnie śmieszy?

Zauważyliście Państwo, że dziennikarze „Odgłosów" dyżurują przy telefonie? Zapewne. A czy zauważyliście także, że z tych telefonów czasem wynika coś więcej, niż notatka na czternastej stronie tygodnika? Nie? No to zauważycie... Pełniłem taki dyżur, a właściwie „kawałek dyżuru", bo to nagłe zastępstwo. Akurat w tym czasie zatelefonował czytelnik i kiedy się przedstawiłem wykrzyknął: — A to pan! Panie Andrzeju Karolu, niech mi pan powie co pana tak śmieszy? Czytam te pańskie „nagłe zastępstwa" i nie rozumiem czemu panu tak wesoło? Mnie jakby mniej...

Szanowny Panie!

Śmieszy mnie całe mnóstwo rzeczy i obawiam się, że nie wszystkie zdołam wymienić. Ale się postaram. Wprawdzie jest na ten temat piosenka Wojciecha Młynarskiego — wystarczyłoby ją w całości zacytować i byłaby to odpowiedź. Jednak nie jestem zainteresowany dokładaniem tantiem w Zaiksie panu Wojtkowi, a raczej podreperowaniem swojej chudej kasy i rzecz całą wyłożę, najlepiej jak umiem własnym tekstem:

Otóż śmieszy mnie sporo rzeczy z dziedziny językowej. Takie np. od lat funkcjonujące w naszym języku zwroty: „w oparciu". W oparciu to proszę ja kogo, może być gąbka, może być trawa morska, może być jeszcze coś, czym tam te oparcia wypychają. A nie może być „w oparciu o ustawę", bo to bzdura. Śmieszy mnie także „w temacie". Wiem, wiem, pana też to śmieszy. Ale mnie śmieszy na przykład szyld „Szycie spodni w podwórzu". Pana nie? No widzi pan... Ja pana teraz zaskoczę: mnie śmieszy nawet taka poważna i szanowna nazwa jak: Komitet do Spraw Radia i Telewizji „Polskie Radio i Telewizja". Pana to nie śmieszy? Sama nazwa, nie żadne tam programy, które też mnie czasem śmieszą. Więc może rozśmieszy pana inna nazwa, zapamiętałem ją z jakiegoś opakowania: Rumińskie Zakłady Przetwórstwa „Rumia" w Rumii. Prawda, że śmieszne? A „Salon pralniczy" to nie śmieszne?

Śmieszy mnie jeden z moich kolegów, pisujący w zaprzyjaźnionym organie, który (ten kolega) wciąż twierdzi, że on mnie utrzymuje, bo jego organ jest dochodowy, a mój na granicy deficytu. Śmieszy mnie, bowiem kto kogo w Polsce utrzymuje, tego nikt nie wie... Czy kopalnie węgla nas wszystkich, czy może odwrotnie? Czy gazety są utrzymywane przez biura ogłoszeń? A gdzie by drukowali ogłoszenia, jakby nie było gazet?

Kolega napisał był taki tytuł w swojej gazecie: „Wielka prosperita". Jeżeli on mnie ma w taki sposób utrzymywać, to ja mu bardzo dziękuję, mam go w nosie z jego „prosperitą"...

Śmieszy mnie słowo „amator" w odniesieniu do kopacza piłkarskiego, który mógłby mnie i mojego kolegę po piórze wziąć na utrzymanie i jeszcze starczyłoby mu na parę innych rzeczy. Natomiast słowo „amator" w stosunku do umiejętności owego kopacza nożnego jest zupełnie na miejscu i nic śmiesznego w nim nie ma. Ale mnie śmieszy jeszcze słowo „profesjonalista" w stosunku do paru piosenkarzy, do pisarzy — autorów jednego opowiadania i trzech wierszy, do dziennikarzy, którzy przez całe długie życie tylko zrzynali z depesz, podpisywali je swoimi inicjałami...

Albo taki zwrot: „Atestacja stanowisk". Kiedyś mnie nie śmieszył, bo rozumiałem go dosłownie. Teraz już wiem: jest to synonim słowa „redukcja". Niektóre „komisje atestacyjne" przystępują do pracy na podstawie („w oparciu") przysłanej z góry komandirowki: — zwolnić tylu a tylu. Nie śmieszne? A kto „górę" wyatestuje? Nie ma obawy, nikt... Góra jest mocna i żywotna. Nie śmieszy pana, drogi czytelniku, że do reperacji zepsutego mechanizmu zabierają się z największym zapałem ci właśnie, co go skutecznie psuli? Podobno „nie święci garnki lepią". Tak, ale — jak powiada jeden mój znajomy — robią to garncarze...

Śmieszy mnie na przykład artystka sceniczna i estradowa Stalińska Dorota. Dlaczego? Zaraz wyjaśnię. Z dużym zainteresowaniem przeczytałem wywiad z artystką, a także wysłuchałem rozmowy z nią w programie sportowym Tv (rozmowę prowadziła red. Mariola B., też mnie śmieszy). Stalińska Dorota stwierdziła, że mężczyźni w Polsce są okropni, koszmarni i obrzydliwi, bowiem nie uprawiają sportu i zapuszczają sobie brzuchy. Otóż, jeśli pani Stalińska ma określone wymagania co do sylwetki jej męża, narzeczonego, czy kogo tam jeszcze, to jej sprawa. Mnie natomiast śmieszy, że ma takie wymagania do wszystkich mężczyzn, czyli m. in. do mnie, choć ja pani Doroty ani nie namawiam na małżeństwo, ani nawet na małą randkę. Co jej w takim razie przeszkadza, że jedynym sportem, jaki uprawiałem za młodu był cymbergaj? Albo to, że zapuściłem sobie brzuch? Śmieszy mnie to i stanowczo oświadczam, że ani z powodu owego cymbergaja, ani brzucha, nie mam najmniejszych wyrzutów sumienia i czuję się z tym znakomicie. Przynajmniej na razie, póki jeszcze wytwórnia „Metro — Goldwyn — Meyer" nie zaproponowała mi roli amanta. Piszę nie bez kozery o wytwórni amerykańskiej, polskie bowiem „zespoły filmowe" żadnych wymagań co do wyglądu amantów nie mają, i słusznie, są to bowiem wytwórnie ludowe i demokratyczne. I to mnie też śmieszy...

W wywiadzie dla „Kuriera Polskiego" pani Stalińska zaklinała się, że nosi autentyczne nazwisko, że „Stalińska" to nie pseudonim. Biorąc pod uwagę apodyktyczność sądów znakomitej gwiazdy sceny i estrady, to mam pewne wątpliwości. Jej nazwisko coś mi nieodparcie przypomina...

Stalińska Dorota uprawia sztukę, która się nazywa „piosenka aktorska". I to mnie też śmieszy, ta mianowicie dziedzina sztuki. Obejrzałem uważnie co tam z ostatniego festiwalu wrocławskiego pokazała nasza TV i doszedłem do wniosku, że można bez większego trudu zdefiniować ową piosenkę aktorską: — Jest to pieśń smętna, nawet czasem wręcz tragiczna, wykonywana przez artystkę w czarnej sukni. Jeśli artysta jest rodzaju męskiego, może być czarny sweter albo wyjściowy garnitur. Wskazana jest także nadmierna ekspresja, wyrażająca się najczęściej w wymachiwaniu rękami. Inne formy ekspresji są ograniczone, bo artysta nie może zmieniać swego położenia względem mikrofonu...

Ale nie tylko festiwal na pieśń aktorską mnie śmieszy. Także inne festiwale na pieśń. Nawet, wstyd się przyznać, kołobrzeski festiwal zmotoryzowany, pardon, zmilitaryzowany. Mam do niego sentyment pewien, bowiem jego specyfiką (to słowo też mnie śmieszy często!) jest to, że występują w nim sezonowi artyści wąsko wyspecjalizowani. Przez cały boży rok człowiek ich nie zauważy nigdzie: ani w TV, ani na afiszu, ani w żadnym anonsie, nawet w radiu ich brak. A potem przychodzi Kołobrzeg i oto na estradzie niewidzialni od ubiegłego roku pani... pan... Żadnych nazwisk nie podam, sam pan ich znasz, a ja się nie będę narażał na połajanki i sprostowania: a to że artysta był za granicą, a to, że chorował, a to, że właśnie że wystąpił! Na specjalnym koncercie dla dzieci z wadami słuchu..

Śmieszy mnie jeszcze mnóstwo ludzi, spraw i zjawisk. A to „ceny umowne" powodują u mnie nerwowy chichot, a to słowo „kompatybilny", a to znów zwrot „postój taksówek", choć od lat wiadomo, że miejsca oznaczone takim tekstem są postojami pasażerów, a to znów ideologiczne oświadczenia ekshibicjonistów, że obnażają się publicznie w celu zbliżenia do natury. Najbardziej śmieszy mnie ostatnio jeden facet, który twierdzi, że wszystko w kraju da się ulepszyć i poprawić, jak się tylko ustawimy w rządku i weźmiemy za ręce! No, śmieszy mnie i już...

Pan słyszał o Uniwersytecie Szczecińskim? Raczej niewiele? Ja też. A teraz zna go cały świat! Studenci tej świetnej uczelni biegali, skakali, przeskakiwali i tak dalej. Robili to dłużej, niż studenci z Nowego Jorku! Polak potrafi! Nawet więcej niż Amerykanin! Nie wiem dlaczego, ale też mnie to śmieszy...

I jeszcze coś mnie śmieszy. Ale nie napiszę, nie ma mowy... Mogę tylko powiedzieć na ucho.

ANDRZEJ KAROL

Podsłuchana rozmowa w samolocie o... polskich dziewczynach. Naukowiec z Krakowa, który jedzie badać integrację w Kosowie. Polska widziana z góry. Szczęśliwe lądowanie w Belgradzie. Przed zamkniętymi drzwiami Uniwersytetu Belgradzkiego. Niespodziewany wybawca. Podróż krętymi ulicami Belgradu. Przystań na długie miesiące.

Sam w Belgradzie

ALFRED LUTRZYKOWSKI

Zasłuchany we własne myśli nie spostrzegłem, że mój sąsiad odpiął już pas, rozluźnił się i próbował spoglądać na zewnątrz przez iluminator, przy którym siedziałem. Po prawej stronie, w rzędach dla palaczy, unosiły się kłęby dymu papierosowego. Mają pietra więc palą, pomyślałem. Mój sąsiad natomiast śmiesznie spocił się: największe krople potu ma na czubku nosa i na brodzie. Też jest nieźle podenerwowany. W prawej ręce międli chusteczkę higieniczną, coraz to pocierając nią lewą dłoń. Za nami dwójka Jugosłowian zawzięcie dyskutuje. Padają polskie imiona kobiece. Śmieją się. Wymieniają nazwy warszawskich lokali gastronomicznych i rozrywkowych. Jakieś ceny podawane w dolarach, złotówkach i dinarach. Powtarza się nazwa hotelu.

ROZMOWY W SAMOLOCIE.

— *Ależ oni pytlują* — odzywa się mój sąsiad. — *Na swoich partnerkach — kilkudniowych zabawkach — nie zostawiają nawet jednej suchej, przyzwoitej gumki. Przyjeżdżają tu z marną setką zielonych i zabawiają się tak, jak pan słyszy. Do tego teraz, gdy pora wracać do domciu, kpią sobie z tych głupich dziewcząt i niezrozumiałych dla nich praw naszego rynku walutowego. Najbardziej im się podobała nasza „Wyborowa" i zaopatrzenie w „Peweksie", no i dziewczyny! Ciekawy jestem czy oni w Polsce byli prywatnie czy służbowo?*

— Wszystko jedno — odpowiadam. — Zresztą nie wiem, o czym oni tak rozprawiają. Gadają za szybko jak na moje ucho. Jeśli to tacy, jak ich pan oszacował, to pies ich drapał. I tak oni nie czynią urody naszych wzajemnych kontaktów. Te są przecież ciepłe, by nie rzec serdeczne. Trochę o tym wiem — zakończyłem z nutą pewności.

— *To chyba pan słabo zna tę całą urodę* — odpalił. — *Jasne, że nie uogólniam niczego. Znam też bardzo ciepłe obszary naszych dwustronnych kontaktów. W Jugosławii czuję się jak w swoim letniskowym domku i to nie tylko ze względu na klimat, lecz za sprawą ludzi. Jadę teraz do Kosowa, bo zbieram materiały do rozprawki na temat — teraz uważaj pan — integracji mieszkańców tej pokrainy w minionym czterdziestoleciu. Bardzo lubię Jugosławię, uwielbiam i szanuję Jugosłowian. Ale takich, jak ci dwaj z tyłu, najchętniej bym spra!. Dla dobra naszych stosunków. Bo tacy jak oni i te polskie dziewczyny w tych hotelach, cały ten handel, popijochy i rozróby są jak rodzina złodziejsko-paserska na gościnnych występach. Okantować, sprzedać, żeby znowu coś podprowadzić, po to, by wyjść na swoje i jeszcze przy tym poużywać.*

— Ale kto tu paserem, a kto dostawcą trefnego towaru? — zapytałem. — Kto tu zyskuje, a kto traci? Te dziewuchy też się pewnie śmieją z czarnogórskich jeleni. Wszyscy się ubawili i pewnie zarobili. Kto więc na tym stracił? A jeśli tak, to gdzie są odpowiedzialni za porządek i ład strażnicy, gdzie prawo, które tak misterną siecią reguluje przecież tyle spraw i sytuacji? Gdzie nasi urzędnicy stojący na straży wspólnego i ogólnego? Czemu nic się nie robi w celu zapobieżenia okazjom, które czynią złodziei? Łatwo oceniać i karać, wykpiwać...

— *Panowie życzą sobie wódeczkę czy poprzestajemy na soczkach?* — usłyszeliśmy nad sobą sympatyczny sopran. Obok nas stała blondynka w służbowym uniformie.

— *Pewnie, że kropniemy po małym* — podjął w mig mój sąsiad.

Podnieśliśmy kieliszki. Ci za nami widząc to unieśli się nieco z foteli i gromko huknęli:

— *Živeli Poljska,, živeli Jugoslavija!*

Mamy więc pierwszy międzynarodowy toast. Kontakt został zatem nawiązany!

Była wspaniała, bezchmurna pogoda i można było pooglądać Polskę z góry.

— Ale czy to jeszcze Polska?

— *Jasne* — odpowiada sąsiad. — *Z tyłu za nami dymiący kominami Górny Śląsk. Proszę, o tam, wskazał gęste skupisko jakichś zabudowań, urządzeń buchających to szarym, to żółtobrunatnym dymem. Tym oddychają mieszkańcy Śląska, Zagłębia. Gorzej niż u nas, w Krakowie! Niech pan spojrzy, przed nami, w prawo. To chyba moje miasto, a to blokowisko, to Nowa Huta!*

— *No to masz pan Tatry* — kontynuował specjalista od spraw Kosowa. I popłynęła opowieść o pięknie gór i górskich wypraw, tak że przypomniałem sobie nasze grupowe wyprawy na Zawrat, Granaty, Kozie Wierchy czy Krzyżne. Dostarczały one niezapomnianych przeżyć. Zaciągali nas tam znajomi z Łodzi, którzy od kilkunastu lat połowę urlopu spędzają w Tatrach. Ich syn stał się prawdziwym kompanem dla Roberta. Dawali nam nieraz „popalić", podśmiewając się cichaczem z kondycji rodziców.

NA LOTNISKU W BELGRADZIE.

— *Proszę państwa, zbliżamy się do Belgradu. Proszę zapiąć pasy bezpieczeństwa, proszę nie palić, fotele należy ustawić w pozycji pionowej* — rozległ się głos spikerki. — *Lądujemy w aeroporcie Surcin. Temperatura na lotnisku wynosi plus osiemnaście stopni.*

— Jak na listopad, to możemy sobie powinszować — powiedziałem.

Mijają chwile pełne ciszy i niespokojnego oczekiwania na najważniejszy w każdym locie moment: zetknięcie maszyny z ziemią.

Po przejściu przez „rękaw", zabieramy swoje walizki, kierując się do stanowiska celników i tutejszych wopistów. Wszystko prześwietlają! Obok stoi aparat do badania stopnia skażenia promieniotwórczego. To pewnie poczernobylski nabytek, ale nie pracuje.

Paniusia przed nami ostro dyskutuje z celnikiem, który wyciągnął z jej walizki aparat telefoniczny, radiomagnetofon i jeszcze jakiś cenny drobiazg. Każe jej płacić 55 dolarów cła. Ona na to, że to same poklony (prezenty) dla znajomych. Ruch w tej kolejce zostaje wstrzymany. Przechodzimy do drugiej. Tu idzie szybko. Po kilkunastu minutach jesteśmy w hallu dworca lotniczego.

Po naszym Okęciu — robi wrażenie. Wszędzie marmur, przyciemniane szyby, aluminium, wyścielane fotele, eleganckie sklepy za dewizy i za dinary. Wielkie tablice informacyjne z rozkładami lotów i falujący, różnokolorowy, wielojęzyczny tłum podróżnych.

Rozglądam się czy przypadkiem kogoś w Uniwersytecie Belgradzkim nie natchnęło i nie wysłano jakiegoś asystenta, by odebrał przybysza, którym stałem się z własnej i nieprzymuszonej woli. Nie wiem bowiem nawet, gdzie mam się teraz udać. Mam tylko adres siedziby działu współpracy międzynarodowej tej uczelni. Ani we własnej uczelni, ani w ministerstwie nie otrzymałem żadnych informacji, gdzie się zgłosić, kogo szukać. Nie mam nawet telefonu do naszej ambasady, na wszelki wypadek. Rano, kiedy wstąpiłem do działu współpracy z zagranicą ministerstwa, nie zastałem pani Joli. Była na naradzie. Siedzący w pokoju jakiś wysoki zapewne pracownik resortu powiedział, że nawet pani Jola by mi nic nie pomogła, bo ambasada polska w Belgradzie przeprowadziła się ostatnio na nowe miejsce. Teraz pomyślałem, że można pogratulować kompetencji temu panu. Mój przygodny znajomy z samolotu wręczył mi numer i adres zapewniając, że nic takiego, jak przeprowadzka nie miało miejsca.

— *W razie kłopotów wal pan na ul. Kneza Miłosza 38* — dodał.

Przez jakiś czas oglądamy dworzec, jego nowoczesne urządzenia i zastanawiamy się, co robić dalej. Postanawiamy zasilić bank federalny przywiezionymi z Polski dewizami. Wymieniamy nasze delegacyjne 12,3 dolara. Otrzymujemy za to około 4500 dinarów. Za chwilę podchodzi do nas elegancki dżentelmen oferując przewóz taksówką do Belgradu za jedyne 3500 dinarów. Decydujemy się na autobus YAT (za 350 dinarów). Jazda trwa około pół godziny. Wjeżdżamy do Nowego Belgradu. To jest dopiero blokowisko, choć architektura bardziej niż u nas zróżnicowana. Klocki można ustawiać również w ciekawe formy.

Mój współtowarzysz wysiada na przystanku Železnicka Stanica. Żegnamy się jak starzy, dobrzy znajomi. Do zobaczenia w... Polsce chyba?! Za chwilę niknie mi z oczu w wielkiej ciżbie wlewającej się do mało ciekawego budynku głównego dworca kolejowego. A więc pojechał badać tę swoją dziwnie pojmowaną integrację Kosowa.

PRZED ZAMKNIĘTYMI DRZWIAMI.

Po paru minutach dalszej jazdy jakimiś wąskimi, bocznymi ulicami autobus zatrzymuje się na końcowym przystanku. Zabieram bagaż, patrzę, wokół, by zorientować się, gdzie jestem. Taśmajdan, obok Bulwaru Rewolucji, prawie pod samą Cerkwią Św. Marka. Jest ciepło. Na wielkich platanach jeszcze pełno liści. Przylegający park rzęsiście oświetlony, choć jest jeszcze widno. Może tu nie mają kryzysu energetycznego? Na ulicach nieprzerwane sznury samochodów. Swąd spalin niesamowity. Z trudem przedzieram się chodnikiem prawie całkowicie zastawionym samochodami. Łapię taksówkę. Kierowca, sympatyczny starszy pan mówi, że zmienił za kierownicą syna, który poszedł zjeść i przespać się trochę. Wiezie mnie na Studentski trg (plac Studencki). Stawia moją walizkę pod drzwiami rektoratu Uniwersytetu Belgradzkiego i odjeżdża. Drzwi były zamknięte...

Postałem tak parę chwil zlorzecząc na czym świat stoi. Robiło się coraz później. Zaczęli mi się przyglądać przechodnie. W pewnym momencie zatrzymała się taksówka. Kierowca pyta:

— *Kuda vam treba?*

— Hvala lepo — odpowiadam.

Ten nie daje za wygraną, łapie moją walizkę i próbuje pakować ją do bagażnika. Energicznie protestuję. Zjawia się jakiś śniady, ciemnowłosy przystojniak i też pyta, czego potrzebuję, co tu robię o tej porze.

— *Rektorat zatvoren* — dodaje. — *Otwierają jutro rano o siódmej trzydzieści. Proszę przyjść wtedy!*

— A pan może tu pracuje? — wysilam moją serbszczyznę, zdając sobie sprawę, że pytanie jest idiotyczne. Na ciecia mi facet nie wygląda.

— *Tak, tu właśnie pracuję* — słyszę w odpowiedzi. — *Ale pan mi nie odpowiedział na pytanie. Co pan robi o tej porze?* — powtórzył tym razem po rosyjsku — *Ruski, Czech, Polak?* — dopytywał.

Zdążyłem zebrać myśli, ułożyłem odpowiedź po serbsku i walę:

— Jestem Polakiem, przyjechałem na staż w Uniwersytecie Belgradzkim, mam tylko ten oto adres i takie pismo.

Wcisnąłem mu do ręki teleks z ministerstwa, który nadszedł do Uniwersytetu Łódzkiego, gdy zostałem zakwalifikowany na staż (niech go diabli! — dodałem w duchu).

— *Ale co tu jest napisane?* — pyta przystojniak, o którym pomyślałem, że jest pewnie jakimś młodym profesorem lub innym na pewno odpowiedzialnym pracownikiem jugosłowiańskiej nauki? Przetłumaczyłem mu tekst depeszy, co poszło mi nie najgorzej. Trochę pomogłem sobie rosyjskim i angielskim.

Foto: Grzegorz Gałasiński

— *No dobrze, spróbujemy coś zrobić* — zadeklarował. — *Proszę tu zaczekać!* — Odwrócił się i zniknął za rogiem budynku rektoratu.

Może lepiej wiać stąd? — Zastanowiłem się. Zdjąłem walizkę ze schodów, poprawiłem na ramieniu pas torby, gdy po drugiej stronie drzwi usłyszałem głos.

— *Proszę mocno gurnuti vrata!*

Naciągnąłem je barkiem. Ustąpiły! Znalazłem się w Uniwersytecie Belgradzkim.

— *W poniedziałki gram z kolegami w piłkę w sali gimnastycznej, tu niedaleko* — wyjaśnił. — *Po tych zajęciach zostawiam w swoim biurze trochę sprzętu, żeby nie nosić wszystkiego do domu. Właśnie kilkanaście minut temu skończyliśmy grać.*

— To szczęśliwy dla mnie przypadek — ucieszyłem się. Inaczej przyszłoby mi nocować na ulicy lub w poczekalni kolejowej albo i gorzej.

— *To pan nie ma zarezerwowanego hotelu?* — zdziwił się. — *Gdzie pan będzie mieszkać przez trzy miesiące?*

— W Polsce mi mówiono, że w domu studenckim.

— *Tylko nie wiem, czy da się coś załatwić. Na wszelki wypadek, ile ma pan dinarów, albo dolarów? W akademiku pokój gościnny kosztuje 1000 dinarów za nocleg. Hotel — 35 —80 dolarów. Tymczasem proszę usiąść, tam stoi woda mineralna. Zaraz wracam!*

Zostałem sam w wielkim pokoju, który jak się zorientowałem — pełnił funkcję ni to sekretariatu, ni to poczekalni, z którego były dwa wejścia do ogromnych, stylowo urządzonych gabinetów.

MÓJ WYBAWCA I NOCNA PODRÓŻ PO BELGRADZIE.

Siedząc wygodnie w przepastnym fotelu, kontemplowałem swoje położenie. Rozmyślania przerwała mi sprzątaczka, która znalazła się tu nie wiadomo skąd. Początkowo wystraszona, szybko odzyskała rezon i zaraz natarła z pytaniami: — co tu robię, kim jestem itp.? Mówiła bardzo szybko i z jakąś dziwną manierą językową, że nie wszystko zrozumiałem. Próbowałem jej wyjaśnić, że przyjechałem z Polski, na staż, że zaraz tu przyjdzie... Ale kto? Nie potrafiłem tego określić. Facet mi się nie przedstawił. Na schodach i w korytarzu rozległy się odgłosy szybkich kroków. Pojawił się mój wybawca.

— *Wszystko w porządku, jak na razie* — obwieścił.

Sprzątaczka widząc go wzięła bardzo śmiesznych kształtów odkurzacz i wyniosła się do jednego z gabinetów.

— *Pan pewnie zmęczony?* — zapytał. — *Najlepiej będzie pojechać taksówką do akademika. Tam już wiedzą, że pan przyjedzie. Kierownikiem tego domu jest mój kolega. Może jeszcze wody? O proszę, tu jest moja wizytówka!*

Biorę do ręki elegancki kartonik, czytam: „*savetnik za pravne poslove*", czyli radca prawny po naszemu.

— *Czy pan zna Belgrad?* — zapytał. — *Jadąc taksówką proszę uważać, żeby kierowca nie zawiózł pana na Zvezdarę przez Železnik i Avalę. Wie pan, taksówkarze to dziwny naród. Przez półtora roku byłem sekretarzem ich zrzeszenia tu, w Belgradzie. Pewnie pan nieco słyszał na temat handlowej głowy moich rodaków? O kierowcach taksówek opowiem panu taki dowcip: wsiada pasażer do taksówki i pyta kierowcę, ile od niego weźmie za podwiezienie do miasta? Kierowca odpowiada pytaniem: jesteście tutejszy czy cudzoziemiec? Jak to, z oburzeniem odpowiada pasażer, cudzoziemcom drożej kilometry liczycie? Nie, pada odpowiedź. Kilometry są po tej samej cenie, tylko jest ich więcej!*

Wyszliśmy przed budynek rektoratu. Mój opiekun skinął ręką, wołając jednocześnie: — *taxi!* I już zatrzymał się wielki czerwony Opel. Krótko, urzędowym tonem wydał kierowcy dyspozycję:

— *Proszę zawieźć naszego polskiego gościa do hotelu „Rifat Burdzewić", ulica Milana Rakića 77. Rachunek na druku P (Poslowno, służbowe) proszę dać pasażerowi.* — Podszedł do mnie z wyciągniętą na pożegnanie ręką. — *Do widzenia! Czekam na pana jutro rano, no powiedzmy o godzinie 11!*

Minęliśmy gmach Skupsztiny.

— To wasz najważniejszy budynek? — zauważyłem pytająco.

— *Panie, gadają tylko i gadają. O najprostsze sprawy kłótnie trwają całymi miesiącami. Niechby lepiej zrobili coś z tą inflacją, bo nas wykończy albo z tą całą biurokracją, co się nam też nieźle daje we znaki* — powiedział nieco podniesionym tonem. — *Żeby jako tako wyżyć, muszę jeździć 10, a nawet i 15 godzin na dobę? Czy pan to pojmuje? Kiedy ja kupię inny, w lepszym stanie samochód? Dziś u nas najlepiej pracować w handlu, albo samemu handlować. A może ma pan coś do sprzedania? Złoto, srebro, jakieś skóry, może kożuch?*

— Przykro mi, ale nie mam.

— *E tam, nie wierzę, żeby coś się nie znalazło. Z Polski zawsze coś przywożą!*

Jechaliśmy Bulwarem Rewolucji, w górę, do dzielnicy Zvezdara. Po obu stronach stojące domki nie zachwyciły mnie swoją urodą. Centrum też specjalnie nie zachwyciło, choć okolice placu Republiki spodobały mi się. Tu było prawie ciemno. Pojawiły się chatki, jakie trudno w którejkolwiek ze znanych mi stolic spotkać. Byłem zdegustowany. Dotychczas Belgrad widziałem od strony nowych dzielnic i starej części w okolicach mostu Gazela, przy zjeździe z autostrady w kierunku Ibarskiej magistrali prowadzącej do Cacku i nad Adriatyk. Nowoczesne dzielnice mogą się spodobać. Ale tu, nie wiem, jak przyjdzie mi wytrzymać wśród tych dziwnych domków, których nawet nie można porównać ze starymi Chojnami sprzed dwudziestu lat?.

Skręciliśmy w lewo.

— *Muszę dojechać do ulicy Tucovića, bo stąd nie ma wjazdu pod ten hotel, jak mówił ten gość pod uniwersytetem. To był bajer, jaki tam hotel? To dom studencki przerobiony z jakichś pomieszczeń gospodarczych, już nie pamiętam dobrze. Libijczycy go odbudowali, bo przyjeżdżali kiedyś do nas masowo. Wiesz pan, polityka* — objaśnił mój nowy przewodnik.

Wąski, stromy zjazd, jeszcze gorszy podjazd, kilkanaście zakrętów i stajemy przed miejscem, w którym miałem spędzić około stu dni. Zapłaciłem 900 dinarów, otrzymałem wzorowo wypełniony rachunek i pożegnaliśmy się.

— *Za bagaż nie liczyłem, bo lubię Polaków* — dodał na odjezdne.

OCZEKIWANIE.

Zebrałem swój inwentarz i udałem się za hałaśliwą grupą młodych ludzi idących w stronę oświetlonego jaskrawo wejścia. Wszedłem na dziedziniec. Po prawej i lewej stronie ukazały się wysmukłe pawilony dość lekkiej konstrukcji. Spadziste dachy, niezbyt wielkie okna. Wszystko w jasnych kolorach. Zadaszony podest przed wejściem do budynku. Kilka wysokich drzew i jakieś krzewy. Nie jest źle — pomyślałem.

Na portierni powitał mnie barczysty, uśmiechnięty młodzieniec.

— *Jestem portierem, to jest moja żona. Pracujemy tu razem. Wiem, że pan ma u nas mieszkać. Dzwoniono z Uniwersytetu. Zaraz pójdę poszukać kierownika, żeby pana gdzieś ulokował. Z Polski jest kilka osób. O tam, w tym oknie przy rynnie mieszka profesor z Polski. Są też studentki z Krakowa i lektorka języka polskiego, też z Krakowa. Idę po upravnika* (kierownika!).

Poszedł i przepadł, jego żona też za moment wyniosła się. W dyżurce zostało trzech kudłatych brodaczy, którzy oglądali transmisję koszykówki. Drużyna Crvenej Zvezdy przegrywała 71 do 83 z Ciboną. Padały okrzyki, z których nie wszystko jeszcze rozumiałem. Klęli chłopcy, jak szewcy wygrażając w stronę ekranu. Mecz się skończył, obejrzałem dnevnik (dziennik), co mi się nawet spodobało. Zbliżała się godzina 21.

— Gdzie ten portier? — zapytałem brodaczy.

— *Szuka upravnika* — odpowiedział jeden z nich, taki pryszczaty.

— *A ty skąd jesteś, z Rosji?* — zapytał.

— Nie, jestem Chińczykiem — odpowiedziałem — Nie widzisz, żółknę, a zaraz zzielenieję ze złości. Ładnie mnie tu przyjmujecie. Też macie niezły... — chciałem powiedzieć burdel, ale ugryzłem się w język. I dobrze, bo pojawił się maestro upravnik.

— *Wiem, dzwonił do mnie Zoran, że pana tu kieruje. Zaraz przyniosę klucz.*

Trwało to dobrych kilkanaście minut zanim portier dał mi klucz. Jeden z kibiców wziął moją walizkę i pomógł mi w odnalezieniu pokoju. Znalazłem wreszcie swoją przystań na długie miesiące! Nie więcej jak 10 metrów kwadratowych. Stały dwa łóżka, z których jedno było zajęte, dwa stoliki. Urządzone wszystko dość gustownie. Jest też łazienka, wnęka kuchenna, firanki na oknach. Umyłem się, zjadłem jabłko i runąłem na łóżko, zasypiając natychmiast.

Czteroletni Piotruś znalazł swoją śmierć sto metrów od domu, w przeciwpożarowym basenie.

Żółta piłeczka

NITOLD WERNER

Na miasto spadła chłodna, majowa noc. Było już dobrze po godzinie 23, gdy do gmachu Dzielnicowego Urzędu Spraw Wewnętrznych Łódź-Bałuty, weszła bardzo młoda, niepozornie wyglądająca kobieta. Jej sylwetka była tak drobna, a oczy takie wyleknione i zapłakane, że oficer dyżurny w pierwszej chwili chciał zapytać: *„Co tu robisz dziewczynko o tak późnej porze?"*, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Nikt przecież nocą bez powodu nie przychodzi na posterunek...

— *Co się stało?*

— *Mój czteroletni synek nie wrócił do domu z podwórka... Szukaliśmy go wszędzie, ale nigdzie go nie ma... Bardzo się martwię...*

Już po chwili wszystkie milicyjne patrole pełniące służbę na osiedlu Radogoszcz, drogą radiową otrzymały komunikat o zaginięciu dziecka:

— *Nazywa się Piotr M. i ma 4,5 roku. Ostatnio widziano go około godziny 17. Ubrany był w brązowy półgolf ze wzorem składającym się z trzech kotków, spodnie „ogrodniczki" na szelkach oraz kalosze. Nie zna ani swego nazwiska, ani adresu: na siebie mówi Popek. Zna natomiast imiona rodziców oraz brata Marcina...*

Równocześnie trwają już przygotowania do zakrojonej na szeroką skalę akcji poszukiwawczej. Na osiedle Radogoszcz przyjeżdżają kompanie ZOMO, sprowadzony także zostaje przewodnik z psem tropiącym. Ogółem, w tę chłodną i deszczową majową noc małego Piotrusia szukało ponad 300 funkcjonariuszy MO.

Założono kilka wersji zniknięcia dziecka. Uprowadzenie w celu wymuszenia okupu wyeliminowano prawie natychmiast: rodzice są wychowankami domu dziecka i należą do ludzi niezamożnych. W grę wchodziło więc albo uprowadzenie przez np. psychopatę czy maniaka seksualnego, albo też zwyczajne zagubienie się dziecka, ze wszystkimi konsekwencjami tego faktu.

lekceważy się żadnego sygnału — wszystko jednak na próżno. Dziecka nigdzie nie ma.

Jeszcze raz skrupulatnie wypytuje się rodziców i sąsiadów o ostatnie chwile, w których widziano dziecko. Może ktoś przypomni sobie jakiś szczegół, który rzuci światło na tę mroczną zagadkę?

— *Ze swego balkonu często widywałam Piotrusia, jak bawił się z innymi dziećmi w piaskownicy. Akurat wyszłam z psem na spacer. Która to była godzina? Nie wiem, nie patrzyłam na zegarek, ale pamiętam, że jechali kolarze. Poszłam o tam, w stronę tego płotu spółdzielni. Widziałam, jak Piotruś drażnił się z psem przez siatkę. Był z nim jakiś chłopiec, starszy od niego, ubrany w czerwoną kurtkę. Mówię Piotrusiowi: „Nie drażnij się z psem, bo cię ugryzie!". Ale on tylko wzruszył ramionami i dalej kręcił się przy siatce. Gdy wróciłam do domu, to kończył się „Teleexpress". Więcej już go nie widziałam.*

— *Podlewaliśmy ogródek — przed blokiem, mieszkańcy parterów urządzili sobie miniogródki. W ogródku krzątali się także rodzice Piotra. Widziałem, że sąsiedzi pożyczyli im wąż do podlewania — ot, taka sąsiedzka pomoc. Wtedy właśnie matka zawołała małego do domu, ale nie chciał jeszcze wracać i pobiegł w stronę śmietnika. Która to mogła być godzina? Pewnie około 19...*

Tymczasem milicyjny

RODZINNY DOM PIOTRUSIA

znajduje się na peryferiach osiedla. Z dwóch stron otaczają go mieszkalne bloki, z trzeciej strony sąsiaduje z terenem spółdzielni „Introplast", czwarta — to kilka jednorodzinnych domków i ogródki działkowe, za którymi — jak okiem sięgnąć — rozciągają się podmokłe, bagniste łąki.

Przy świetle elektrycznych latarek milicjanci systematycznie, metr po metrze, przeczesują cały teren łąk i ogródków działkowych. Wraz z sąsiadami, którzy ochotniczo zgłosili się do poszukiwań, krążą po osiedlowych uliczkach, zaglądają we wszystkie zakamarki okolicznych budów, grzebią w brudnej wodzie fundamentowych wykopów. Sprawdzają także wszystkie miejsca, w których dziecko mogło przebywać: znajomych, sąsiadów, rodzinę. Nie

PIES PODEJMUJE TROP

i uparcie prowadzi swego przewodnika w okolice płotu okalającego spółdzielnię „Introplast" w miejsce, gdzie znajduje się dziura o rozmiarach umożliwiających przeciśnięcie się nawet dorosłemu człowiekowi. Tuż za płotem, w odległości około 2 metrów, znajduje się basen przeciwpożarowy, prawie po brzegi wypełniony mętną wodą. Na razie nikt głośno nie wyraża swych myśli, ale wszyscy są pełni najgorszych przeczuć...

Zaczyna siąpić deszcz. Pies raz po raz gubi ślad; przeszukanie basenu w takich warunkach, w dodatku bez specjalistycznego sprzętu, jest niemożliwością. Ten wątek poszukiwań postanowiono odłożyć do rana.

Do rana także postanowiono odłożyć wyjaśnienie kolegów z piaskownicy. Byli za mali, aby budzić ich nocą...

Rano czteroletni Radek zaprowadził milicjantów przed dziurę w płocie. Wyjaśnił:

— *On tam psechodził, ale ja nie psechodziłem...*

Około godziny dziesiątej, na ulice Bałut wyjeżdżają milicyjne radiowozy i przez megafony odczytują przechodniom komunikat o zaginionym dziecku. Może ktoś widział, może ktoś wie coś o jego losie?...

Równocześnie na terenie spółdzielni „Introplast" do działania przygotowuje się

EKIPA PŁETWONURKÓW

z klubu PTTK „Tryton". Istnieje zwyczaj, że przy penetracji nieznanego akwenu, do wody schodzi tylko jeden człowiek. Inni ubezpieczają go z powierzchni, w każdej chwili gotowi do niesienia mu pomocy. Tak było i tym razem. Na krawędzi basenu, czujnie wpatrzony w bąble powietrza, wyznaczające podwodną drogę kolegi, stał drugi płetwonurek, ubrany w piankowy kombinezon, maskę, płetwy i akwalung.

Z zapartym tchem — jak wszyscy — czekał na wynik poszukiwań. Jak wszyscy — miał nadzieję: może to tylko fałszywy trop? Może Piotrusia wcale nie było tu poprzedniego wieczoru?

Po kilku minutach nad powierzchnią wody ukazała się twarz mężczyzny w masce do nurkowania. Płetwonurek holował za sobą niewielkie, bezwładne ciało dziecka. Złudzenia prysły jak mydlana bańka...

W eter poszedł komunikat:

— *Do wszystkich radiowozów. Przerwać nadawanie komunikatu. Znaleźliśmy dziecko...*

Ciało dziecka znaleziono w narożniku basenu, w miejscu, skąd do dziury w płocie było zaledwie 2—2,5 m. Leżał na dnie twarzą do ściany, z wyciągniętymi w górę rękami. Można było odnieść wrażenie, że malec do ostatnich chwil próbował trzymać się śliskiej krawędzi, gdy zsuwał się w dół, w mokrą topiel. Nie miał jednak najmniejszych szans...

KTO JEST WINIEN ŚMIERCI DZIECKA?

Dziś, przed zakończeniem śledztwa, nie można na to pytanie jednoznacznie odpowiedzieć. Wiadomo jednak z całą pewnością, że basen był ulubionym miejscem zabaw. To właśnie z basenu najpierw nabierało się wody do platikowych butelek i na ulicy urządzało „śmigus-dyngus", a później siedziało się nad brzegiem i wrzucało w wodę kamienie. O tym, że na terenie spółdzielni bawią się dzieci, było wiadomo jej pracownikom: portier niejednokrotnie je przecież stamtąd przepędzał. To prawda, że z okna portierni nie widać miejsca wypadku, ale o dziurze w płocie wiedzieli wszyscy.

Z drugiej strony wiadomo także, że Piotruś całymi dniami przebywał na podwórku sam, bez opieki rodziców. Pierwszy wychodził przed blok, ostatni wracał do domu. Jego ulubionym miejscem zabaw była albo piaskownica, albo śmietnik. Ten i ów widział, jak dziecko piło wodę z kałuży, ktoś przypomniał sobie, że widział malca jedzącego coś w śmietniku, jeszcze inny wspominał, jak Piotruś przyszedł do niego i wołał jeść, bo jest głodny... Nie ma to jednak już większego znaczenia, znaczenie ma jedynie niepotrzebna śmierć.

JAK DOSZŁO DO WYPADKU?

Czy chłopiec za płotem znalazł się przypadkiem, czy też ktoś go tam zaprowadził? Tego nie dowiemy się już nigdy.

Być może wyglądało to tak: Piłka, którą bawił się Piotruś, w jakiś sposób znalazła się za ogrodzeniem. Może ktoś (chłopiec w czerwonej kurtce?) mu ją tam wrzucił? Dziecko poszło po zabawkę, sięgnęło rączką do wody, straciło równowagę i znalazło się w basenie. Przerażone, jeszcze próbowało się ratować. A gdy zniknęło zupełnie pod powierzchnią wody, na falach kołysała się jedynie mała, żółta piłeczka...

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer 30-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

22 czerwca — TERESA JERZYKOWSKA — godz. 10—16
29 czerwca — RYSZARD BINKOWSKI — godz. 10—16

Dyżury reporterów „Odgłosów" przy redakcyjnym telefonie trwają już kilka tygodni i od kilku tygodni trwa oczekiwanie na „prawdziwe, reporterskie tematy" podpowiedziane nam przez Czytelników, na sygnały o sprawach ważnych, ciekawych, intrygujących, takich, o jakich sami chcielibyście w „Odgłosach" przeczytać. Tymczasem w rozmowach telefonicznych wciąż dominuje „problematyka dnia codziennego", sprawy na pewno ważne dla naszych rozmówców, ale które z uwagi na ich jednostkowy, wycinkowy charakter skwitować możemy jedynie krótką notatką w tej rubryce.

I tak na przykład ostatnio nasi Czytelnicy **skarżyli się na niekompetencje pracownic II inspektoratu PZU** przy ul. Piotrkowskiej, które nie potrafiły udzielić odpowiedzi, co dzieje się ze zgłoszoną miesiąc wcześniej sprawą skradzionego samochodu; **na złe w porównaniu z innymi placówkami zaopatrzenie sklepu spożywczego przy zbiegu ulic Promińskiego i Armii Czerwonej; na różne godziny pracy urzędów w soboty (propozycja, by wszędzie były one te same!); na brud na oddziale zakaźnym Szpitala im. Biegańskiego, a szczególnie** — w pomieszczeniach dostępnych dla osób odwiedzających; **na skandaliczne zachowanie się kibiców** na meczach piłkarskich (pisaliśmy już niejednokrotnie na ten temat!); **na mały wybór napoi i słodyczy w kawiarni „Grand Hotelu" w niedzielny wieczór.**

O swojej dramatycznej sytuacji opowiedziała nam samotna matka z dwojgiem dzieci, mieszkająca w kamienicy przy **ul. Wólczańskiej 230.** Od lat stan techniczny jej mieszkania jest fatalny, co potwierdzały różne komisje, ale „kwaterunek" nic nie robi, by podnieść standard lokalu, zaś lokatorki nie stać na pokrycie kosztów kapitalnego remontu. Mamy nadzieję, że powyższą sprawą zajmie się **Wydział Spraw Lokalowych Urzędu Dzielnicowego,** któremu jest ona dobrze znana i raz jeszcze spróbuje pomóc jakoś samotnej kobiecie. Nie będzie to na pewno łatwe, gdyż wszyscy dobrze znamy trudności z mieszkaniami w Łodzi, ale może w tym konkretnym przypadku coś da się jednak zrobić?

Odnotowujemy też — godne rozpatrzenia, naszym zdaniem — propozycje: aby w rozkładzie jazdy pociągów węzła łódzkiego znalazło się **odrębne zestawienie wszystkich pociągów przyjeżdżających i odjeżdżających z Łodzi,** co bardzo ułatwiłoby posługiwanie się tym rozkładem; aby **kolorowe telewizory stojące bezczynnie w dyrektorskich gabinetach przekazać szkołom, szpitalom i innym placówkom,** gdzie byłyby one lepiej wykorzystane.

I na koniec sprawa, którą — w imieniu mieszkańców **ulicy Sulejowskiej i sąsiednich w Piotrkowie Trybunalskim** — polecamy szczególnej uwadze władz tego miasta. Otóż przy wspomnianej ulicy pod numerem 31 od dziesięciu lat znajduje się targowisko, na którym zamiast handlu odbywają się libacje alkoholowe, burdy i często dochodzi do chuligańskich wybryków. Targowisko pozostaje bez żadnej opieki, jest mocno zdewastowane, a jego sąsiedztwo napawa coraz większym lękiem mieszkańców okolicznych domów. Wydaje się nam, że skoro miejsce to nie jest wykorzystywane zgodnie z przeznaczeniem, to może warto zastanowić się, czy nie należy przeznaczyć je na jakiś inny cel. A na razie na pewno przydałby się lepszy nadzór ze strony służb porządkowych.

REDAKTOR DYŻURNY

ZAKŁADY PRZEMYSŁU KONFEKCYJNEGO
Łódź, ul. Traktorowa 148/158,
tel. 52-06-30, telex 886716

ZAKŁADY PRZEMYSŁU KONFEKCYJNEGO „DANDYS"
UBIERAJĄ CAŁE RODZINY

Dzięki wyposażeniu w nowoczesny park maszynowy możliwości asortymentowe zakładów są bardzo szerokie i obejmują:
- **ubrania męskie,**
- **marynarki,**
- **spodnie damskie i męskie,**
- **żakiety damskie,**
- **płaszcze damskie,**
- **kurtki damskie,**
- **kostiumy damskie,**
- **ubrania chłopięce**

z tkanin wełnianych i wełnopodobnych, bawełnianych i bawełnopodobnych, lnianych i elanolnianych.

Zakłady posiadają opinię zakładu markowego na wielu rynkach zagranicznych. Osiągnięty poziom technologiczny umożliwia wykonanie atrakcyjnej konfekcji na rynek krajowy. Wyroby ZPK „Dandys" można nabyć przede wszystkim w sklepach patronackich:
Ciechanów — sklep nr 1- „Jubilat", ul. Sikorskiego 11,
Gdańsk — sklep nr 1/029, ul. Szeroka 11/12,
Łódź — sklep nr 514, ul. Piotrkowska 43,
Olsztyn — sklep nr 251, ul Zwycięstwa,
Płock — pawilon nr 20, ul 1000-lecia 11,
Włocławek — sklep nr 1, ul. Piekarska 4
Wrocław — dom handlowy „Odra", ul. Jedności Narodowej 72.

DANDYS'87

1548/k

Jokol PRZEDSIĘBIORSTWO POLONIJNO-ZAGRANICZNE

w Łodzi, ul. Kilińskiego 159/163

ZATRUDNI NATYCHMIAST

- szwaczki do zakładu konfekcyjnego
- pracowników do wytwórni watoliny i belowania odpadów włókienniczych
- szwaczki do szycia blamów oraz kuśnierzy do produkcji wyrobów futrzarskich i kożuchów.

Wszelkich informacji udziela dział kadr Łódź, Kilińskiego 159/163, tel. 74-18-40.

Przedsiębiorstwo nie zatrudnia osób po porzuceniu pracy.

2806/k

SPOŁEM WSS ŁÓDŹ
ODDZIAŁ SPÓŁDZIELCZYCH DOMÓW HANDLOWYCH

„CENTRAL"

ZAPRASZA
DO SWOICH STOISK W SDH

przy ul. Piotrkowskiej nr 165, ul. Piotrkowskiej nr 100 oraz w Pabianicach przy ul. Kilińskiego 1, i ul. Marchlewskiego 18.

- **Patronaty czołowych firm przemysłu lekkiego, elektromechanicznego i metalowego.**
- **Szeroko prowadzone wymiany z ZSRR, ChRL, WRL, CSRS, NRD, Austrią, Holandią, RFN.**
- **Fachowa i kulturalna obsługa**

GWARANTUJĄ UDANE ZAKUPY.

ZAPRASZAMY
1547-k

„Biedna konstrukcja człowieczego lęku
Żyrafa kopcąca się tak pomaleńku
Tak
To jest coś"

(Stanisław Grochowiak)

W głośnym przed kilku laty filmie pt. „Walka o ogień", w którym bohaterem jest człowiek pierwotny, na ekranie króluje strach. W obrazie tym autorzy pokazali narodziny humoru w jednej z końcowych scen. Nie jest to zresztą żadna nowość, że humor i śmiech powstały dużo później od strachu. Uczucie strachu jest dane tak zwierzętom, jak i ludziom. Choć temat ten był i jest dość drażliwy i niechciany, częściej z nim mamy do czynienia niż z heroizmem czy odwagą. Ale normalna to w końcu rzecz, chować nasze wady. Tylko czy rzeczywiście strach jest ułomnością, której trzeba się wstydzić? Oczywiście nie! Czemu, między innymi, dał wyraz profesor Kępiński w pracy pt. „Lęk". O ile jednak psychologowie i psychiatrzy podejmowali ten temat to nie był on poruszany przy omawianiu historii czy dziejów kultury.

Boimy się właściwie przez całe nasze życie, oczywiście innych rzeczy będąc dziećmi, innych — młodymi, innych wreszcie — na starość. Jakkolwiek jednak byśmy nie nazwali wszystkich krążących wokół nas strachów, najpoważniejszym jest zawsze ten przed śmiercią. Strach i jego różnorodność zależy także od czasu, w jakim żyjemy. Oto dziś wychodząc na ulicę boimy się jadących zbyt szybko samochodów, natomiast czego bali się ludzie czeterysta, pięćset i więcej lat temu, próbuje w książce wydanej w 1986 roku pt. „Strach w kulturze zachodu" powiedzieć nam Jean Delumeau.

Autor we wstępie był napisał, że do tematu, którego się podjął, nie miał żadnego wzorca, a więc praca stanowiła dla niego ciekawą intelektualną przygodę. Dodam, że dla czytelnika zagłębiającego się w poszczególne rozdziały, także jest to ekscytująca przygoda. Dalej Delumeau wprowadził ciekawe i ważne dla dalszego ciągu książki rozróżnienie między strachem a lękiem (nie trwogą, jak jest źle przetłumaczone w tekście). Do strachów zaliczył grozę i przestrach, oczywiście listę można byłoby rozbudować i dodać: osłupienie, przerażenie, przelęknienie. Lęk natomiast to niepokój, obawa, melancholia. Krótko mówiąc strach występuje przed czymś konkretnym, lęk natomiast jest oczekiwaniem na bliżej nie sprecyzowane niebezpieczeństwo.

Delumeau napisał: *„W niegdysiejszych cywilizacjach jutro było bardziej przedmiotem lęku niż nadziei."* Człowiek bał się właściwie wszystkiego: obcych i sąsiadów, burzy, czarów, chorób, morza i diabła, *„...niegdyś strach był wszędzie — obok człowieka i przed nim"*. Autor omawia wielką liczbę strachów męczących przed wiekami ludzkość i na pewno dużo z nich przetrwało do dnia dzisiejszego.

Strach, diabły, Żydzi, kobiety i zło

W tym miejscu przychodzi mi na myśl Stanisław Vincenz, który napisał: *„Nie utracić raz zdobytej, a tak drogo okupionej wiedzy o tym, co grozi, i czuwać — oto zadanie mitu"*. Ładna to myśl, choć wydaje się, że obecnie kiedy wyobraźnia w wyniku ogromnego rozwoju techniki staje się coraz bardziej ograniczona, niewielką rolę odgrywa mit. Żyjemy w czasach, które, być może, tylko ukryły wiele naszych zbiorowych lęków i nikt nie jest w stanie powiedzieć, w jakich sprzyjających okolicznościach pojawią się znowu. Oczywiście, zmniejszyła się skala strachów, dziś na przykład nie boimy się wiązania sznurówek.

Wyjaśnię, na czym polegał ów obrzęd. Otóż, kiedyś wierzono, że czarownica, za pomocą specjalnych węzłów na sznurkach i zaklęć przy tym wypowiadanych, może pozbawić małżonków potencji lub płodności, oczywiście dokonując całego procederu podczas uroczystości zaślubin. Albo któż dziś dałby wiarę, że złe sny przynosi tajemnicza i podła istota zwana koszmarnicą.

W pierwszej części, noszącej tytuł: „Strach większości" pojawia się tyle drobnych nękających przed wiekami ludzi strachów, że wyliczenie ich wszystkich zajęłoby więcej miejsca, niż jest przeznaczone na ten artykuł. Dokładnie omówione są zbiorowe reakcje w czasie dżumy i podczas buntów. Część druga („Kultura warstwy przywódczej a strach") mówi o lęku, który został jakby skonkretyzowany. W czasach zagrożenia tureckiego, licznych wojen, buntów i zarazy, lęki nasilające się pod wpływem tych wydarzeń zostały ukierunkowane przez warstwę rządzącą i elitę umysłową i nazwane szatanem.

I tutaj ciekawe spostrzeżenie autora: *„Tak więc wbrew temu, co sądził Stendhal i wielu innych po nim, właśnie na początku czasów nowożytnych, nie zaś w średniowieczu, piekło, jego mieszkańcy i popleczniey najmocniej zawładnęli wyobraźnią ludzi Zachodu"*. Pisarze XVI-wieczni byli przekonani, że szatan jest wszędzie, dzięki czarom potrafił nawet uśmiercać ludzi, a lista jego postępków była praktycznie nie do zliczenia. Podejmowano natomiast próby wyliczenia demonów. Jedni szacowali ich liczbę na 7 409 127, inni na 7 403 920, jeszcze inni twierdzili, że jest ich więcej i wreszcie byli tacy, którzy utrzymywali, że każdy człowiek posiada własnego demona. Ale szatan ówczesnym ludziom potrafił spłatać i taką „diabelską sztuczkę": omotał wszystkich, którzy w niego wierzyli i dał zarazem rękojmię, by usprawiedliwić zbrodnie kolonizatorów w Ameryce. Wszystko zło, które czynili, czynili po to by zniszczyć diabła, który krył się pod postacią Indian. Delumeau napisał, że była to: *„Najznakomitsza kuglarska sztuczka zachodniego demona..."* Szatan usprawiedliwiał też wszelkie napaści na Żydów, którzy mieli być *„dziećmi diabła"*.

W książce cytowanych jest kilka histerycznych wypowiedzi Lutra przeciw Żydom. Oto jedna z nich: *„Należałoby dla uniecestwienia tej bluźnierczej doktryny, podłożyć ogień pod wszystkie ich synagogi, a jeśliby po tych pożarach co zostało, zasypać piaskiem i błotem, aby nie widać było najmniejszej dachówki (...) Trzeba zakazać Żydom u nas i na naszej ziemi, pod karą śmierci, chwalić Boga, modlić się, nauczać, śpiewać"*. W XX wieku wszystkie te postulaty w pełni urzeczywistnili hitlerowcy. Innym kozłem ofiarnym wielu kaznodziejów stała się kobieta, istota, którą uważali za nosicielkę wszelkiego zła. Autor przytacza listę zarzutów wobec kobiet, ilość owych zarzutów, pomijając już te zupełnie niedorzeczne, w dzisiejszych czasach zaskoczyłaby najzagorzalszego antyfeministę. *„Kobieta, to zło wspaniałe, ta rozkosz złowroga, jadowita i zwodnicza, oskarżona była przez płeć przeciwną o sprowadzanie na ziemię grzechu, nieszczęcia i śmierci"*.

Jean Delumeau przy pomocy wielu przykładów (pracował nad książką dziesięć lat i zebrał ogromny materiał) udowadnia, że w Europie między rokiem 1348 a XVIII wiekiem występowało zjawisko nasilającego się strachu, którego apogeum przypadło na XVI wiek a nie „mroczne" średniowiecze. Książka ta stara się pokazać, jak wielką rolę w historii pełnił strach, ile zależało od tego drzemiącego w nas uczucia, które odpowiednio podsycane, wielokrotnie w przeszłości stawało się niebezpieczną falą niszczącą wszystko, co napotkało na swej drodze.

A gdyby ktoś zapytał, dlaczego napisałem właśnie o tej pracy i w ogóle o strachu? Odpowiadam: ponieważ niedawno pisałem o humorze, a równowaga przecież musi być!

Zacząłem fragmentem wiersza, tak i skończę:

„Mentwet skaczesz,
Nim zapłaczesz.
Źle żyjesz,
Zawyjesz!
Śmierć nie śmiech,
Dudy w miech.
(Józef Baka)

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

1 Lewym okiem

Cisza wokół radia

Ostatnio z przyczyn tak zwanych niezależnych ode mnie dużo słucham radia, i czasem mam ochotę podzielić się swoimi uwagami na temat programów radiowych. Ale zaraz ogarniają mnie wątpliwości; podzielić się ale z kim i po co? Ze wszystkich środków masowego przekazu radio zestarzało się najszybciej. Nikt nie podchodzi do słuchania programów radiowych tak jak do czytania książki, jak do oglądania spektaklu w teatrze lub w kinie, lub choćby jak do oglądania filmu w telewizji. Radia się nie słucha, radio stanowi tło dla powszednich, domowych czynności. Tak sobie brzęczy w kąciku, czasem zafrapuje trochę jakimś mówionym słowem, wtedy się przerywa wałkowanie ciasta czy inne jakieś zajęcia domowe, poświęca parę minut słuchaniu tego, co płynie na falach eteru.

Twóry radiowi są w położeniu o wiele gorszym od twórców innych specjalności. W przedwojennym tygodniku literackim „Pion", w każdym numerze znajdowało się krytyczne recenzje z ubiegłego tygodnia, omówienia słuchowisk, tak jak omawia się sztukę teatralną lub film. Nie bardzo wiem, kto te omówienia czytał, oczywiście przede wszystkim sam autor słuchowiska, dla niego było to niezmiernie ważne, była to właściwie najważniejsza reakcja, na jaką czekał, ocena jego dzieła. Czytając ją mógł mieć pewność, że nie gadał w próżnię. Poza tym cóż słuchaczowi po omówieniu słuchowiska, które już było, już się nie powtórzy, już nie wróci, już nie sięgnie się po nie jak po książkę, by sprawdzić ponownie swoje wrażenia.

Owszem, omawia się i teraz programy radiowe, zwłaszcza tę najistotniejszą formę przekazu radiowego, jakim jest specjalnie dla radiofonii pisane słuchowisko. Streszcza się je, podaje się streszczenie do publicznej wiadomości, ale czyni się to wszystko z góry, mianowicie na łamach tygodnika „Antena". Są to wszystko notatki reklamowe, zachęcające do włączenia aparatu o określonej godzinie, w określonym dniu. To nie są notatki krytyczne.

Radio ma swoją specyfikę, którą można polubić, ale jest to mimo wszystko specyfika pozbawiona wszystkich elementów poza elementami słuchowymi. Nie ma tu przestrzeni zagospodarowanej jak w teatrze, nie ma gry kolorów jak w malarstwie, nie ma działania obrazem jak w kinie lub telewizorze, jest wyłącznie dźwięk. Dźwiękiem autor musi przekazać słuchaczowi wszystkie wrażenia i wzruszenia. To bardzo trudna sztuka, dobrych słuchowisk jest bardzo niewiele, takich które można nazwać dziełami sztuki, a wydaje mi się, że nawet te nieliczne, jakie istnieją nie pozostają w pamięci szerokich rzesz odbiorców.

Nazwiska reżyserów radiowych powtarzane dziesiątki razy dziennie nie są mimo to znane, powiedziałbym, nikomu. Nie istnieje żadna publiczna giełda, na której ustalono by jakąś hierarchię wartości talentów reżyserskich, radiowych. Zresztą to samo dotyczy aktorów, biorących udział w słuchowiskach.

Myślę, że radio będzie musiało coraz bardziej ograniczać się do roli przekazu informacji, no i muzyki — i może jeszcze pięknej recytacji, która zresztą, moim zdaniem, prawie, że nie istnieje. Myślę też, że nie od rzeczy byłoby zastanowić się jak uruchomić aparat krytyczny także w odniesieniu do sztuki radiowej. Może na przykład przed puszczeniem programu w eter zaprosić do studia grono publicystów, odtworzyć im najambitniejsze pozycje, niechby o nich napisali, niechby je ocenili, skrytykowali, przeanalizowali, niechby o tym napisali może najpierw właśnie w prasie. Z czasem mogłaby się chyba narodzić z tego dyskusja o programach radiowych, wymiana zdań, której tak bardzo brak, która przełamałaby ciszę wokół dużej domeny twórczej, społecznej działalności ludzkiej.

W tej chwili jest tak, że radio dociera wszędzie, że słuchamy go mniej czy więcej wszyscy, a nie zająknie się o nim, nie poświęci mu najmniejszej uwagi ani krytyka doraźna, codzienna, wspomagająca, pouczająca, ani pogłębiona, podbudowana filozoficznie publicystyka.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2 Przerwa śniadaniowa

Pepsi cola i liść łopianu

— Strasznie gorąco! — pani Lala kokieteryjnie odpięła guzik bluzki — że też człowiek musi w taki upał pracować.

— Pani w czasie wiosennych chłodów też niezbyt się przykładała — pan Zenek spojrzał surowo znad okularów typu „urbanówki", które sprawił sobie po awansie na zastępcę kierownika sekcji — pan, panie Dareczku, też dzisiaj niezbyt pracowity? Wciąż tylko telefony do „kuzynek"...

Pan Henio szybko schował nadgryzioną bułkę, zmiótł rękawem okruchy z biurka i rozłożył przed sobą teczkę z dokumentami. — A swoją drogą — powiedział — rzeczywiście dziś gorąco. Żeby tak butelka wody mineralnej albo choć sodowej — dodał, spoglądając ze współczuciem na dekolt pani Lali.

— W bufecie masz pan „pepsi colę", „cytrynkę" i różne inne, za przeproszeniem, g... w płynie. Wody mineralnej, panie Heniu nie ma, nie było i nie będzie — pan Dareczek rzucił spojrzenie na pana Zenka — nie ma, bo polityka fiskalna jest taka. Nie opłaca się produkcja.

— Dlaczego pan sądzisz, że to polityka fiskalna jest winna? I co pan masz przeciwko pepsi coli?

— Przeciw pepsi? Broń Boże, nic nie mam. Używam jej do czyszczenia chromowanych części samochodu. Bardzo skuteczna. A polityka fiskalna? Zaraz wyjaśnię: producent napojów „chłodzących", panie Zenku, bierze zwykłą wachę z kranu i dodaje do niej jakiegoś słodkiego świństwa, następnie gazuje tę wodę kwasem węglowym i butelkuje. Na etykiecie wypisuje, co mu tam do głowy przyjdzie: a to „cytrynka" a to „lemoniada" a to znów „oranżada" albo jeszcze coś gorszego. Sprzedaje toto za cenę dwukrotnie wyższą niż cena samej gazowanej wody. I komisja cen się na to zgadza. No to, po co ma robić tańszą wodę sodową? Zwłaszcza, że wtedy musi tę wodę jakoś oczyścić z chloru. Robota taka sama, może nawet większa, zysk mniejszy.

— W takim razie należy podnieść cenę wody sodowej.

— Dokładnie to samo myślę, panie Heniu. Tylko na tę wyższą cenę, to akurat zgodzi się pan i ja, to znaczy — konsumenci, którym wątroba się wykręca na sam widok etykiety „napój jabłkowy nieklarowany". Ale komisja cen nie zgodzi się za Chiny! W oranżadzie jest cukier, jakieś tam inne świństwa i trucizny, to wszystko kosztuje. A w sodówce? Tylko woda i gaz! Musi być tańsza... Co to praktycznie oznacza? No to właśnie, że jej nie ma. A gdyby nawet mogła być droższa, to jako produkt ze zwiększoną marżą byłaby obłożona większym podatkiem. Tak doszliśmy do polityki fiskalnej!

— Pan zapomina, prawda, że wodę sodową produkują niejednokrotnie, prawda, prywatni wytwórcy. Nie można dopuścić, żeby osiągnęli nienależne zyski — pan Zenek, jak zwykle był pryncypialny.

— Nie zapominam, niestety. Pan słyszałeś, że jakiś rzemieślnik, bodajże gdzieś w Krakowskiem, skupuje makulaturę po wyższych cenach niż punkty skupu i robi z niej papier toaletowy, który znów sprzedaje po cenach niższych niż państwowy producent?

— To wspaniale, pewnie go tam, w Krakowskiem na rękach noszą? — pan Henio, jak zwykle był „naiwnym entuzjastą".

— Może niekoniecznie, dajmy na to, na rękach. Może też niekoniecznie noszą, ale wzywają co chwila do Urzędu Skarbowego. Kontrole mu nasyłają i w ogóle, uprzyjemniają życie, jak tylko mogą...

— Pewnie w tym jego interesie coś jest nie w porządku, jakieś tam kanty idą albo co...

— Święte słowa, panie Zenku! Pan myślisz dokładnie tak, jak te urzędniki — droga awansu przed panem stoi otworem! Skoro papieru toaletowego nie ma, to znaczy, że się nie opłaca go produkować. A jak ten rzemieślnik produkuje, dajmy na to, ten deficytowy papier, taniej go sprzedaje a drożej kupuje surowiec, to on na pewno jest kanciarz, szubrawiec, jednostka antyspołeczna, która nam hamuje postęp i wszystkie naraz etapy reformy gospodarczej. Najlepiej go do pudła, a naród, dajmy na to, w poczuciu sprawiedliwości niech podciera d... liściem łopianu!

Panna Kalinka zaczerwieniła się i wyszła. Zapadło milczenie.

KAROL O.

3 Pod prąd

Druga natura

Wszyscy mi mówią, że ostatnio stałem się taki jakiś... bardzo drobiazgowy. I rzeczywiście, sam też zacząłem to u siebie zauważać.

Oto na przykład w sklepie ekspedientka nie wydaje mi 50 groszy reszty, gdyż — jak twierdzi — nie ma akurat drobnych. Inny machnąłby ręką, bo 50 groszy to żaden pieniądz, skoro niczego za tyle nie można kupić, inny, ale nie ja. Ja uparcie domagam się owej zabytkowej, że tak powiem, monety i nie przyjmuję do wiadomości propozycji ekspedientki, że wyrówna mi stratę przy najbliższej okazji, jak też nie godzę się, aby ona była stratna przeze mnie nawet o 10 groszy. Uważam po prostu, że rachunki należy regulować do końca i od razu.

W księgarni kupuję kryminał i dostaję go „luzem" bez jednego choćby słowa wyjaśnienia, jakby było oczywiste, iż książek się u nas nie pakuje. Inny na moim miejscu schowałby kryminał do teczki lub kieszeni i poszedł sobie. Ja stanowczo żądam zapakowania w papier i przywiązania sznurkiem.

W sklepie garmażeryjnym proszę o pół kilograma pasztetu — sprzedawczyni odkrawa brudnym nożem kawałek, brudnymi rękami kładzie go na brudnej wadze... Inny na moim miejscu zamknąłby co najwyżej oczy, ja obserwuję wszystko spokojnie, a gdy przychodzi do płacenia, oświadczam z uśmiechem, że właśnie rezygnuję z zakupu, wzbudzając, rzecz jasna, złość sprzedawczyni i zdumienie stojących za mną klientów.

Ale nie tylko w sklepach bywam taki drobiazgowy, o nie. Jadę, powiedzmy, pociągiem pośpiesznym, który dociera na miejsce z półgodzinnym opóźnieniem, i co robię? Wszczynam oczywiście karczemną awanturę o zwrot przynajmniej w części pieniędzy za bilet. Albo: następuje awaria centralnego ogrzewania i przez cztery dni mam lodówkę w mieszkaniu. Od razu piszę do administracji, żeby pomniejszyli mi opłatę za ogrzewanie, a jeśli nie, to i tak nie zapłacę.

Znajomi tłumaczą mi, że takie postępowanie do niczego nie prowadzi, że niepotrzebnie utrudniam życie sobie i innym, denerwuję się, narażając na zawał serca lub wylew krwi do mózgu, że lepiej nie zwracać uwagi na takie drobiazgi. Ale ja jestem uparty jak osioł i ani mi w głowie ustępować. To znaczy, przepraszam, raz usłuchałem dobrych rad i na próbę postanowiłem przez jeden jedyny dzień spojrzeć na życie z dystansu, starając się bagatelizować wszystkie mniej ważne sprawy i sprawki. Było to jakieś dwa tygodnie temu.

Już z samego rana doszedłem do wniosku, że nie będę się golił, bo przecież nazajutrz i tak odrośnie. Opuściłem więc dom nie ogolony. Potem, jadąc tramwajem do pracy, nie skasowałem biletu, gdyż nie mogłem go znaleźć. Nieważne — pomyślałem — jutro skasuję dwa i nikt przez to nie straci. Przez jezdnię przeszedłem przy czerwonym świetle, usprawiedliwiając się tym, że byłem już trochę spóźniony. W pracy pozwoliłem sobie zatelefonować do rodzinki w Szczecinie i rozmawiać z nią dobre pół godziny na koszt firmy, która przecież z powodu jednego mojego telefonu na pewno nie zbankrutuje, skoro inne nie zbankrutowały dotąd z dużo ważniejszych przyczyn, choć powinny. W restauracji podczas obiadu przez przypadek wylałem prawie całą zupę z talerza na czysty biały obrus, wyjaśniając spokojnie kelnerowi, żeby na mnie nie krzyczał, bo obrus prędzej czy później trafiłby niechybnie do pralni. W przejściu podziemnym tak mnie przycisnęło, że opróżniłem pęcherz wprost na drzwi zamkniętej na głucho toalety, która zgodnie z tabliczką, powinna być o tej porze czynna. Wieczorem zaś, a już właściwie nocą, pozwoliłem sobie posłuchać trochę głośniej V Symfonii Beethovena, będąc najgłębiej przekonany, że sąsiedzi nie słyszą lub też, jeśli słyszą, to również lubią posłuchać po ciężkim dniu dobrej muzyki. Okazało się jednak, że ci z dołu gustują tylko w kudłatych szarpidrutach, każdy takt mistrza z Bonn natychmiast wywołuje u nich wysypkę na całym ciele, a poza tym — mają małe dziecko.

Kiedy przyjechała milicja i wyważyła drzwi (niestety, głos dzwonka zginął gdzieś zupełnie w finałowym allegro) od razu domyśliłem się, w czym rzecz, toteż wcale nie próbowałem protestować. I słusznie! Wychodząc bowiem prowadzony pod pachy przez dwóch funkcjonariuszy, zauważyłem mimochodem, iż była godzina 0.15. Mój dzień skończył się dokładnie kwadrans wcześniej. To wyjaśniało całą sprawę — oczywiście tylko mnie, bo przecież nie milicji.

I jak tu nie wierzyć przysłowiu, że przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka?!

JÓZEF RETMAN

ZYGMUNT WÓJCIK

Głupota w jednych portkach

Złapałem go za kołnierz palta i potrząsnąłem nim tak, jakbym miał utytłanego w gównie zwierzaka, z którego chcę go oczyścić, a potem pochyliłem się do jego ucha i dość cicho, żeby żona i dzieci nie słyszały, a przede wszystkim moja stara matka, powiedziałem, że jest bydlakiem, osłem i capem śmierdzącym i zapytałem, co tu robi na moim progu, gdzie jeszcze nikt, jak wieś wsią, nie mógł być żaden wróg, bo jeśli był wróg to wiadomo, że najlepszy był martwy. Tak mu powiedziałem i dopiero teraz mnie ujrzał, a nawet ze strachu wybąkał coś, że przeprasza, że się tak zamyślił. Powiedziałem mu jeszcze, że gdyby myślał i gdyby był prawdziwą władzą to nie zostawiałby mnie z dziećmi i żoną na głód i poniewierkę. Odrzekł, że chce mi zaproponować wyjście do miasta, gdzie na pewno znajdę robotę przy budowie huty. Ilekroć zresztą chodziło o jakąś moją krzywdę raz po raz jakiś głupiec mówił coś o budowie huty, tak że w końcu doszedłem do wniosku, że nic się tu nie buduje, tylko huty i huty. Ja mu odpowiedziałem, że ja pieprzę jego huty, bo powinny być chlewy, a nie huty, których nikt nie widział i nikt nie wie dla kogo są. W tych nerwach po tych jego hutach podniosłem mokry kamień, bo znowu zaczął padać deszcz i mało nie trzasnąłem go w łeb. Pomyślałem bowiem już na pewno, że może byłaby ta nąsza gminna władza mądrzejsza, gdyby o jeden głupi łeb było mniej. Byłbym to zrobił, bo po kiego mi takie życie i nie bałem się przecież wcale, że potem może mnie spotkać kara, bo wiedziałem najlepiej, że gorsza kara już mnie za tego żywota na pewno spotkać nie może. Tak więc tylko tyle się zastanawiałem, że nie chciałem robić przykrości moim dzieciom, które mogły mieć potem do końca życia krechę w jakimś tajnym urzędzie, gdzie jakiś urzędnik zapisze, że oto ojciec Walińskiego Michasia, bo tak dałem na chrzcie świętym swojemu starszemu synowi, że właśnie jego ojciec zabił jakiegoś urzędasa, a byłby pewnie jeszcze ten zaborca medal dostał, bo tak bywało, że najgorsi pierwsi medale dostawali i nic nie pomagało, że wszyscy widzieli, jak na nich inni pracują. Nic to nie pomagało. Toteż teraz po zaciśnięciu kołnierza na szyi urzędasa szybko go puściłem, bo akurat wyszła żona z wołaniem, że może bym chleba przegryzł, wszak jeszcze kromka została. Tak, chleb stał się dla nas najświętszą sprawą, szczególnie gdy był, ponieważ poza tanimi kartoflami już nic nam nie dawali uhodować, uchować i zebrać. Taka była ta władza, która przychodziła mnie wydziedziczyć, a potem pokonać i wysłać na nasz parafialny cmentarz. Toteż na wołanie żony zawróciłem do izby, zjadłem pozostawioną przez dzieci kromkę chleba, która mi bardzo smakowała i tak pozostałem nieruchomym, bo nie wiedziałem, co będzie dalej. Ale urzędas widocznie wystraszony, sam się nie pojawił a i pewnie podzieliwszy się ze swymi wspólnikami, w jakim jestem stanie, nie radził im samym także przychodzić. Siadłem więc i zacząłem podsumowywać swoje życie, ale nie tak już jakby na sam koniec, bo przecież wiedziałem, że walka dopiero się zaczyna, ale tak zacząłem walczyć ze sobą i chciałem przynajmniej zrobić króciutki rachunek sumienia. Wyciągnąłem przed siebie ręce, jak człowiek chory, który patrzy czy mu nie sinieją albo nie bledną, bo po tym poznaje ile mu jeszcze życia zostało. Ale mnie ani nie siniały, ani nie bledły, widziałem tylko, że moje ręce są chude i powoli powlekuje skóra i kość, i nic więcej. Porozglądałem się po ścianach izby i wiedziałem, że to co tu jest, że każda belka i każdy obrazek wie o mnie wszystko i chociaż martwy prędzej zrozumiałby moję chłopskie życie niż ludzie żywi, którzy przychodzą tu z teczkami, pieczątkami, legitymacjami, ale za to nigdy ze sprawiedliwością i że oni właśnie powinni więcej wiedzieć od tych ścian, skoro chcą mnie stąd wypędzić pod pozorem mojego złego gospodarowania. Potem znowu zacząłem oglądać dłonie, na których wypisało się całe mnóstwo moich trosk i moich gorzkich żalów. Tak siedziałem bez słowa i nic nie mogło mnie wyrwać z tego siedzenia i swego rodzaju odrętwienia. Dopiero po dłuższym czasie podeszła do mnie żona i powiedziała:

— Miej cierpliwość, kochanie.

Nigdy tak nie mówiła do mnie i dlatego od tej chwili zacząłem mieć podejrzenie, że z nią także nie jest w porządku. Potem jeszcze raz powtórzyła to samo: — Miej cierpliwość kochanie.

Żeby jej nie dać poznać, że nie uważam tego odezwania za normalne, nic nie odpowiedziałem. Gdybym coś powiedział musiałbym się oburzyć, ale tak do tego nie doszło i dobrze, że nie doszło.

Wtedy tylko matka spojrzała na mnie i mój widok, co dostrzegłem wyraźnie zdziwił ją, jak zawsze zresztą do tego stopnia, że jej spojrzenie graniczyło ze strachem. Jej oczy szarawe zaokrągliły się, jeszcze bardziej wyblakły, a kąciki ust zacisnęły się tak, jakby chciała zapłakać albo wypowiedzieć bardzo nieprzyjemne przekleństwa. Jej ręce zaciśnięte na podłoku mięły zawiązany fartuch i pewnie w tym momencie bała się by się ze mną nie stało coś bardzo niedobrego. Widziałem, że wie o mnie wszystko, cierpi za mnie i za siebie, ale nic nie chce powiedzieć, aby jeszcze gorzej nie pogrążyć mojego życia. Wiedziała dobrze, że jeśli spiskowali przeciwko mnie, to także spiskowali przeciwko niej i innej rady być nie mogło. Widziałem wyraźnie, jak na dłoni, że zachodziły w niej także jakieś zmiany, które polegały na wewnętrznym zniszczeniu, z którego coraz bardziej nie pozwalała się jej wydobyć starość. Toteż czasem robiła wrażenie bezbronnej. Było to jednak tylko moje złudzenie, bowiem ilekroć stawałem się ospały i zmęczony ona swoim własnym okrzykiem:

— Patrz na wprost! — przywoływała mnie do przytomności. A potem dodawała: Pracuj! Pracuj!

Wiedziała dobrze, że praca dla mnie, na naszej ziemi już się skończyła, ale żyła chociaż złudzeniem, które ciągle wydawało się nam, że przeistoczy się w prawdę. Tak bywało zawsze, gdy człowiek miał rację. Nie doceniliśmy jednak niszczącej mocy nie tylko czasów, ale i ludzi, którzy tym czasom bezgranicznie się poświęcili. Ale ja nie tłumacząc jej ani jednym słowem, dobrze wiedziałem, że wyjaśniam jej wszystko: do spotkania ze śmiercią, moją gospodarską śmiercią było jeszcze daleko. Ja się zaryglowałem już tak od wewnątrz, że nikt mnie nie odrygluje jeśli tego sam nie zrobię. Zanim wywołają mnie po nazwisku, ja jeszcze niejednemu łeb ukręcę — postanowiłem. Gminna władza musi się czegoś nauczyć.

Nie spiskowałem przeciwko otoczeniu, ale otoczenie przeciwko mnie. Widziałem najlepiej, jak do tego władza potrafiła wykorzystać to spiskowanie przeciwko mnie. Nie wiedziałem zresztą co myśleć, bo każdy dzień przynosił coraz to nowe myślenie i właściwie zabrakło mi już nań sił. Toteż pomyślałem: nie ma gdzie jechać, jak tylko na cmentarz. I kiedy się tu zjawiłem, a więc w miejscu, gdzie zwykle króluje cisza i powaga, we mnie jakby się coś przekręciło, a krew jakby zaczęła mi krążyć w odwrotną stronę. Przyszedłem do grobu ojca i wiedziałem już na pewno, że wrócę z nowym postanowieniem walki o swoje gospodarstwo. Nawet gdyby mi tysiące razy proponowali hutę, czy kopalnię, to nie i nie, nigdy się nie zgodzę. Matka dawno biła ich wszystkich orczykiem, zła, a ja ile wlezie knutem nienawiści i pogardy.

Szedłem przez cmentarne alejki i słyszałem, jak pod moimi stopami wydobywał się jakiś dziki dźwięk, który unosił się jakby z ziemi i wwiercał w moje uszy, które mnie zaczęły po prostu boleć. Szedłem dalej, dopóki mi nie zakręciło się w oczach i moje ciało nie gruchnęło głucho o ziemię, a właściwie nie była to pewnie ziemia, ale jakaś cementowa płyta, która leżała przez lata na czyimś grobowcu. Nie wiem, jak długo tak leżałem ale wiem, że tu gdybym sam nie wstał nikt by mnie nie znalazł, a ja nie umiałbym także nikogo przywołać, bowiem jakiś kłujący spazm cały czas ściskał mi gardło i nie pozwalał na wydanie chociaż jednej litery szeptu a co dopiero znaku wykrzyknika. Toteż kiedy mi minęło to zaciemnienie powstałem i poszedłem prosto na swoją rolę na przełaj przez wszystkie polne kotyły, aby szybciej i aby się przekonać zaraz czy się coś nowego tu nie wydarzyło. Na polu stał jeden z sąsiadów do którego krzyknąłem:

— Co tam robisz ty dupku żołędny skoro ja tam mam stać! Widziałem, że żyły na jego szyi zrobiły się jak szerokie rury kanalizacyjne i wzdęły się tak wypukle, że nie miałbym żadnych trudności gdybym je chciał znaleźć i przeciąć moją ostrą brzytwą. Nie miałem jednak przy sobie brzytwy, a tylko swój smyrny nóż, z którym się nigdy nie rozstawałem i dlatego zapytałem go:

— A może przy pomocy noża chciałbyś pisać tę naszą umowę notarialną?

Nie odpowiedział od razu, ale po chwili zapytał:

— A czy to będzie do pierwszej krwi, a potem już któryś z nas zwycięży?

— Nie — odpowiedziałem. — To będzie bój aż do trumny.

Wtedy sąsiad nie obejrzał się więcej na mnie, ale widząc moje wzburzenie zaczął straszliwie uciekać, aż się piętami po dupie bił i ta ucieczka natchnęła mnie nawet otuchą, bowiem pomyślałem sobie, że jest wielkim tchórzem, a ja mam prawo myśleć, że moja odwaga jeszcze nie została cała zaprzepaszczona, ani też nie została rozmieniona na drobne, tak dalece, że nikt się jej już nie boi.

Szedłem wolno przez położone cicho skiby aż do swojej stodoły gdzie leżała zawsze gwiezdną nocą na dachu mojej stodoły poświata księżyca, a dokoła panowała taka głuchota, że brał człowieka zawrót głowy i nie mógł się z miejsca ruszyć, bo i tak by z powrotem upadł, a mógłby także i skręcić kark. Wtedy doznawałem dziwnego uczucia, gdy nie słyszałem własnego głosu, a kiedy byłem zły albo bardzo ucieszony, to na przemian wywoływało to we mnie albo łzy radości, albo poniżenia i nie wiedziałem nigdy które z nich przyjdą pierwsze, chociaż przyznam się, że obydwa były przeze mnie wyglądane i upragnione. Ilekroć bowiem przyszły mogłem być pewien, że odejdę do domu lekki i lepszy niż byłem poprzedniego dnia. Tym razem jednak tak nie było, chociaż przed chwilą przegoniłem z pola swojego ciemiężcę, mając nadzieję, że jest to na tyle skuteczne, że już dzisiaj nie wróci, to jednak ledwie uszedłem za głęboki wygon, gdy oto spotkałem go już o wiele rozmowniejszego i bardziej odważnego. Wtedy właśnie powiedział:

— Dlaczego ty nas tak nie lubisz?

— Nie lubiłem nigdy zgniłych tchórzy.

— Gdzie ukrywasz swoją truciznę?

— Zawsze noszę ją w schowku, o którym wie tylko moja matka.

— Czy będziesz strzelał zza węgła?

— Zabiję cię nawet w środku nocy, w łóżku, w białej pościeli.

Wtedy już nic nie powiedział tylko się głośno zaśmiał, ze złością przeskoczył rów i pobiegł przez pole do drogi jakby biegł na umówione miejsce, gdzie spotka pozostałych moich oprawców. Długo patrzyłem za nim i na jego świecące w zachodzącym słońcu buty, ale już ani nie krzyczałem ani nawet nic nie mówiłem pod nosem.

Kiedy zbliżałem się do domu wiatr unosił liście z ziemi i przyklejał do mokrej mojej kurtki, a ktoś gdy byłem już całkiem blisko rzucał kamieniami w stronę mojego domu i słyszałem jak dźwięczały rozbite szyby. Niechybnie robili to moi najbliżsi wrogowie zza płota, których gminna władza wychowała na wykonawców jej poleceń i zamiarów. Jednego z tych napastników nawet jakbym rozpoznał, bowiem miał na sobie krótki kożuch z lisim kołnierzem. To był ten, który chciał uchodzić za najbiedniejszego, a był najbogatszy, ale przecież nigdy nikt go nie uczył mówić prawdy, a zresztą ilekroć o cokolwiek składał podania to zawsze musiał jak najwięcej nakłamać i wtedy wiedział dobrze, że to było skuteczne a podanie było pozytywnie rozpatrywane. Tak więc i teraz chciał uchodzić za biednego więc kożuch z lisim kołnierzem zakładał tylko wieczorem po ciemniaczki, gdy sądził, że nikt go nie pozna, ale ja go ścierwo dobrze ubrane zawsze poznawałem i nie miałem z tym żadnych trudności. To jedyna prawda jaką można było postawić przy tym kłamcy.

Zbliżyłem się już do domu i byłem wreszcie w sieni. Tu ostrożnie podszedłem do łóżka w którym leżała matka i ostrożnie dotknąłem rękami jej oblodzonego, niemal kamiennego ciała. To ciało oparzyło mnie jak ogniem i musiałem nagle cofnąć rękę. Spojrzałem jeszcze na twarz matki i zauważyłem jak patrzyła na mnie jakby z góry w milczeniu, skupiona i mądra. Nie sposób było dłużej wytrzymać ani tego dotknięcia, ani jej spojrzenia, które jakby powoli i mnie zamrażało. Uświadomiłem sobie, że szyby jednak zostały już dawno wybite, a nadchodzący mróz zatrzymał życie matki na zawsze. Dzieci i żona skupiły się na łóżku w kącie i tak naciągając na siebie to z jednej to z drugiej strony pierzynę, aby tylko nie pozwolić się uśmiercić w ten sam sposób co już zrobiono z matką. Dopadłem do nich i tak osunąwszy się na ich ciała przez kilkanaście minut drgało moje ciało jakbym chichotał, albo jakbym drwił, co właściwie mogło być prawdą, bowiem, wszystko w tej sytuacji było możliwe.

Odezwała się do mnie żona:

— Włóż dzieciom dłonie do zimnej wody, bo im przemarzły i będą ich łupać.

Przyniosłem w starym wiadrze studziennej wody, ale zamiast włożyć doń dziecinne dłonie sam zacząłem łapczywie pić z wiadra jakbym dawno nie widział wody. Dopiero przy następnym nabraniu wody ze studni mogłem trochę spokojniej zacząć wyciągać ich z zamrozu, ale przy tym nie chciałem mówić nawet słowa bowiem wiedziałem, że każde słowo musiałoby być tak wielkie, że mnie samemu na jego dźwięk musiałoby pęknąć serce. Spojrzałem na obraz wiszący na ścianie, na którym wisiał Chrystus i powiedziałem tylko tyle:

— Chrystusiku jeśli znasz całą prawdę i tej prawdy chcesz bronić, to musisz stanąć przy mnie.

Ale po moich słowach odezwała się żona, która od pewnego czasu nic nie mówiła:

— Ta twoja prawda to wygląda, albo jest chyba taka, jak portki co przykrywają tylko gołą dupę.

Ucieszyłem się z tych słów żony.

Już wiedziałem, że to nie będzie wieczne kołysanie, ale wieczne prześladowanie. Ja chłop morgowy, pazurami wrzepiony, z wiarą chcący przetrwać, stawałem się coraz lekciejszy, a zostawałem z tyloma gruntami, że śliną można by zrosić i wystarczyłoby, aż za dość albo może i za dużo. Tak więc przez dzień tylko warstwił się ten spokój i ta względność. Bo oto za następne kilka godzin przyszedł do mnie Grdeń, chłop z drugiego końca wsi, który miał tylko ćwiercinę gruntu z tego co ja, ale widząc, co ze mną robią przestraszył się, jak Adam i Ewa w raju przed wygnaniem i zaczął mnie wypytywać, jak długo trwa uśmiercanie ziemi a potem człowieka. Dodawał potem, że gdyby wiedział, że tak będą robić z ludźmi, to dawno zastanowiłby się, ażeby tylko się nie wybogacić i pozostać przy tym, co miał po ojcu i matce czyli mordze z zagonem. Płakał przy mnie, że ledwie i tak koniec z końcem wiąże, ale przecież wie, że i na niego przyjdzie kolej. Mnie się już na płacz nie miało, co go pewnie bardzo zdziwiło, bo przecież ja jako najbogatszy powinienem płakać dziesięć razy bardziej od niego. Bo przecież wiadomo, że naszej gminnej władzy chodziło o to, aby nas wszystkich sparobczyć, a nikomu nie dać tyle żeby mógł wysiać dla siebie i innego jeszcze. Tylko dla siebie i to z biedą, to według urzędasów było najlepsze. Jeszcze rozmawialiśmy przez jakiś czas, a ja mu powiedziałem tylko jak to sąsiedzi napuszczeni przez władzę wygryzają mi najpierw najlepsze kęsy, jak ryją pod domem i za płotem, jak się to wszystko powoli urywa, jak robią swoje wnioski-stówki-odwykówki, a on słuchał jakby zaklęty albo zdrętwiały i nic nie mówił bo i mówić nie mógł.

Powiedział tylko tyle, że to i do niego zbliża się coraz bardziej tak blisko, gdyby miał odwagę to byłoby to już tak, że już by sięgnął stylisko i ostrze siekiery, ale to nie dla niego, no, może dla nas dwóch, ale dla jednego to na pewno nie.

Więc szła wobec niego gnębiąca plotka, pogróżki, aby może wcześniej zdecydował się na poddanie i aby urzędasy mogli pochwalić się w sprawozdaniu, że mają sukces dobrowolny, a nie jakiś waleczny.

Już wiedzieliśmy teraz, że to co zaczęło się za Gomułki było tylko modą, powolnym rozsadzaniem i jednocześnie zachcianką z której miała wypłynąć obfitość żywności, a tymczasem my z dnia na dzień nie mogliśmy obsiać nawet połowy zagonów żyznej rodziny, ponieważ wszystko poszło na przemielenie i wypiek chleba tylko dla dzieci i swojej starej matki. Wiedziałem, że było to tylko niby poparcie a właściwie to zmiana mody, wiedziałem także dobrze jak i moi inni chłopi włącznie z Grdyłem, czyjego konia pańskie oko tuczy. Toteż, niektórzy robili tak, jak mnie już dawno urzędasy proponowali, uciekali chłopi do transportu, do usług, żeby jeszcze tylko być bliżej swoich zagonów, a potem, gdy się udawało, to chociaż do najbliższej fabryki, aby jeszcze się jakoś rzepienie trzymać, aby jeszcze tutaj przenocować, co zaraz przemądrych naukowców zdziwiło, jakoż to, że i tu i tam chcemy żyć. A tymczasem chodziło nam tylko o to, aby jeszcze chociaż raz głowę przytulić do swojego własnego łóżka, które stoi na własnym posiadzie i nigdzie stąd nikt mnie przez kilka chociaż nocy nie wyrzuci, a raczej ja to zrobię. Tak nas powoli wyrywali stąd razem z zagonami, jak im pasowało aby tylko nie sam, szli środkiem a nas odrzucali na boki, to na jedną to na drugą stronę jak najgorzej żeby potem z tego potłuczenia już nigdy się nie pozbierać i nigdy nie wydźwignąć.

Toteż gdy przyjechali do mnie któryś raz zaczęli wychwalać tych, co to pole poddawali sami, a teraz mają tylko kupę pieniędzy bo pracują w fabryce narzędzi ciągniętych, a i jak lekkim pieniądzem roznamiętnieni popijają całymi dniami w sklepie, jak rozochoceni propagandą prywaty, co tylko im podsuniesz to natychmiast przełkną i kupią, jak się na dziwki szykują, jak swoje dzieci i żony odstępują, aby tylko swoim kaprysom dać jak najwięcej zaspokojenia. Nic więc nie robili tylko co jutro strata, co opłata. A Grdeń znowu do mnie, że się mu kręcą już koło płota i bliżej, ale mnie to lepiej. Aż mnie rozśmieszył tym gadaniem, bo śmiać to ja się nie śmiałem już ze trzy lata i nie wiedziałem nawet czy potrafię, a on mnie rozśmieszył dodając jeszcze, że własność prywatna naruszona, znaczy jeszcze przez stalinowy kołchoz zdobyta rugowaniem, teraz znowu czapka na człowieku gore, bo jakże inaczej to nazwać, siła popiera rugowanie i wyganianie, zaczyna się podole indywidualne wykańczać, może zostanie pasek na trochę rabatek i nic więcej, raczej step bo jak wiedzieliśmy to najpierw coś tam siali, a potem gdy grunt wyjałowiał to zostawiali, żeby trawsko i chwaściska zarosły to i więcej spokoju z taką ziemią. Najwygodniej byłoby dla nich żeby jednak z tego pouciekać, gdziekolwiek, aby tylko nie tu zostać, nie plamić ich ideologicznej roboty, bo to i po premiach im polecą i po kręgosłupie sloganów i po czymś jeszcze, słowem dla nich same szkody, gdy się któryś a szczególnie ja tu będę trzymał, a chodzi o to, aby się nie trzymać jak jemioła, ale wiać i wiać na drugi koniec świata, na pustotę się pisać a nie jakieś jeszcze lemiesze szykować. To oni tak zostawią, albo w papierach rozdadzą do cna i będą krzyczeć: zrozumcie, że chcemy dla was dobrze bo tamtych wypędziliśmy a wy się za nich nauczycie siać i zbierać. A jeśli nie będzie co? To niech nie będzie, to wtedy, państwo... ale kułacka dusza nie będzie nam tu bochenka chleba pachnącego pod nos podsadzać. I tak dalej.

Nowi tak jechali jechali i wjechali na podwórze. Do izby prosto bez pardonu, ten z grubym paluchem także jako pierwszy, zaraz po papierosy sięga, zapala, dym nosem puszcza i mówi do mnie, jak mieszkasz tak mieszkasz, ale ja chcę dzisiaj zostać z tobą. Wysłałeś zażalenie, że mróz straszny w izbie, to ja cię przekonam, że tu pożar pod pierzyną można wzniecić. Jak ogłuszony wytrzeszczyłem oczy ale nic nie mówię, bo wiem, że jest to próba, że to jeszcze jedno męczenie rodaka przez lepszego rodaka. Tu nic dalej nie mówi, ale pochyliwszy się zapiął sobie lepiej *kożuch*, bo przecież wiadomo, że ten zamróz już go zaczął sięgać od pleców i to dobrze. Zakomenderował: — Towarzysze nanoście drew do izby to rozpalimy na podłodze ognisko. Nie będzie zimno gospodarzowi.

Nie wiedziałem, jaki krzyk podnieść, bo mało że dzieci dusił mróz to jeszcze teraz zadusi ich i to skutecznie dym.

Powiedziałem tylko:

— Durniu, czy ja mogę żyć bez ziemi? Przecież to jakby ptak żył bez głosu.

Nic nie odrzekł tylko wyjrzał przez szybę czy niosą drwa. Nie doczekałem, aż wrócą z pełnymi naręczami, ale wypadłem do drewutni, wziąłem piłę i siekierę i rzuciłem się biegiem ku ogrodowi do drzew. Piłowałem je zawzięcie, rąbałem na poręczne kawałki, składałem na kupki aby tylko je można było łatwiej zabrać. Chichotałem przy tym strasznie. Nie wiedziałem, że ten chichot rozwścieczy ich najbardziej. Robiłem to z sadem, bo wiedziałem, że sadu już nie obronię. Jednocześnie zmusiłem ich do myślenia że już przegrałem i już wszystko oddaję bez oporu. Nie ma rzeczy gorszej niż osłabienie myślenia zaborczego nieprzyjaciela. Tak się też stało, ponieważ urzędasy, a nawet ten z długim i grubym paluchem przestali myśleć o paleniu ogniska, już go rozbroiłem a ja sobie pomyślałem, że cena sadu i mi się opłaci, bo będę miał przez kilka dni chociaż spokój, a moje dzieci rozgrzeją nogi i ręce i będą mogły trochę wyjść na świat. Urzędasy odchodzili, a ja pomyślałem o tym z wielkim paluchem: „Czy jest możliwe aby tyle głupoty chodziło w jednych portkach" Potem cofnąłem się do sieni i już wiedziałem, że jest czas ofiarowany mi przez los abym się mógł dozbroić, aby przestać myśleć o poddaniu aby wreszcie znaleźć sposób na wyjście z tego dołka inne niż mi oni zaproponowali.

(Fragment większej całości)